Antoni Chołoniecki

Duch dziejów Polski

Wydanie drugie przejrzane i rozszerzone Kraków 1916 r. nakładem towarzystwa imienia Stefana Buszczyńskiego Kraków Basztowa 17. Cena 6 koron (4 marki) Drukarnia Narodowa w Krakowie.

Pamięci Stefana Buszczyńskiego autora „Upadku Europy”

Żeby wskrzesić naród, trzeba wynaleźć jego utracone jestestwo, z bacznym względem na modyfikacje, któremi je czas zmienił i przekształcił.
Nie improwizujemy Polski, ale z grobu wywołujemy ojczyznę. Nie sporządzamy bez planu i architektów fantastycznego gmachu, ale wygrzebujemy z gruzów starożytna budowlę
We wskrzeszeniu ducha owych instytucji, owych praw i obyczajów, które niegdyś zdobiły republikańska monarchię polskiego narodu, miesi się wielka myśl politycznej restauracji.

Mochnacki

Ogłoszona niespełna przed rokiem praca niniejsza znalazła wśród polskich kół czytelniczych żywy oddźwięk – czego wyrazem miedzy innymi, że stosunkowo znaczny nakład jej został wyczerpany w ciągu kilku miesięcy. Wywołała jednak z paru stron zarzuty. Korzystając ze sposobności drugiego rozszerzonego wydania, pragnę na nie pokrótce odpowiedzieć, tym chętniej, ze przez to uzupełni się niejeden rys, który dopiero w polemicznej formie może się wydobyć na jaw.

Odezwały się glosy, że w charakterystyce idei przewodnich naszej historii nie uwzględniono należycie stron ujemnych, że obok świateł zabrakło „cieni”, co rzecz uczyniło jakoby jednostronna. Zarzut ten przy bliższym rozpatrzeniu nie da się utrzymać. Czytelnik baczny znajdzie w pracy mojej niejednokrotnie zaznaczone owe plamy i zgrzyty, których obecność w dziejach musiała znaleźć odbicie i na kartach książki. Jest tam mowa o czasach „obłędu i występków politycznych”, o tem, ze warstwy nieszlacheckie w Polsce przeżyły „okres istotnie ciężkiej i twardej niedoli”, ze były liczne „wynaturzenia” naszego ustroju państwowego, ze ogólnemu obrazowi wzrostu i upadku naszej ojczyzny odpowiada „nierówny poziom duchowej i moralnej wartości pokoleń”. To wszystko istotnie zostało wypowiedziane skrótami myślowymi, jeśli kto chce – tylko pobieżnie. Dlaczego?

Miarodajnymi były dla autora dwa względy.

Po pierwsze, ponieważ te wszystkie ciemne strony państwowego życia polskiego są dostatecznie znane polskiemu ogółowi, nie tylko wykształconemu. Trzem czwartym częściom naszego narodu od szeregu pokoleń szkoła moskiewska i pruska wpajała z pilnością nic nie zostawiająca do życzenia wszystkie saskie i nie saskie nasze upadki, wszystkie czarne i przyczernione fragmenty obrazu naszej przeszłości. Nie nazbyt w tyle pozostawała w tej pracy i szkoła galicyjska. Przyrzuciły do niej swą cząstkę wreszcie liczne podręczniki i liczni historycy, na których wszyscyśmy się kształcili; wszak to o jednym z najwybitniejszym z nich i to właśnie o tym, który przez długie lata kierował wychowaniem publicznem całej polskiej dzielnicy, mówi prof. Konopczyński: „Wyrozumiały dla wszelkich wrogów polskości, a nielitościwy” dla przeszłości własnego narodu. Zdawałoby się zatem chyba, że mówiąc do tak przygotowanego pokolenia wystarczy, nie tracąc słów, zamarkować „nasze cienie” dziejowe choćby tylko w najlżejszy sposób, aby obraz ich wystąpił od razu z całą plastyką w umyśle czytelnika.

Ale był drugi wzgląd, istotniejszy.

Rzecz niniejsza nie jest wszak zarysem historii, - jest próbą charakterystyki duszy dziejowej. Jedno i drugie zakreśla piszącemu odmienne nieco obowiązku i prawa. Wychodząc z obranego założenia autor nie tylko nie potrzebował, ale nie mógł zajmować się tym, jakie sumy wypłacił był Ponińskiemu Stackelberg, a Branickiemu Katarzyna, ani zapuszczać się w las obskurantyzmu szlacheckiego za Sasów ani zatrzymywać się szczegółowo przy zbrodniach popełnianych przez możnowładców, którzy świadomie działali na szkodę ojczyzny. Tak samo, chcąc scharakteryzować ducha dziejów

Anglii, będziemy mówili wszak nie o rządach kurtyzan królewskich, o przekupstwie rozpowszechnionym od góry do dołu, o tym, że sprzedawali się nawet królowie, że Karol II (1660-1685) wziął pieniądze od obcego władcy za przyczynę zmian we własnym kraju, że współdziałali przy tych haniebnych machinacjach doradcy korony, albo że opozycja w parlamencie angielskim była stale kupowana przez pierwszego ministra Roberta Walpole (1721-1742), gdyż to wszystko nie było konieczną emanacją duszy narodu, było tylko przejawem powszechnego w całej Europie upadku moralności publicznej od schyłku wieku XVII do II połowy wieku XVIII, w tym samym czasie co i u nas, - lecz mówić będzie o kulturze wolności jednostki, o rządach parlamentu, o zasadzie, iż tylko ustawa uchwalona przez reprezentację społeczeństwa może społeczeństwo obowiązywać i o dążności do utrwalenia tej zasady, albowiem to właśnie jest wiekuistym w dziejach Anglii, to jest wykładnikiem, kwintesencją, treścią i cechą dziejowej duszy angielskiej.

W „Duchu dziejów Polski" jest mowa podobnież o istotnych i naczelnych cechach naszej przeszłości i tylko o nich. Że Polska, której rozwój poszedł w kierunku wykształcenia wolności politycznej, otoczona państwami zaborczymi, zbłądziła ciężko, zaniedbując wytworzyć w nowszych czasach, choćby kosztem zwężenia swobód wewnętrznych rząd zdolny do obrony na zewnątrz, to prawda nie tylko oczywista, lecz tak znana, tak przetopiona już w komunał, że chyba nie wymagała specjalnego podkreślenia w pracy, która nie jest podręcznikiem historii.

Obszerniejsze rozwodzenie się nad tą prawdą i nad wszystkimi cieniami, jakie się dokoła niej skupiły, nie była ni koniecznym ni potrzebnym dla charakterystyki dziejowego ducha Polski. Dodajmy, że po usilnej pracy, jaką w tym kierunku wykonała już szkołą historiografia ostatnich czasów, to pokutnicze wlepianie wzroku wstecz nie może być również uznane za szczególne pilne zadanie wychowawcze. Przeciwnie. Braki i grzech przeszłości znamy na wylot. Natomiast co od dziesiątek lat było jest u nas zastraszające, to nieświadomość wielkiej twórczości narodu przez długie wieki i utrwalające się na tym tle, w umysłach słabszych i mniej uodpornionych, ale bynajmniej nie tylko w umysłach prostaczków, poczucie bezgranicznej małości własnej i poddawanie się urokowi potęgi, która – na pewien okres dziejów – zatryumfowała nad nami. Tam: wszystko we wzorowym porządku, opromienione powodzeniem w glorii sprostania ogromnym zadaniom, zdrowe, jędrne, zdolne do przetrwania choćby do końca świata, gdy Polska – cóż? Rupieciarnia błędów, klęsk, heroicznych lecz nieudolnych porywów i świadomie lub nie świadomie na swoją własną szkodę popełnianych zbrodni. Tej niesłychanej mistyfikacji usiłuje praca niniejsza przeciwdziałać przez zaakcentowanie naszych wielkich wartości dziejowych, zestawienie ich z ówczesnym stanem rzeczy gdzie indziej i wskazanie na ich renesansowy rozkwit w epoce, której próg zaledwie zdołała ludzkość przekroczyć.

Wyrażono jednak obawę, że to wywoła w czytelniku polskim „szkodliwą dumę". Przy sposobności omawiania kart niniejszych znakomity badacz przeszłości podniósł trafnie, ile niewyczerpanej siły daje narodowi francuskiemu fakt, iż czuje się on „Une grande nation" dzięki wspaniałym kartom swojej historii. Czy u nas inne rządzą prawa psychologiczne? Nie. Toteż fałszywe poczuwanie się do owej „Minderwertigkeit", którą tak skwapliwie wmawiają w nas sąsiedzi z zachodu, może jedynie osłabiać naszą siłę odporną i twórczą, podczas gdy świadomość posiadania świetnej spuścizny dziejowej, świadomość, która obowiązuje do utrzymania się na odziedziczonej wyżynie, musi się stać pomnożycielką naszej energii. Naturalnie nawet ten wysoki cel nie uprawniałby do improwizowania rzeczy niebyłych. Na szczęście – kłamać nie potrzebujemy. Historia, jak głosi stara maksyma ma być nauczycielką życia. Rzecz szczególna, że u nas ostatnimi czasy to jej pedagogiczne zadanie zostało po prostu o połowę obcięte, aczkolwiek nauczycielka jest w pełni sił i mogłaby swoją robotę odrabiać w zupełności. Jednostronnie akcentuje się wciąż rzecz z resztą słuszną, że historia uczy unikać błędów. Lecz czy tylko to? Ta wychowawczyni może nam przecież nam dawać ponadto bardzo cenne wskazania pozytywne, a właśnie wiele naszych koncepcji posiada te zdolność w wybitnym stopniu. Wystarczy przypomnieć dla przykładu starą polską ideę łączenia narodów na podstawie ścisłego lojalnego, nieobłudnego

przestrzegania ich prawa do rozrządzania się sobą i nie narzucania im niczego wbrew ich woli. Z pomyślnych skutków praktycznego stosowania tej idei w Rzeczypospolitej mogliśmy byli wiele nauczyć się w tej części Polski, w której łaskawy los powierzył nam był po raz drugi – w miniaturze – rozwiązania współżycia narodów, a w której polityka małodusznych targów o mandaty, o szkoły, o „koncesje" językowe, dała po czterdziestu latach jako rezultat: rozpaloną do czerwoności wzajemną nienawiść. W chwili dzisiejszych wielkich przekształceń i narzuconej nam niestety z zewnątrz konieczności rewizji naszego stosunku do ludów, z którymi niegdyś żyliśmy pod jednym dachem państwowym, myśl polska z przed czteru stuleci, która spajała równych z równymi, może się stać dla naszej polityki praktycznej nieoszacowanym dziedzictwem, pod warunkiem, że w zmienionych formach potrafimy ją zastosować niemniej uczciwie, jak czynili to pradziadowie nasi.

Ślepota było by nie widzieć istotnych błędów i zboczeń naszej przeszłości, ale takim samem kalectwem jest patrzeć w jej świetne, nie tylko moralnie wzniosłe, lecz także mądre oblicze – nie umieć z niego wyczytać żywotnych, płodnych i twórczych myśli jakie tam wyrył Geniusz Narodu.

`

Kraków w kwietniu 1918

Wstęp

Zdobyta przenikliwością natchnienia poetyckiego prawda, że Polska jest „wielką rzeczą", zabrzmiała w uszach naszego pokolenia przed latu niewielu jak paradoks smutny i szyderczy. Nigdy mniejszą pozornie nie wydawała się Polska, jak właśnie w chwili wypowiedzenia tych słów. Od roku 1870, do ostatecznego utrwalenia się stosunków, w których tylko silnym, rozporządzającym opancerzoną pięścią, przyznano prawo bytu i głosu, straciła ona wszelkie znaczenie. Dla urzędowej i nieurzędowej Europy „sprawa polska" przestała istnieć; skurczyła się do lokalnego, powiatowego zatargu w łonie państw rozbiorowych. Stała się z nami, na widowni życia międzynarodowego, rzecz najstraszniejsza: przejście do porządku. Starsi z pośród nas, którzy za lat młodzieńczych z bijącym sercem nadsłuchiwali co powie o nas w senacie książę Ludwik Napoleon, lub czy w Izbie Gmin odezwie się za nami lord Russel i jak przyjmie kanclerz rosyjski zbiorową interwencję za Polską połowy Europy, doczekali się chwili, w której pojawienie się nazwy Polski na ustach szanującego się dyplomaty byłoby uznane za objaw niepoczytalności. Ci, których młodość upływała gdy centralny komitet narodowy pertraktował o termin wybuchu z Młodą Europą, gdy Warszawa podziemna niecierpliwiła się zwlekaniem Mazziniego i nadmierna przezornością Hercena, dożyli dnia, w który międzynarodowy romantyzm wolności ukorzył się przed rosnącą wszechwładzą państwa a w pamięci ludów Europy zatarło się nawet samo wyobrażenie o Polsce.
Ostatnie światła pogasły. Zostaliśmy sam na sam z przemocą, która szła ku nam pijana zemstą za nieprzerwany stuletni bunt, i z przemocą, która zasiadłszy na katedrach uniwersyteckich, ustaliła według wszelkich reguł naukowego myślenia tezę, że jako naród mniej wartościowy powinniśmy rozpłynąć się w kulturze „wyższej". Czegóż nie uczynniono, aby jeden i drugi punkt widzenia uzmysłowić nam z cała dobitnością? Było wszystko: od tortury fizycznej do rafinowanych sposobów wymienienia polskiej duszy na inną, od zdziczałych odruchów nienawiści do chłodnych aktów woli, cynicznie stosującym względem Polaków program państwowy wytępienia. Wyświecona ze wszystkich dziedzin życia, Polska skurczyła się, jak ślimak w skorupie, w ciasnych granicach ogniska domowego i w wąskim kole zabiegów o chleb. Wydana na łaskę i niełaskę bezmiernej pychy zwycięzcy, obezwładniona i bezsilna, ujęta w potworną kuratelę gwałtu, smagana biczem prześladowań i upokorzeń, ścigana i szczwana jak osaczone zwierzę, zżyta z tem, że można się nad nią pastwić bezkarnie, stoczyła się w oczach pozostałej Europy tak nisko, ze przestała budzić jakiekolwiek zainteresowanie. Nędza polskiego bytu, o ile odgłosy jej dochodziły na zewnątrz, wywoływała już tylko uczu-

cie przykrej nudy. Dłoń oprawcy odarła nas nawet z uroku, jaki towarzyszył niegdyś naszej niedoli. Ulotniło się gdzieś bez śladu mistyczne piękno polskiego męczeństwa. Tragizm nasz zszarzał i nabrał cech wulgarnych. Nikt nie dbał o nas i nikt się z nami nie liczył. Na obszarach naszej ojczyzny rozwlokła się beznadziejność najsmutniejszego okresu, jaki wypadło nam kiedykolwiek przeżyć od rozbiorów.

Pod wpływem tego położenia zaszły w psychice polskiej głębokie zmiany. Opuściło nas, tak niedawne jeszcze, dumne poczucie zajmowania w świecie określonego i uprawnionego stanowiska. Zwęził się i aż do ziemi przybliżył horyzont naszych aspiracyi. Gdy jeszcze ojcom naszym, których myśl kształtowała się pod bezpośrednim tchnieniem wielkiej emigracyi, Polska przedstawiała się jako dążenie ducha ludzkiego wzwyż, jako potężna ujarzmiona idea, to dla nas, ogłuszonych codziennie spadającymi ciosami, zaatakowanych u samego korzenia bytu, stawała się coraz bardziej już tylko terenem zoologicznej walki o zachowanie gatunku. Dusza polska straciła swój dawny lot prometejski. Wyrabiała w sobie samozachowawczą przebiegłość, właściwą niewolnikom. U słabszych rodziła się pokora, zdająca się przepraszać cały świat za to, że ośmielamy się jeszcze w ogóle zabierać miejsce pod słońcem.

Nigdy tak jak wówczas nie było nam potrzeba rzeźwiącego słowa naszych dziejów. Lecz wtedy właśnie - wśród poszukiwań za praprzyczynami tego niesłychanego stanu rzeczy, do którego wielki i niegdyś świetny naród został doprowadzony – pojawiła się historyczna doktryna krakowska o źródłach upadku Polski, potępiająca ryczałem cały kierunek, jaki od wieków przybrał nasz rozwój. Na piedestale postawiono zwycięska siłę fizyczną, skrępowanie jednostki posłuchem bezwzględnym już nie prawu, ale państwu, podporządkowanie się uległe każdej władzy, choćby legitymującej się, jak były carat rosyjski, jedynie zbrojnym przymusem – cnoty, do których nie umieliśmy się nigdy nagiąć, a któremi celowali właśnie nasi prześladowcy. Na duszę narodu, która skurczyła się już pod ciężarem okrutnej ponad wszelką miarę rzeczywistości, na duszę spaloną żarem męki i spragnioną kropli wody, na dusze nawiedzana zwątpieniem i pokuszeniem odstępstwa, jak kamienie spadały odkrycia badaczy, że przeszłość była u nas od blisko pół tysiąca lat wielką pomyłką, ze duch jej zasadniczo chromał. Instytucye w założeniu już były chybione, cierpiały na nieprzystosowalność praktyczną i musiały wieść do upadku, żeśmy zatem sami, własnymi rękoma wykopali grób, w który runęła ojczyzna. (”*Upadku swego Polacy są sami sprawcami – słowa Kalinki w przedmowie do pracy „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta”. Nie sąsiedzi, tylko nieład wewnętrzny przyprawił nas o utratę politycznego bytu” – słowa Bobrzyńskiego w pracy „Dzieje Polski w zarysie”.2).Szkole krakowskiej sekundowała publicystyka warszawska ogłuszona klęską1863 roku, mianowicie odłam jej tzw. Pozytywistyczny. Swoisty ton stanowiło tu szczególnie namiętne piętnowanie Polski historycznej, jako kraju który prześcignął wszystkie inne w ucisku chłopów Wartość tych oskarżeń rozpatrzymy w jednym z dalszych rozdziałów.)* A to, w czym chcielibyśmy upatrywać zbrodnię, t. j. akty podziałów Polski, było nieuchronną koniecznością dziejową. To samo głosiła równocześnie urzędowa i reakcyjna historiografia rosyjska i niemiecka. Pobudki były tu i tam odmienne – konkluzje jednakowe. U nas poglądy te powstały pod wpływem rozpaczy: widziano bowiem z jednej strony wzniesienie się potęg, które oparły swój rozwój na tresurze niewolniczej, z drugiej strony pogrom narodu polskiego, który oparł był swój byt dziejowy na zasadzie wolności. Historyografia rosyjska i niemiecka, wtórując historykom polskim i skwapliwie powołując się na powagę ich sądu, miała przed oczyma własny cel – usprawiedliwić rozbiory, pozatem zaś hołdowała przekonaniu, że ideałem państwa jest państwo policyjne, t. j. takie, wobec którego duch polski znajdował się zawsze w zasadniczej opozycyi. Tak wiec, wychodząc z różnych założeń,. Schodzili się ze sobą polscy i obcy oskarżyciele naszej przeszłości[2)].

Poczęta niezaprzeczenie z gorącej troski patryotycznej, ale i z niewolniczego ubóstwienia „silnej ręki” i „silnej władzy”, będącego odbiciem ogólnego w Europie obniżenia się ideałów politycznych, doktryna krakowska podcięła jeszcze bardziej zwątloną siłę duchową narodu. Gdy współczesność przypominała nam na każdym kroku, żeśmy skazani na śmierć, historia przekonywała nas, żeśmy od setek lat już byli niezdolni do życia. To, co na krzyżowej drodze te-

raźniejszości mogło było samo jedno podtrzymać w nas zdolność do wytrwania: poczucie głębokiego sensu naszego bytu historycznego, zostało zachwiane aż do podstaw. Teorya szkoły krakowskiej, której wpływ nieliczni tylko, jak Buszczyński, starali się zneutralizować, przyjęła się była niemal powszechnie i stała się straszna nauczycielką całego jednego pokolenia polskiego, pokolenia najnieszczęśliwszego ze wszystkich. Cóż pozostało z całej namiętnie dotąd umiłowanej przeszłości po druzgoczącem przejściu po niej krytyki historycznej? Nic, tylko wina! Ulotniła się z niej wszelka treść pozytywna, uleciała z niej twórcza dusza narodu.. Ze zburzonego gmachu ocalały tylko marne rusztowania: suche daty, szeregi rozegranych wojen, korowód królów. I nędzny koniec!

Patrząc przez pryzmat pojęć, które zapanowały powszechnie, można było tylko za przeszłość naszą rumienić się ze wstydu. A ten, ktoby chciał był konsekwentnie dosnuć rzecz do końca, stanąćby musiał przed strasznym pytaniem: Jeśli tak – czegóż właściwie broniliśmy dotąd z takim rozpacznym uporem? Dziedzictwa błędów i wynaturzeń? Jakiż sens miało i ma to całe tragiczne szamotanie się narodu, który wbrew wszelkiej logice życia nie chciał i nie umiał wznieść się na wyżyny jedynie uprawnionych i jedynie do życia uprawniających zasad istnienia zbiorowego?

* * * *

Nadeszła wielka wojna, która miała do głębi wstrząsnąć posadami świata. Reżyserom jej ani wśród długich przemyślnych prac przygotowawczych ani wśród pierwszych strzałów, które gromowym echem miały się odezwać we wszystkich państwach
Europy, nie zamarzyła się możliwość głębokich zmian, jakie wśród nieskończenie przewlekłych, niewymownych cierpień miały się dokonać w zbiorowej duszy narodów. Olbrzymi bój, który rozpętał się był o bilanse kupieckie współzawodniczących imperyalizmów, otrzymał w pewnym momencie zgoła nieprzewidzianą poprawkę: wobec nieznanej dotąd w dziejach wielkości i intensywności ofiar, wobec bezprzykładnego zniszczenia owoców kultury, wydobyły się na wierzch i zażądały dla siebie głosu istotne interesy walczących narodów. W trzecim roku wojny lud rosyjski potężnym uderzeniem pięści obalił carat. Światowładną i zaborczą na zewnątrz, a autokratyczną w domu ideologię starej Rosji zastąpiły tłumione dotychczas idee wolności politycznej, władztwa ludu, braterstwa i samookreślenia narodów, wprowadzane natychmiast w czyn z rozpędem młodej rewolucyjnej energii. Po obszarach Europy wionął gorący wiatr wewnętrznego wyzwolenia. Przesłoniły się jakby mgłą cele walczących imperializmów. Do wrót historii zakukała tęsknota za nowym porządkiem rzeczy, w którym oprawo nieskrępowanego rozwoju byłoby zapewnione każdej indywidualnej i zbiorowej jednostce, w którym narody mogłyby żyć obok siebie w przyjaznym związku i nie czyhać na siebie drapieżnie, w którym nie pięść rozkazywałyby, lecz siła moralna. Wielkie ideały wstrząsnęły łonem społeczności europejskiej. Ależ to ideały – nasze!
Te, które za dni naszego państwowego bytu stanowiły treść naszych urządzeń publicznych a które wroga ideologia obca i rozpacz własna potępiły jako „romantyzm”, jako dowód „nieudolności życiowej”, jako błąd „nieprzystosowania się do potrzeb czasu”. Wszak to za nie walczyliśmy, cierpieli i ginęli.
Cóż bowiem było kwintesencją życia w tym państwie, które geniusz naszego narodu był stworzył, a które przemoc zniszczyła? Oto szeroko rozwinięte i bezwzględnie zabezpieczone prawo jednostki do swobodnego poruszania się w granicach więzi społecznej. Wolność sumienia i wolność sądu o sprawach publicznych. Zasada władztwa narodu, powołująca – na gruncie pojęć swego czasu – wszystkich pełnoprawnych obywateli do współudziału i współodpowiedzialności w rządach. Poszanowanie dla wszelkich form odrębności zbiorowej. Pojmowanie państwa nie jako rzeczy istniejącej w sobie, lecz jako narzędzia służącemu szczęściu żywej społeczności. Nietykalność cudzych granic i dążność do łączenia wolnych i równouprawnionych ludów w dobrowolne szersze związki. Wstręt do zbrojności i międzynarodowego rabunku. Wstręt do władzy, nieupoważnionej przez ogół, do „absolutum dominum”. Wstręt do niewolniczego przymusu. Wysoka kultura wolności przenikająca wszelkie dziedziny życia. To wszystko stanowi sumę myśli dziejo-

wej, wypracowanej w ciągu wieków, w ramach naszego dawnego państwa.
W świetle błyskawic rozdzierających firmament Europy widzimy dziś ze szczególną jasnością, ze Polska to nie tylko ziemia i ludzie, ale także wielka idea życia zbiorowego i przede wszystkim ona. Ludy Europy, przytłoczone nadmiarem klęsk, jakie zwaliło na jej barki dotychczasowe panowanie siły nad prawem, w poszukiwaniu trwałych zabezpieczeń przed powtórzeniem się katastrof podobnych ostatniej, zwracają się z rosnącą tęsknotą ku zasadom, które stanowią właśnie rdzeń i sens naszego bytu dziejowego. Państwu, pojmowanemu jako absolut i podporządkowującemu żywych ludzi swym oderwanym celom, chcą przeciwstawić organizacje państwową, dla której celem jest człowiek. Przewadze fizycznej, podniesionej do znaczenia rozstrzygającego czynnika w polityce – panowanie praw moralnych. Zbrojności – rozwój pokojowy. Wzajemnemu pożeraniu się narodów – współżycie i współdziałanie. Zasady te, które ludzkość musi uznać za obowiązujące, jeżeli nie ma stoczyć się na poziom menażerii, jeśli kultura nie ma stać się narzędziem tym głębszego zdziczenia i znikczemnienia ducha, a dzieje nieustannym pasmem coraz to bardziej wyniszczających katastrof, zasady, których głęboką mądrość zrozumiało wiele narodów Europy dopiero wśród straszliwych cierpień światowej wojny, te zasady my Polacy stosowaliśmy już przez setki lat w granicach, jakie pojecie o społeczeństwie zakreślił był rozwój epoki.
Gdy po obaleniu despotyzmu w Rosji w marcu 1917 roku pierwszy rewolucyjny rząd zwrócił się do narodu polskiego z odezwą, zawierającą uznanie naszego prawa do samoistności, zakończył ją hasłem powstańców polskich z r. 1831 „Za nasza wolność i waszą”. W przyswojeniu sobie tej szerokiej koncepcji wolnościowej naszych przodków przez naród, który tak nieskończenie długo służył za niewolnicze narzędzie do tłumienia wolności ludów, tkwi wspaniałe uwierzytelnienie żywotności i wszechludzkiego znaczenia przewodniej myśli naszych dziejów.

* * * * *

W ostatnim szczególnie tragicznym okresie naszej męki porozbiorowej pod demoralizującym wpływem sponiewierania ciała i duszy Polski przez prześladowców, zmąciło się w nas poczucie wielkości i wartości historycznej idei polskiej. Przestawaliśmy rozumieć własna przeszłość. Zrywał się kontakt z nią, tak żywy jeszcze w pokoleniu mickiewiczowskim. Historiografia lat postyczniowych oszukała nas, potępiając ryczałtem drogi, którymi Polska szła w epoce poprzedzającej rozbiory. Nowsze badania historyczne podjęły rewizję niewzruszonych dotychczas dogmatów szkoły krakowskiej i podważyły ślepe do nich zaufanie. Wśród gromadzenia i naukowego przygotowania źródeł wśród prac nad poszczególnymi zjawiskami i odłamkami czasu, nie mogła być jeszcze wykonana nowa wielka synteza dziejów Polski. Jednakże już dziś – dziś właśnie szczególnie wyraźnie i jasno – wiemy, że z rumieńcem nie wstydu, lecz dumy, możemy patrzeć na przemierzoną dotąd wielką drogę narodowej przeszłości. Wśród wichru olbrzymich przemian dziejowych, wobec ogromnego tętna, jakiem uderzyło łono ziemi, wobec rozsypywania się w gruzy starych form, gdy Bastylie padają, a nieśmiertelny dreszcz pożądania wolności płynie przez miliony serc ludzkich, nowego nabiera oświetlenia to, co się – nie odczytane jeszcze w całej rozciągłości – zawarło w rocznikach naszych dziejów, to, za cośmy pokoleniami całymi marli wśród niewymownych cierpień. W głębokiej prawdzie zarysowuje się przed nami fakt, że Polska była „wielka rzeczą”, że instytucje publiczne i idee, jakie rozwinęła w swym długim życiu, a które odbiły na niej tak odrębne charakterystyczne piętno, oparte były na niewspółcześnie śmiałych i wzniosłych koncepcjach dziejowych, które w istotnej treści swej zachowały dotąd niezniszczalną wartość.
Zadaniem niniejszej pracy będzie przedstawić pokrótce najważniejsze przejawy polskiej myśli dziejowej. Nie będziemy tu wchodzić w praktyczne błędy i grzechy Rzeczypospolitej, których nie brak: przy ocenie najgłębszych, podstawowych zasad, jakimi kierowała się dusza polityczne naszej ojczyzny, znaczenie ich jest podrzędne. Polska, nie napastowana z zewnątrz, byłaby uleczyła z łatwością swe niedomagania, do czego dążyła już od połowy XVIII wieku i czego dowiodła w reformie Czartoryskich roku 1764, w wiekopomnych pracach oświatowych Komisji Edukacyjnej i Konstytucji 3 maja, a uzupełniwszy braki swego ustroju, rozciągnąw-

szy jego dobrodziejstwa z czasem na cały naród, stałaby się ze szlacheckiej Rzeczypospolitej stanowej wzorową republiką nowoczesną. Grzechy i błędy publicznego życia, bez wtrącania się obcej napaści w nasze sprawy, mogły były jedynie odwlec wysunięcie ostatecznych konkluzji ze wspaniałych założeń polskiej myśli politycznej. A założenia te, pozostawione warunkom swobodnego rozwoju, rozkwitając i dojrzewając w atmosferze zdwojonej intensywności pracy ducha ludzkiego, jaką przyniósł wiek XIX, doprowadziłyby nas już do tej pory z pewnością do wcielenie wzorowego państwa nowoczesnego, podobnie jak to się stało z Anglią, która dzięki temu, że gwałt zewnętrzny nie przeszkodził jej swobodnie się rozwijać, wysnuła bezpośrednio ze średniowiecznych instytucji i idei prawnych typ nowoczesnego państwa wolnościowego i praworządnego, nie przechodząc wcale przez „szkołę" absolutyzmu. Myśl polityczna naszego narodu skrystalizowała się w połowie XV wieku. Odtąd oddzielnym poczęła płynąc korytem w porównaniu z przeważną częścią Europy.
Ten moment weźmiemy też za punkt wyjścia do naszkicowania obrazu, który poprzez wzrost i upadek polskiej potęgi państwowej, wśród nierównego poziomu duchowej i moralnej wartości pokoleń, wśród licznych zmian a zwłaszcza wynaturzeń w szczegółach, pozostał w zasadniczych swych zarysach ten sam przez przeciąg trzech z górą stuleci. Zostawiając na uboczu zamierzchłe dzieje średniowiecza, dzieje niemowlęctwa narodu, przypatrzmy się głównym duchowym wiązaniom tej w nowszych czasach wytworzonej konstrukcji politycznej, która nazywała się Rzeczpospolitą Polską.

Idea życia zbiorowego

Wśród rosnącego absolutyzmu w Europie - rozwój swobód w Polsce. Swobody obywatelskie i polityczne. Naród źródłem władzy. Ustrój państwowy. Zasady. Sejm polski i jego rola kierownicza. Liberum veto. Konfederacje. Intensywność życia publicznego. Rzeczpospolita.

Na przełomie wieku XVI i XVII Europa poczyna wchodzić coraz głębiej w okres nowoczesnego absolutyzmu. Na całym niemal kontynencie zamiera idea samorządu stanowego, wyhodowana przez wieki ubiegłe. Dawne sejmy stanowe oraz francuskie etats generaux, niemieckie landtagi, hiszpańskie kortezy, które przy całym swym zacieśnionym widnokręgu reprezentowały pierwiastek społeczny w rządzie, pokonane w długoletniej zaciętej walce z rodzimą władzą monarszą lub jak sejm węgierski lub czeski zatamowane w rozwoju, względnie zniszczone przez obce siły, ustępują z widowni. Jeżeli czasem utrzymały się jeszcze formalnie, życie pozbawia je wszelkiego znaczenia. Na ogół staja się cieniem przedstawicielstwa. Nie maja prawa stanowienia o niczym – mogą tylko słuchać i potakiwać. Są zwoływane rzadko, nieraz, co kilkadziesiąt lat lub w ogóle nikną. We Francji np. zamarły w roku 1614 i dopiero w przeddzień wielkiej rewolucji po 175 latach następuje próba ich wskrzeszenia. Królów francuskich nazywano w XVI wieku „reges servorum" t. j. królami niewolników, zamiast „reges Francorum", a pisarze polityczni współcześni, zastanawiając się nad różnicą miedzy „monarchą" i „tyranem", upatrywali ja w tem, że tyran nie dopuszcza do głosu poddanych i wszystkie ciała reprezentacyjne „przestraszają go jak światło nietoperza". Sejmy stanowe schodzą ze świata bezpotomnie, nie wyłoniwszy z siebie kształtów ustrojowych wyższego rzędu. Natomiast nowy prąd dziejów coraz bardziej grupuje czynniki rządu dookoła purpury monarszej, aby na koniec skupić w ręku jednego człowieka, króla, wszystkie promienia władzy i strąciwszy społeczeństwa ludzkie w poniżającą nicość polityczną, pozwolić temu jednemu człowiekowi powiedzieć o sobie wyniośle: Państwo, to ja! W wieku XVII niemal wszędzie już na kontynencie rozpościerał asie absolutyzm. Nieodpowiedzialna przed nikim i żadnym prawnym hamulcem nieokiełznana wola jednostki kierowała uzależnionymi od siebie narodami i państwami, niby osobista własnością – przed wola ta ślepo korzyły się narody. Zwycięski autokratyzm zniweczył udział społeczeństw w życiu publicznym, podkopując tem samem w znacznej mierze i przywiązanie ich do powszechnego dobra.

W Polsce rzeczy przybrały obrót wręcz odmienny. Obok Anglii ona jedna, a na kontynencie europejskim jedyna, potrafiła nie tylko obronić i utrzymać prze cały czas swego państwowego bytu, ale i rozwinąć przekazana przez średniowiecze zasadę udziału społeczeństwa we władzy. Jak dwa o przeciwnym biegu strumienie, płyną: rozwój ustrojowy europejskiego kontynentu i rozwój ustrojowy polskiej Rzeczypospolitej. Tam u stóp wznoszącego się coraz wyżej tronu jedynowładcy wychowuje się na długie stulecia pokorny typ „poddanego o ograniczonym rozumie". Tu, przy ciągłym przesuwaniu się władzy w ręce narodu, wytwarza się typ wolnego obywatela, który stosunek swój do państwa określa dumną a co ważniejsza słuszna zasadą: nihil de nobis sine nobis" –„nic o nas bez nas".

Naród polski z niebywała szybkością rozwija u siebie swobody obywatelskie i polityczne od początku wieku XV.

Przywilejem czerwińskim z roku 1422 zdobywa szlachta polska zabezpieczenie nietykalności mienia: król nie może odtąd pozbawiać nikogo własności prywatnej bez wyroku sądowego. Rok 1425 przynosi doniosłe prawo nietykalności osobistej, wyrażone w wiekopomnej ustawie zasadniczej „Neminem captivabimus nisi jure victum", poręczającej, iż szlachcic nie będzie uwięziony inaczej, jak na podstawie prawomocnego wyroku sądowego, wyjąwszy schwytanie na gorącym uczynku zabójstwa, podpalenia, kradzieży i gwałtu. To polskie „Habeas corpus", wyprzedzające o wiele stuleci rozwój pojęć prawnych na kontynencie europejskim, a przestrzegane tak sumiennie, ze nigdy nie ważono się go pogwałcić, rozciągnęła Rzeczypospolita polska z czasem także na mieszczan (1791) i na żydów (1792). Przywilej z roku 1588 zabezpiecza nietykalność ogniska domowego, postanawiając, że dom szlachcica nie podlega rewizji, nawet wówczas, gdy się tam ukrywa banita. Bez specjalnych patentów posiada obywatel Rzeczypospolitej wolność tworzenia związków i swobodę wyrażania przekonań słowem i pismem i nie może być w żadnej postaci prześladowany za opinię, wygłoszona w sprawach publicznych. Kto pozywał współobywatela do sądu za wypowiedzenie choćby najbardziej nieprawomyślnych poglądów, karany był sam jako burzyciel spokoju wewnętrznego i ciemiężyciel wolności obywatelskiej. Tak zwane dziś zasady konstytucyjne: nietykalność jednostki, ochrona mienia i ogniska domowego, wolność zrzeszania się, swoboda ujawniania myśli - zasady, o które gdzie indziej płynęły w XIX stuleciu potoki krwi i które zdobywano wśród gwałtownych wstrząśnień wewnętrznych, były w Polsce urzeczywistnione już w wieku XV i XVI i przetrwały do końca istnienia Rzeczypospolitej, gdy w Europie panowało najsroższe bezprawie.

Równolegle rozwijają się swobody ściśle polityczne. Podstawa ich staje się uzyskany w roku 1554 w Nieszawie „statut" Kazimierza Jagiellończyka, który obowiązuje się w nim nie wydawać nowych ustaw, ani nakazywać wypraw wojennych, inaczej, tylko za zgodą szlachty zgromadzonej na sejmikach ziemskich. Odtąd uzyskała szlachta dostęp do władzy prawodawczej. Coraz wyraźniej krystalizuje się zasada, która stanie się kamieniem węgielnym ustroju państwowego w Polsce, że wszystko co ma obowiązywać ogół, musi podlegać jego uprzednim zezwoleniu. Z mgławicy tak krystalizujących się pojęć wyłania się polski system parlamentarny. W drugiej połowie XV wieku periodyczne zjazdy rycerstwa oraz przyboczna rada koronna przeistaczają się w **sejm walny,** stały odtąd i pierwszorzędny życia publicznego czynnik, którego ostateczne zorganizowanie się przypada na rok 1493. W roku 1505 sejm w Radomiu uzyskuje podstawę prawną swej organizacji, a zarazem przeprowadza wielka reformę ustrojową w ustawie zasadniczej „Nihil novi constitui debeat per nos sine communi consensun conciliariorum et nuntiorum terestrim" („nic nowego nie postanowimy – zaręcza król – jak tylko za wspólną zgodą Rady i posłów ziemskich")

Konstytucja „Nihil novi", która odtąd przez trzy wieki blisko aż do dnia 3 maja 1791 r. będzie tworzyła główna podstawę ustroju Polski, uświęca aktem prawodawczym i po raz pierwszy wyraźnie określa i utrwala zasadę, która się w praktyce na ogół od dawna była utarła, zasadę, że prawo nie może być stanowione przez jedna osobę, przez koronowanego władcę i zwierzchnika, ale winno być uchwalone z udziałem ogółu, że zatem właściwym źródłem norm regulujących życie publiczne jest naród i że ma on słuchać tych praw, jakie sam w oso-

bach wybranych przez siebie przedstawicieli w sposób wolny i nieprzymuszony uznał za potrzebne. Przenosząc władze ustawodawczą, służącą dotąd sejmikom ziemskim, na sejm walny, przyczyniła się konstytucja 1505 roku, tym zcentralizowaniem legislatywy, zarazem do ściślejszego spojenia i skonsolidowania całości narodowej. Tworzy ona w ogóle fakt epokowy w naszych dziejach, „przedziela - według słów Bobrzyńskiego („Sejmy polskie") – państwo polskie średniowieczne od nowożytnego" otwierając jednocześnie okres naszego najświetniejszego wewnętrznego rozwoju, okres Zygmuntowski.

Sejm wlany w Polsce („stany sejmujące") składa się z senatu i izby poselskiej, a ponadto wchodzi w skład jego w charakterze osobnego „stanu" król, który sprawuje tez z natury rzeczy najwyższą władzę wykonawczą i naczelne dowództwo siła zbrojną. Zespolenie to władzy królewskiej z przedstawicielstwem narodu w jedną zwartą całość istniało, prócz Polski, aż do najnowszych czasów tylko w konstytucji Anglii. Prof. Balzer („Państwo polskie w XV i XVI wieku") podkreśla, że gdy gdzie indziej naówczas władca występował poza obrębem przedstawicielstwa stanowego jako osobnym i przeciwstawiający mu się czynnik, to „polski związek króla z sejmem jest ograniczony jak gdyby w nowożytnej monarchii" i że gdy dualizm średniowieczny umożliwił z czasem narodziny absolutyzmu, u nas przeszkodziło temu właśnie połączenie króla z ciałem prawodawczym we wspólnych ramach. W senacie polskim zasiadają, wraz z monarchą, senatorowie świeccy i duchowni, w izbie poselskiej szlachta („rycerstwo") i – przynajmniej do pewnego czasu, względnie w pewnej mierze – mieszczaństwo. Członkowie izby poselskiej pochodzą z wyboru: szlachta wybiera posłów „ziemskich" na zgromadzeniach wyborczych czyli sejmikach, wojewódzkich lub ziemskich, przez powszechne głosowanie, miasta wybierają posłów miejskich.

Sejm polski jest reprezentacją ogólnopaństwową i najwyższym zgromadzeniem prawodawczym, którego postanowienia obowiązują cały kraj. Do ważności jego uchwał wymagana była powszechna zgoda obu izb oraz króla. W niektórych sprawach zachował król, oczywiście z wola sejmu, władze wydawania ustaw na własna rękę, co atoli nigdy nie było jasno i ściśle uregulowane. (Stanisław Kutrzeba, „Historia ustroju Polski"). Izba poselska tworzyła właściwy czynnik prawodawczy, senat przyjmował lub odrzucał jej uchwały, przy czym obie izby w określonych momentach schodziły się na wspólne narady. Projekty do praw wnoszone były od tronu, ale mógł z nimi wystąpić każdy poseł. Obrady sejmowe odbywały się jawnie, przy drzwiach otwartych wobec publiczności, czyli „arbitrów". Przewodniczy obradom w senacie król, w izbie poselskiej wybierany z jej łona marszałek. Przez cały czas trwania sejmu posłowie i senatorowie są nietykalni i wolni od odpowiedzialności sądowej: toczące się w jakichkolwiek sądach ich sprawy ulegają chwilowemu zawieszeniu pod nieważnością wyroku.

Wadą organiczna tak skonstruowanego ciała, które zresztą w długotrwałej praktyce ulega różnym, acz nieznacznym tylko modyfikacjom, jest skrępowanie posłów przez „instrukcje" od wyborców, co otwierało szeroka drogę do egoizmów lokalnych, a trwa aż do reformy 3 maja 17912 roku i w rozmaitych epokach jest ze zmienną skrupulatnością przestrzegane. Instrukcje te określały mniej lub więcej dokładnie jakie stanowisko zająć ma poseł wobec najważniejszych przynajmniej spraw, będących na dobie, pozostawiając go tym samym swobody działania. Niekiedy jednak wyborcy, nie krępując swego posła, polecali mu wręcz postąpić jak uzna za właściwe i pożyteczne, lub tez iść solidarnie z większością. Po sejmie posłowie mają stanąć przed wyborcami i na t. zw. sejmikach relacyjnych zdać sprawę ze swych czynności. Szeroki samorząd zachowały województwa i „ziemie" w liczbie kilkudziesięciu. Odpowiadał temu osobny organ prawodawczy w postaci sejmików gospodarskich, na których szlachta załatwiała różne miejscowe sprawy administracyjne i skarbowe, uchwalała podatki na miejscowe potrzeby i pobierała je przez swych urzędników: województwa utrzymywały nawet własna siłę zbrojną. Były to niby małe republiki w ramach wielkiej, która za pomocą władz centralnych i walnego sejmu łączyła je we wspólna całość. Kiedy władz centralna w epoce upadku saskiego zupełnie niemal zanikła i punkt ciężkości przeniósł się do lokalnych ciał samorządowych, których nadmierny rozrost zagroził

wprost rozbiciem więzi państwowej. Rzeczpospolita stała się jakby luźna federacyą takich nieskoordynowanych ze sobą republik – województw¨
Lecz zresztą w zasadzie, a poza owym okresem stuletnim rozprężenia także w praktyce, całe życie państwowe poddane było rozstrzygającemu wpływowi sejmu walnego. Do zakresu jego działania należały następujące kierownicze funkcje: Wypracowanie i uchwalenie ustaw obowiązujących ogól mieszkańców, nakładanie wszelkich ciężarów i podatków państwowych, przyzwalanie na bicie monety, sadownictwo karne najwyższej instancji dla spraw wyjątkowej wagi, kontrola działalności rządu, nadzór nad gospodarstwem skarbowym państwa, którego rachunki podskarbiowie koronny i litewski przedkładają do zbadania i zatwierdzenia osobnej komisji sejmowej, czuwanie nad administracją wewnętrzną, odbieranie sprawozdań od posłów do dworów cudzoziemskich i wyznaczanie kierunku polityce zagranicznej, sankcjonowanie traktatów i przymierzy, wreszcie tak ważna czynność jak decyzja o wypowiadaniu wojen i zawieraniu pokoju. Monarcha polski nie mógł dla osobistych czy rodzinnych widoków rozpalić lekkomyślnie pożogi wojennej, gdyż najdonioślejsze z praw – prawo dobycie oręża – przysługiwało samemu tylko narodowi, który zastrzegł sobie rozpatrzenie, czy wojna czy pokój zgodne są z jego interesem. Są to kompetencje olbrzymie, których znaczna część nie stała się jeszcze dziś w tym stopniu udziałem niejednego z nowoczesnych parlamentów. Niesłychanie silnie akcentowane prawo jednostki znalazło wyraz w charakterystycznej dla polskiego ustroju politycznego zasadzie jednomyślności uchwał sejmowych, zasadzie, która w pewnym stopniu ma na zachodzie swoje analogie w epoce średniowiecza, lecz w tej mierze i w tym natężeniu pojawiła się tylko u nas. Każda prawomocne uchwała sejmu musi zapaść „unanimiter", wszystkimi głosami. Głos przeciwny jednego posła („Liberum veto") obala uchwałę. Na dnie tej zasady leżała myśl, że większość nie powinna narzucać mechanicznie swej woli mniejszości. Poseł sejmu polskiego chciał być nie przegłosowanym, lecz przekonanym. Przez długi czas doktryna ta, nazywana przez szlachtę „źrenicą wolności", wytrzymywała zwycięsko próbę życia. „Liberum veto" było przez sto lat prawem, z którego nikt nie wysnuwał ostatecznych konsekwencji: mniejszość dawała się przekonywać lub dobrowolnie ustępowała przed wolą większości. „Za najświetniejszych czasów sejmikowania polskiego większość głosów rozstrzygała faktycznie zarówno w senacie jak i w izbie poselskiej w kwestiach większej wagi" – stwierdza Bobrzyński („Sejmy polskie"). Od schyłku XVII w., gdy poziom moralny społeczeństwa obniżył się, stała się zasada jednomyślności dogodnym narzędziem bądź do wichrzeń zewnętrznych, bądź dla opozycji przeciwnej wszelkim reformom i poczęła służyć do zrywania sejmów: w czasach upadku utarło się mianowicie, że „veto" jednego z posłów unieważniało uchwały całej w ogóle sesji i tamowało czynności sejmowe. Zniosła je częściowo już reforma Czartoryskich w 1764 r., do reszty zaś uchwała Konstytucji 3 maja. *(Upatrujemy słusznie niedorzeczność w tym, że uchwały, które sejm powziął, mogły być obalone przez jednego człowieka, powołującego się na swoje prawo „veta". Europa nie wychodzi z podziwu, jak taka absurdalna zasada utrzymała się u nas przez tyle wieków. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę, że „liberum veto" istnieje dotąd wszędzie, gdzie ustawa, choćby uchwalona przez cały parlament, upada, skoro nie uzyska jeszcze sankcji głowy państwa. Że w tym wypadku wola jednego człowieka przekreśla wolę ciała prawodawczego, to krytykom polskiego „liberum veto" wydaje się najnaturalniejszym w świecie.)*

Przeciwwagę „Liberum veto", częściowo przynajmniej, przynosiły ze sobą konfederacje, dobrowolne związki obywateli, zawiązywane na czas zewnętrznego niebezpieczeństwa oraz podczas każdorazowego bezkrólewia, celem utrzymania porządku w państwie. Uchwały zapadały wówczas na sejmach wyjątkowo większością głosów. Złączona w owych związkach szlachta (przez długi czas i mieszczaństwo) słuchała obranej przez siebie władzy, „:generalności konfederackiej", ślepo i bezwzględnie, aż do gotowości na śmierć dla spełnienia jej postanowień. Zwierzchność konfederacka posiadała władzę nieograniczoną, dyktatorską.
Życie polityczne Rzeczypospolitej rozwinęło się w tych ramach z niezmierną intensywnością. O ile mieszczaństwo faktycznie rychło zeszło z

widowni, a pewne przysługujące mu prawa wykonywało raczej tylko manifestacyjnie, aby stwierdzić, że je w zasadzie posiada, to ogół ziemiański coraz bardziej zaprawiał się w szerokim życiu państwowym. W ciągu długiej i nieprzerwanej praktyki trzech stuleci wyrabia się kultura polityczna, która wchodzi w krew szlachty polskiej. Sprawy publiczne – źle lub dobrze pojmowane – pochłaniają ja, są zajęciem ulubionym i zaszczytnym, jak w starych republikach greckich, i równie jak tam posiadają zdolność roznamiętniania. Na sejmach, zwyczajnych, zwoływanych obowiązkowo co dwa lata i nadzwyczajnych, zbierających się w razie potrzeby, na niezliczonych rodzajach sejmików powiatowych i wojewódzkich (sejmiki przedsejmowe, elekcyjne, deputackie, gospodarskie, relacyjne, generalne), w obieralnych trybunałach sądowych i na licznych urzędach, jest szlachta nieustannie zaprzątnięta sprawami bądź samorządu lokalnego bądź odnoszącymi się do interesów państwa.

Obraz powyższy jest w ogólnych zarysach wykończony już pod koniec XVI wieku i bez zmian zasadniczych pozostanie takim przez dwa następne stulecia, właśnie wtedy, gdy niemal cała Europa kontynentalna poddała szyje pod jarzmo absolutyzmu. Ponieważ we wszystkich tych prawach i swobodach politycznych bierze udział cały, niezmiernie liczny i różnolity w swym społecznym uwarstwieniu ogół szlachty, a tron od dawna już przestał być dziedzicznym, Polska krystalizuje się ostatecznie jako ustrój szlachecko – demokratyczny i szlachecko – republikański. W ustach narodu zjawia się samorzutnie na oznaczenie tak ukształtowanego państwa nazwa „Rzeczypospolitej", która odpowiadając wiernie duchowi urządzeń publicznych, upowszechnia się szybko jako nieurzędowe określenie konstytucyjnej monarchii polskiej

* * * * *

W naszej literaturze historycznej, niekoniecznie nawet autoramentu szkoły krakowskiej, i w ogóle w całej współczesnej umysłowości, tendencja do obniżania wartości urządzeń i idei państwowych własnego narodu stała się czymś w rodzaju dobrego tonu. Z którym, zdaje się, stoimy odosobnieni w Europie. Dla przykładu spróbujemy tu w zwięzłym przypisku skontrolować parę poglądów na dawny sejm Rzeczypospolitej.

Al. Rembowski („Konfederacja i rokosz")pisze: „ – uważam za stosowne nadmienić, że twierdzenie prof. Bobrzyńskiego, jakoby ustawa polska z roku 1505, uświęcająca udział szlachty w życiu państwowym, stworzyła parlamentaryzm, może w nauce o państwie spowodować tylko pomieszanie pojęć. Przez wyraz „parlamentaryzm" rozumie nauka polityki zgodnie z historykami prawa państwowego system rządzenia czyniący „ministerium zawisłym od poparcia większości izby gmin. System powyższy wyrobił się i utrwalił w Anglii dopiero na początku XVIII stulecia". Otóż kryterium powyższe jest zupełnie dowolne. Dowodzi tego jasno fakt, ze w Prusiech, a nawet w Rzeszy niemieckiej dotychczas ministeria stoją zaufaniem i wolą korony, nie izb, i żadne wotum nieufności ze strony reprezentacji ludowej nie może zmusić ich do ustąpienia. Co więcej, nawet w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki ministrowie nie są odpowiedzialni przed kongresem, lecz wyłącznie przed prezydentem. Czy można jednak twierdzić jakoby Niemcy czy Ameryka północna nie były państwami parlamentarnymi? Nie! Gdyż istotą parlamentaryzmu jest po prostu taki układ stosunków, w którym społeczeństwo posiada głos współdecydujący w sprawach państwowych za pośrednictwem swego mniej lub więcej zakreślonego przedstawicielstwa, układ, w którym społeczeństwo to, jak obrazowo wyraża się St. Kutrzeba „nie jest tylko miękką glina w rękach władcy".

Ze stanowiska teorii przesadnie podkreśla się i przeciwstawia dzisiejszemu stanowi rzeczy fakt, że posłowie byli u nas przed reforma 3 maja 1791 roku tylko mandatariuszami sejmików a nie przedstawicielami całego państwa: że „ci co w sejmie zasiadali reprezentowali interesy stanu a nie państwa, zaś interesy państwa o tyle tylko o ile one schodziły się z tamtymi". Jedno i drugie jest oczywiście zgodne z martwa literą urządzeń ówczesnych. Skoro jednak weźmiemy pod uwagę praktykę, która wobec „szarej teorii" ma chyba tez jakieś

znaczenie, to stwierdzić należy: 1). że członkowie sejmu polskiego, mimo że byli mandatariuszami sejmików, wznosili się niejednokrotnie na wysoki poziom przedstawiciela całości państwowej, czego mamy mnóstwo przykładów. 2). że deputowani dzisiejsi, aczkolwiek nie prawnie, to faktycznie, czują się również – nieraz przede wszystkim przedstawicielami swoich „okręgów" i mandatariuszami swoich wyborców, od których na zgromadzeniach przedwyborczych otrzymują sui generis przy czym wiadomo jak wrażliwi bywają na punkcie zyskania osobistej nawet wdzięczności tych od których wzięli mandaty. 3). że dawne stany w znaczeniu prawno – państwowym zastąpione zostały przez „klasy" społeczne i że w dzisiejszych ciałach ustawodawczych posłowie, podobnie jak kiedyś było w Polsce reprezentują przede wszystkim interesy swojej klasy, a państwa o tyle tylko o ile one schodzą się z tamtymi. Wystarczy wskazać na posłów robotniczych, posłów agrariuszy np. pruskiego typu, na walki o reformy wyborcze podszyte zupełnie wyraźnie klasowymi interesami itd. pozostawienie zresztą dotąd w składzie ciał prawodawczych izby „wyższej", izby „lordów", izby, która na Węgrzech nazywa się wprost „izba magnatów", dowodzi, że pierwiastek stanowości nie został całkowicie usunięty nie tylko z ducha, ale nawet z organizacji nowoczesnego parlamentaryzmu.

Prof. Oswald Balzer („Reformy polityczne i społeczne konstytucji 3 maja") mówi znowu: „Przywykliśmy nazywać sejm polski ciałem parlamentarnym, reprezentacja narodu". Jeżeli do tych nazw przywiążemy znaczenie ściste, dzisiejsze, to trzeba je chyba zarzucić: izba poselska nie była izbą parlamentarna w znaczeniu dzisiejszym". Z równa słusznością należałoby odmówić i dziś istotnych cech parlamentu sejmom, które nie opierają się na głosowaniu powszechnym, bo i one reprezentują tylko ułamek narodu. Gdyby o istocie parlamentaryzmu miała rozstrzygać zasada bezwzględnie doskonałej reprezentacji, to pokazałoby się, że nie ma na świecie w ogóle parlamentów, albo istnieją one tylko w paru krajach i to przeważnie egzotycznych. Za wyjątkiem bowiem dalekiej Australii, Nowej Zelandii oraz dwóch północno – amerykańskich stanów Wyoming i Colorado, a w Europie Finlandii i Norwegii we wszystkich krajach i państwach usunięta jest od udziału w życiu reprezentacyjnym polowa ludności t. j. kobiety. Wyłączenie to jest niezawodnie krzywdzące i niedorzeczne: nie zechcemy mimo to jednak twierdzić, ze parlament francuski, w którym kobiety nie maja prawa głosu, nie jest dlatego parlamentem. Wysuwane dla kontrastu z dawnym polskim sejmem określenie „parlamentaryzm w znaczeniu dzisiejszym" jest arcyśliskie, gdyż to „dzisiejsze znaczenie" ogarnia w dobrej zgodzie dzisiejsze przedstawicielstwa o tak znacznych odchyleniach jak parlament angielski czy przedrewolucyjna Duma rosyjska, sejm pruski i parlament nowozelandzki. Że sejm Rzeczypospolitej polskiej nie był „dzisiejszym parlamentem" tego chyba nie trzeba dowodzić. Jeżeli jednak Bobrzyński widzi w roku 1505 narodziny parlamentaryzmu w Polsce, to atakowanie tego słusznego twierdzenia „dzisiejszością" nie może bynajmniej zachwiać istotą rzeczy, która nie tylko w perspektywie dziejowej, ale jak widzieliśmy, nawet dziś, w obrębie tego samego czasu, przejawia się w bardzo różnych postaciach.

Pomiędzy dawnym sejmem polskim a najliberalniejszym z sejmów nowoczesnych zachodzi głównie i przede wszystkim różnica ilościowa, naturalna ze względu na upływ stuleci, podczas gdy między ustrojem i duchem Polski historycznej a większością państw w Europie, nie tylko współczesnych jej, lecz jeszcze nawet w XIX i XX wieku zachodzi różnica jakościowa, zasadnicza, taka, jaka wyraża się w stosunku wolności do despotyzmu.

Naród i król

Wolna elekcja panującego. Stosunek do monarchy. Prawo do korony. „Artykuły henrycjańskie". Król – prezydent. Prawo o wypowiadaniu posłuszeństwa. Król dla narodu, nie naród dla króla. Królobójstwo w Polsce nieznane.

Polityczna społeczność polska od schyłku średniowiecza aż po koniec swego istnienia wyznaje zasadę, ze człowiek powinien podlegać tylko tej władzy, którą sam z siebie wyłonił. Król w Polsce nie jest też narzucony ślepym trafem urodzenia – wybrano go wolną elekcją,

na zgromadzeniu wyborczym. Na którym mógł zjawić się i oddać swój głos każdy pełnoprawny obywatel państwa. Obok senatorów i posłów od ziem i znaczniejszych miast, cała osiadła szlachta Korony i Litwy, bez względu na stopień zamożności, miała prawo przybyć na sejm konwokacyjny do Warszawy i osobiście brać udział w wyborze króla. Był to więc wybór na podstawie powszechnego głosowania, jednej wprawdzie warstwy, lecz niezmiernie licznej.

Zasada elekcyjności tronu w Polsce istniała już właściwie od roku 1382, po wymarciu głównej linii Piastów i po zgonie Ludwika węgierskiego, którego jeszcze Kazimierz Wielki po prostu „przeznaczył" na króla na mocy układów familijnych, nie pytając o niczyją zgodę. Utrwaliło ją ostatecznie wygaśnięcie rodu Jagiellonów, który dynastią był tylko na Litwie. Odtąd, od roku 1572, datują się owe niezwykłe akty wyborcze, w których brała udział cała szlachta, stanowiąca w danym okresie dziejowym „naród" polityczny, akta wadliwie zorganizowane ale istota swą, poprzez absolutyzm, utrwalający się wówczas w Europie, wybiegające ku wyżej rozwiniętym a dziś w wielu krajach praktykowanym pojęciom nowoczesnym. Dopiero w roku 1791 niebezpieczeństwo grożące ze strony sąsiednich mocarstw autokratycznych zmusiło Polskę upodobnić się do otoczenia i wprowadzić monarchię dziedziczną. Niemniej przez cały ciąg panowanie dynastii Jagiellońskiej naród polski dobrowolnie obierał siedmiu po kolei królów z jednej rodziny, a wczasach późniejszych obrał trzech z rzędu Wazów i dwóch Wettinów, co wymownie dowodzi, iż chroniąc zasadę polityczną, nie popadał bynajmniej w doktrynerstwo.

Przez długie wieki szlachta polska strzegła zasady elekcyjności tronu jako kardynalnej cechy swobód obywatelskich. Dziś niezmiernie łatwo wykazać szkody, jakie przyniosła Polsce wolna elekcja. Niemniej motywy ogółu szlacheckiego miały za sobą głębokie racje polityczne. Dziedziczność tronu na całym kontynencie europejskim została wyzyskana przez monarchów jako narzędzie do wprowadzenia rządów absolutnych, a oprócz tego była źródłem wojen sukcesyjnych, które ustawicznie zawichrzały Europę. Naród, który nie chciał absolutyzmu, musiał bronić się przeciw zasadzie dziedziczenia i zamiast „pana dziedzicznego" chętniej uznawać władzę „pana obieralnego".

Między narodem a królem panuje w Polsce stosunek, który dobitnie charakteryzuje ducha urządzeń publicznych. Wobec osoby królewskiej zachowuje szlachcic polski pełne poczucie swej godności obywatelskiej i ludzkiej. „Króla szanował – mówi historyk Kalinka – jako powagę moralną, jako głowę federacji szlacheckiej, której członkiem sam się być wyznawał, ale króla się nie bał, bo nic od niego doświadczyć nie mógł. Rad był pozyskać jego łaskę, lecz w potrzebie bez niej się obchodził. Czem był, nie z króla był, ale sam z siebie". W przeciwieństwie do tego we Francji np. za Ludwika XIV już nie zabiegano o względy, ale kult osoby monarszej doszedł do szczytu upodlenia. Wschodząc na ucztę biesiadnicy składali ukłon przed serwetą przeznaczoną do obtarcia ust królewskich, a każdy przechodzący przez sypialnię „króla – słońce" musiał kłaniać się przed pustym łóżkiem. W Polsce w stosunku do panującego nie ma ani śladu owego bizantynizmu, owego służalczego płaszczenia się, owego czołgania się „u stop tronu", które typowo występują w Europie ówczesnej, a także o wiele późniejszej. Do Stefana Batorego rzekł Jakub Niemojewski z całą swoboda wolnego człowieka: „Miłościwy panie, chowaj w całości nasze przywileje a będziesz nam miłościwym królem, jeśli nie – będziesz Stefanem Batorym, a ja Jakubem Niemojewskim". Porównajmy to odezwanie się z owym znanym w historii rosyjskiej faktem, iż pewien bojar za drobne jakieś przewinienie wbity na pal na rozkaz Iwana Groźnego, męcząc się przez całą dobę, mówił do dzieci i żony, stojących opodal słupa: „Boże chroń cara". Był to tylko jeden z tysięcy przykładów niezrozumiałego dla Polaka „heroizmu niewoli", o którym powiedział Mickiewicz, że jest „psu zasługą, człowiekowi grzechem". W atmosferze polskiej sami panujący wzdragają się przed przyjmowaniem bałwochwalczego kultu. Kiedy na sejmie lubelskim w roku 1569 magnaci litewscy, jeszcze pod wpływem starych wyobrażeń, padli na kolana przed Zygmuntem Augustem, król rzekł: „ Klękanie Panu Bogu samemu czynić mamy, a nie ziemskim panom". (W. Sobieski „Król a car"). Tenże król podkreśla, że rozkazuje" swoim poddanym „prawem, nie czym innym", a chociaż nie jest

autokratą, chociaż nikt nie pełza przed nim i nie wybija pokłonów, to on kocha ten swój naród i mówi do niego: „Gdybyście się gardła naparli, aby to było z dobrem waszym, tedy dla was powinienem uczynić – tak was miłuję”.

Szlachcicowi polskiemu towarzyszy dumne poczucie, że jest nie tylko „wyborcą królów”, ale posiada nadto sam prawo do korony. Dla każdego z członków olbrzymiej rzeszy szlacheckiej stoi otworem droga do tronu, jeżeli na mocy wyjątkowych talentów i zasług powołać go tam zechce zaufanie współobywateli. Wypadek taki zdarza się w dziejach Polski cztery razy, a dwaj z tych elektów, Sobieski i Leszczyński, pomnożyli szereg nie najgorszych monarchów. Obaj oni, dostawszy się na tron, czuli się nie jakimiś istotami nadprzyrodzonymi, lecz ludźmi wyrosłymi z krwi i kości społeczeństwa i mimo wszystkie niedostatki polskiego rządu odczuwali szlachetna dumę, że mogą sprawować władzę w państwie opartym na wolności i prawie. Sobieski w pierwszej mowie tronowej, nazajutrz po elekcji, nazwał siebie „prostym szlachcicem”, obranym „z życzliwej woli swobodnego i prawowicie władnego narodu”. Leszczyński, ów zwolennik ukrócenia nadmiernych przywilejów szlacheckich i wróg „liberum veto”, wyznawał jednak, iż „daleko większy honor panować nad wolnym narodem, niż niewolniczym”. O stosunku narodu do króla decydował sam ustrój Rzeczypospolitej, ustrój, który zapobiegając tyranii jednostki, przesuwał punkt ciężkości życia politycznego na zgromadzenia sejmowe, który każdego obywatela czynił tym sposobem bezpośrednio uczestnikiem rządu i który w krew narodu wszczepiał poczucie odpowiedzialności za tok spraw publicznych.

Władza królewska była ograniczona szerokimi, jak widzieliśmy, kompetencjami
Sejmu. Od roku 1573 wstępującym na tron monarchom przekłada sejm elekcyjny do przyjęcia ustawy zasadnicze („artykuły henrycjańskie”) i warunki rządzenia („pacta conventa”), rozgraniczające obowiązki i prawa króla od obowiązków i praw narodu. Król zatwierdza tę umowę przysięgą. Po takim unormowaniu obupólnego stosunku, po uznaniu kierowniczej roli sejmu i zatwierdzeniu swobód narodowych, król polski rozpoczyna swe funkcje, które są funkcjami najwyższego przedstawiciela władzy wykonawczej i pierwszego obywatela państwa, funkcjami w istocie swej – prezydenta republiki, pomimo tytułu i majestatu monarszego.

Naród zabezpiecza się dalej przed wszelkimi próbami autokratyzmu ze strony swego władcy, a czyni to w sposób zarówno prosty, jak uczciwy. „Gdyby król prawa, swobody, artykuły i pacta nadwyrężał lub ich nie dopełnił tedy obywatele będą uwolnieni od wierności i posłuszeństwa monarsze”. Chodziło przy tym nie o „ludzka omylność”, lecz wyraźnie o złą wolę, o świadome zamachy na prawa narodu, co sejm w 1576 roku osobno zastrzegł, „aby dla króla i dla obywateli wola Rzeczypospolitej nie była wątpliwą”. Ustawa z roku 1609 „ de non praestenda oboedientia” dokładnie określa postępowanie, jakie ostatecznie ma wyprzedzić wypowiedzenie posłuszeństwa, nie jest to bowiem procedura ani krótka ani lekkomyślna. Jeżeli król targnął się w sposób jawny i oczywisty na zaprzysiężone prawa, ma być uchwała sejmu trzykrotnie przestrzeżony i upomniany przez prymasa państwa i dopiero „w razie odrzucenia prośby”, w razie notorycznego szkodnictwa, może sejm rozwiązać umowę, której jedna ze stron nie dotrzymała. Naród tedy był obowiązany wyczerpać cały szereg prób porozumienia się z królem, zanimby wypowiedział mu wiarę. Ten stosunek wyjątkowej lojalności wobec panującego mógł w praktyce prowadzić do nadużyć. I temu jednak zapobiegało prawodawstwo polskie, ustanawiając najsroższe kary dla awanturników wzniecającym zaburzenia pod pozorem, że król „na zgubę Rzeczypospolitej zamiary knuje”.

Artykuł „de non praestenda oboedientia” świadczy o wysokiej w Polsce czci dla prawa, które wyżej stawiano niż osobę królewską. Rzecz charakterystyczna przy tym, że warunek ten nie przeszkodził królowi tej siły moralnej, co Stefan Batory, sprawować rządów żelazna ręką i karać gardłem najpotężniejszych magnatów, gdy udowodniono im złamanie ustaw: ogół solidaryzował się z królem, który nie dopuszczał deptania prawi sam je uczciwie wypełniał. Stosunek ten obywateli do osoby królewskiej (jeżeli weźmiemy poza nawias Węgry, których swobody zresztą zaczynają gasnąć już w pierwszej połowie XVI w.) jest czymś nieznanym w dziejach reszty ówczesnej Europy, która na przemian korzy się w prochu przed najdzik-

szymi wybrykami swoich władców i pozwala im po sobie deptać, to znowu rzuca ich sobie pod stopy, pastwi się nad nimi, więzi, truje, obcina głowy itd. Naród polski załatwia swe porachunki z monarchą uczciwie i jasno, jak przystało ludziom wolnym. Gdyby nie mógł dłużej znosić jego panowania, wówczas stanie przed nim z podniesionym czołem, oko w oko, bez niewolniczego podstępu, w biały dzień i z ręka na księdze praw przypomni artykuł „de non praestanda oboedientia" (o nie stawaniu w posłuszeństwie, wypowiedzenie posłuszeństwa), artykuł który przewiduje po prostu rozwiązanie obupólnej umowy. „Chceszli starzeć się miedzy nami – woła naród polski do swego władcy – szanuj nasze swobody". Jeśli nie, tedy król bezie odesłany tam, skąd przybył, z całym jego majestatu szacunkiem i z pełnym swej osoby bezpieczeństwem. Nic złego nie stanie się mu wśród Polaków. Nie błyśnie mu w cieniach nocy maska najętego zbira, nie zagrozi mu sztylet, trucizna ani szarfa. Przez całych ósm wieków swojego bytu państwowego i przez ciąg czterdziestu kilku różnych panowań Polska nie miała ani jednego wypadku królobójstwa. (*Jeden z pisarzy historycznych, omawiając to niezwykłe zjawisko, zapytuje sceptycznie, czy nie pochodzi ono stąd iż „u nas monarcha nie mógł nikomu szkodzić, jak gdzie indziej". Oczywiście! Polska nie potrzebowała mordować królów, gdyż uczyniła wszystko możliwe, by zapobiec działaniu ich na szkodę narodu. Ale czyżby odwrotny stosunek miałby być lepszy?*

W nowszym okresie dziejów od chwili gdy zaczyna się rozwijać władza sejmu, szlachta żyje w nieustannej obawie przed „absolutum dominium", którego wzrost widzi w całej Europie, czuwa ciągle, aby korona nie nadużyła swoich praw na szkodę swobód obywatelskich, ale królów nie wlecze na szafot, nie morduje skrytobójczo. Król w Polsce nie potrzebował tez otaczać się strażą, obracał się wśród swego narodu śmiało i swobodnie. Zygmunt Stary mówił, że nie ma w całej Rzeczypospolitej ani jednego człowieka, na którego piesi spokojnie by nie zasnął. Bohaterski oswobodziciel Wiednia, Sobieski, który słynął z popularności, nie wahał się stanąć do tańca wśród szarego tłumu, na weselu u prostego kowala, jak wolny człowiek wśród wolnych ludzi.

Ten wybitnie charakterystyczny rys polskiego społeczeństwa, iż nigdy nie rozprawiało się z panującymi w sposób podstępny i zbójecki, lecz jawnie i po rycersku, mógł powstać tylko tam, gdzie równie jawnie i otwarcie głoszona była zasada, że nie naród istnieje dla króla, lecz król dla narodu, zasada nawskroś nowoczesna, a wyznawana w Polsce wówczas, gdy dookoła państwa europejskie coraz bardziej staczały się na poziom, prywatnej własności swych monarchów.

Szlachta polska

Liczebność. „Naród szlachecki" i jego uwarstwowienie. Możnowładcy, karmazyni, tłum. Odrębny charakter szlachty polskiej. Równość szlachecka. Nobilitacje. Udział krociowej masy w życiu publicznym.

Aby móc ocenić we właściwy sposób przeszłość dziejową Polski, trzeba uświadomić sobie, ze szlachta nie była tu, jak gdzie indziej, cienka tylko warstwą zwierzchnią, lecz tworzyła ogromny niezmiernie liczny odłam narodu, tak liczny, jak w żadnym innym kraju Europy. Liczebność ta była specjalną cechą polskiej budowy społecznej. Gdy np. Francja z końcem XVIII w. na 20 milionów mieszkańców ma szlachty 140000

A więc niespełna 1,5 %, to Rzeczypospolita polska na 10 milionów mieszkańców, w tym samym czasie liczyła z górą milion (niektórzy historycy podają 1300000) samej szlachty, co czyni 10–13 % ogółu ludności. Niebywały ten odsetek nie powinien dziwić, gdy przyjrzymy się wewnętrznej strukturze warstwy szlacheckiej polskiej. Jest ona w najwyższym stopniu zróżniczkowana, zawiera w sobie uwarstwowienia, które bez mała odpowiadają budowie pełnego organizmu społecznego. W obrębie pozornie jednego „stanu" mieszczą się cztery zgoła różne i mocno od siebie odcinające się grupy. U szczytu stoją wielkie rody magnackie, potężni dzierżyciele latyfundiów przenoszących obszarem niejednokrotnie małe, a nawet średnie księstwa na zachodzie. Poniżej idzie liczne ziemiaństwo zamożne, odpowiadające angielskiej „gentry", w którym jako dalsze odcienia można jeszcze rozróżnić „karmazynów" i

szlachtę średnio sytuowaną, siedząca na jednaj lub paru wsiach. U dołu wreszcie rozlewa się niezmierna rzesza szlachty drobnej, ubogiej, zwana szaraczkową, zagrodową lub zaściankową. Tu spotykamy właścicieli kilkumorgowych zaledwie działek ziemi, którzy ją sami własnoręcznie uprawiają, jak chłopi, nie posiadają bowiem wcale poddanych. Gospodarczo nie różnią się oni niczym od zwykłego chłopstwa a często stoją niżej od chłopów lepiej uposażonych np. z dóbr królewskich. „Politycznie wyniesieni ponad chłopa, materialnie nieraz gorzej uposażeni" – mówi o nich Pawiński („Polska XVI wieku"). Obok nich na koniec, lub raczej o stopień jeszcze w dół, widzimy bezrolny tłum szlachecki, zwany dosadnie „gołotą", który żadnej własności nieruchomej nie ma, a zajmuje drobne urzędy, służy po dworach zamożnego ziemiaństwa lub czepia się pańskich klamek, często zaś niepostrzeżenie wsiąka do miast, chwytając się rzemiosła lub handlu.

W milionie szlachty polskiej ten proletariat szlachecki, z ziemią czy bez ziemi, tworzy tez główny odsetek. Pochodzenie tej warstwy jest różne. Wywodzi się ona czasem z nobilitowanych chłopów, częściej jest produktem ciągłego procesu rozdrabniania się własności ziemskiej, który przez działy rodzinne oraz klęski gospodarcze i wojenne, doprowadził do dwumorgowych nawet posiadłości szlacheckich. Już w połowie XVI wieku w różnych stronach Rzeczypospolitej, na Mazowszu, na Podlasiu, na Litwie i na Pomorzu kaszubskim występuje licznie warstwa nazywana urzędownie „nobiles pauperes", szlachta uboga, szlachta, która później coraz bardziej będzie się upodobniać do chłopstwa, aby za naszych wreszcie czasów, z utrata specjalnych praw politycznych, schłopieć całkowicie. Zaludniała ona w Polsce całe wsie i całe niemal powiaty. Orał swą szczupłą skibę ziemi ów herbowy chudopachołek, nie odpasując przy tym szabli na znak szlacheckiego urodzenia. Powtarzał sobie przysłowie, malujące dobitnie poziom materialny całej tej dobrze urodzonej biedoty: „Choć boso, a z kordem!"

To, iż szlachta polska nie stanowiła jednolitej warstwy społecznej, że rozpadała się na tyle różnych grup specjalnych, odcina ją w jaskrawy sposób od wszelkiej szlachty zachodniej. Że tworzyła ogromną milionową masę ludności, czyni to ją zjawiskiem nie posiadającym zgoła analogii. Nie bez pozorów słuszności też, w poczuciu nie tylko swego uprzywilejowanego stanowiska, ale też tej wielkie siły liczebnej, nazywała się po prostu „narodem szlacheckim". Pomiędzy poszczególnymi warstwami szlachty, oddzielonymi od siebie przepaściami różnic majątkowych, istnieje zasadniczo idealna równość, słynna i z duma wyznawana „równość szlachecka", która stanowi jedną z najbardziej znamiennych cech życia publicznego w Polsce. Od Radziwiłła trzęsącego Litwą do ubogiego szaraczka, wszyscy, bodaj w teorii uznają się za równych jako szlachta i tylko piastowanie urzędów publicznych wywyższa jednych nad drugich. Na znak równości szlachta, bez różnicy stanowiska, nazywa się „bracią". Możnowładca, sięgający głową poziomu korony królewskiej, odzywa się do chudopachołka szlacheckiego odwiecznym zwyczajem „panie bracie". Duch narodu kodyfikuje to w popularnym i ulubionym przysłowiu „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie". Istotnie, pod względem prawnym – pominąwszy tylko niewiele znaczące drobiazgi – żadne nie zachodzą różnice pomiędzy poszczególnym warstwami ogółu szlacheckiego. Wszyscy zajmują jednakowe stanowisko prawne w państwie. Przed wszystkimi w jednakiej mierze stoi otworem udział w sprawach publicznych i droga do najwyższych zasług i największych godności, nie wykluczając królewskiej. Dobitnie ilustrują to w praktyce losy rodziny Poniatowskich, w której dziad był nieznanym nikomu szlachetką, syn już pierwszym senatorem Rzeczypospolitej, a wnuk królem.

Równości tej strzeże szlachta polska miedzy innymi bezwarunkowym zakazem ubiegania się o tytuły baronów, hrabiów i książąt, co liczne i wciąż ponawiane uchwały sejmowe przypominają każdemu pokoleniu, wychodząc z zasady że nie masz zaszczytu większego, niż być obywatelem wolnej Rzeczypospolitej. Wyjątkowo tylko rodom książęcym na Litwie i Rusi, które wywodziły się od panujących tam niegdyś drobnych władców, a podpisane była na akcie Unii Lubelskiej, pozostawiono wolność nazywania się nadal kniaziami. Król polski nie posiadał władzy nadawania tytułów szlachcie krajowej, mógł ich udzielać tylko cudzoziemcom, a ustawa z roku 1673 nakładała karę dozgonnej infamii na tych, którzy przez przyjęcie tytułu od

obcego monarchy poważyli się obrazić zasadę równości. Tak samo, aż do końca nieomal, nie dopuściła szlachta do zaprowadzenia orderów. Próbę Władysława IV ustanowienia orderu Niepokalanego Poczęcia sejm udaremnił. Dopiero w połowie XVIII wieku, wśród powszechnego zamętu, przemycono pierwszy polski order Białego Orła. (*Duch polskiego „narodu szlacheckiego" był zatem republikański i demokratyczny w pełnym tego słowa znaczeniu. Dumny ze swych swobód „naród szlachecki", jakich niegdzie nie było na kontynencie, a nieraz nad miarę nimi upojony, nigdy przecież, za wyjątkiem zdeprawowanego pokolenia z końca XVII i pierwszej połowy XVIII w., nie zamykał się całkowicie przed dopływem z innych warstw ludności. Szlachta polska nie uległa niebezpieczeństwu wyrodzenia się w bezwzględnie skostniałą kastę, lecz zachowała cechy wciąż odnawiającego się organizmu, przy czym droga do tego uprzywilejowanego stanu nie prowadziła przez bogactwa i wpływy, lecz przez zasługę rycerską, która była dostępna i najuboższym: jest to tym znamienniejsze dla charakterystyki ducha narodowego, że od połowy XVI w. Nie król posiadał prawo nobilitacji, lecz sejm, a więc sam „naród". W żadnym z krajów Europy nie było tak licznych nadań szlachectwa i nie było o nie tak łatwo. (Mężowie rycerscy przyjmowali do bractwa swego coraz więcej ludu, przyjmowali całe pułki i całe pokolenia. I stała się liczba braci wielka jako Naród, i w żadnym narodzie nie było tylu ludzi wolnych i bracią nazywających się, jak w Polsce. (A. Mickiewicz – „Księgi narodu polskiego")*

Znanym zjawiskiem jest uszlachcanie całych wsi chłopskich za czyny wojenne. Hetman Zamoyski po zwycięstwie pod Wielkimi Łukami przyjął do swego herbu rodzinnego znaczna część żołnierzy, który to przykład nieraz się powtarzał. Szczególnie wielu włościan służących wojskowo nobilitowano po wyparciu Szwedów za Jana Kazimierza w nagrodę za oswobodzenie kraju od nieprzyjaciela. Za króla Zygmunta Augusta mnóstwo mieszczan otrzymało szlachectwo. Automatycznie uzyskiwali je profesorowie Akademii Krakowskiej. O silnym dopływie z zewnątrz świadczy fakt, że od roku 1601 do 1791 z pośród samych tylko cudzoziemców 500 rodzin zagranicznej szlachty otrzymało w Polsce indygenat, a blisko tysiąc obcych rodzin mieszczańskich zdobyło nobilitację (Fr. Bujak „Z dziejów kultury i gospodarstwa w Polsce"). Wolności szlacheckie posiadali nawet Tatarzy osadzeni na Litwie, chociaż od ogóły szlachty oddzielała ich przepaść różnicy religijnej i w pojęciu głęboko katolickiego społeczeństwa polskiego byli oni „niewiernymi". Rzecz najbardziej jednak znamienna, że przypuszczano do klejnotu herbowego – ochrzczonych oczywiście – Żydów wiec żywioł bezbrzeżnie wówczas wszędzie lekceważony i pogardzany. Nobilitowano ich już w wieku XVI. W połowie wieku XVII obdarzono szlachectwem wiele rodzi żydowskich, należących do sekty tzw. frankistów.

Z powyższego przedstawienia rzeczy wynika jasno, że udział w szerokich swobodach politycznych w Polsce, udział w życiu publicznym i wpływ na sprawy państwa posiadała nie jakaś nic nie znacząca garść oligarchów, lecz wielki odłam narodu, milionowa, wciąż pomnażająca się masa ludności. Do urn wyborczych stawało w Polsce 200 tysięcy szlachty. Liczebny stopień tego udziału unaoczni się najlepiej stwierdzeniem, że Francja za Ludwika Filipa (1830 – 1848), jak to z uprawniona dumą mógł Zygmunt Krasiński podnieść w liście do Lamartina. Posiadała odsetek obywateli uprawnionych do głosowania do ciał przedstawicielskich – mniejszy niż Polska przed trzema wiekami.

* * * * *

Unie

Swobody wewnętrzne źródłem wzrostu mocarstwowego. Siła przyciągania. „Wolni z wolnymi, równi z równymi". Unie z Prusami, Litwą, Inflantami. Podstawy zjednoczenia z Litwą. Autonomizm polski. Jak u nas „wynaradawiano"? Patriotyzm państwowy. Dysonans kozacki. Trwałość unii.

Ustrój wewnętrzny, oparty na wysoko rozwiniętej wolności, gwarantujący tak szczodry wymiar praw i swobód obywatelskich, począł wywierać z czasem wpływ atrakcyjny na inne

narody i wywołał w następstwie potężny wzrost mocarstwowy państwa polskiego. Drogą specyficznie polską, niegdzie indziej niespotykaną w tej postaci, drogą Unii z sąsiednimi państwami i ludami, małe stosunkowo państwo Piastów powiększa coraz to bardziej swoje obszary. Narody sąsiednie, podlegające w domu twardej ręce absolutyzmu lub samowoli oligarchicznej, a pociągnięte urokiem praworządności i swobód, jakie społeczeństwo polskie potrafiło u siebie rozwinąć, poczynają ciążyć ku niemu z zgłaszać dobrowolnie swe przystąpienie do związku z Polską. Przez dwa wieki, od początku wieku XV do końca XVI, trwa szereg tych bezprzykładnych akcesów, dzięki którym Rzeczypospolita polska urasta z czasem do rozmiarów największego mocarstwa w Europie.
Przy zawieraniu unii z Litwa postawiła polska nieśmiertelną w swej prostocie zasadę: „wolni z wolnymi, równi z równymi" i zastosowaniem jej osiągnęła zdumiewające wyniki. Prof. St. Kutrzeba podnosi, ze na przekór utartej teorii, jakoby w rozwoju państwa tylko absolutyzm objawił wszędzie siłę spajającą. Polska XVI i XVII wieków ze swym bujnym rozwojem przewagi czynnika społecznego nad władzą monarszą potrafiła przeprowadzić jedność państwa o wiele lepiej niż despotycznie rządzone Niemcy lub Włoch y. W XVIII wieku Niemcy rozpadały się na półtrzeciej setki udzielnych kraików, wtedy gdy Rzeczypospolita polska stanowiła terytorialną jedność państwową, mimo, że w przeciwieństwie do narodowo jednolitych Niemiec jaj materiał budowlany przedstawił się niemal jako mozaika etniczna.
Łączącą siłę pięści zastąpiła tu skuteczniej łącząca siła miłości pojętej tak dosłownie, iż pierwszej unii Polski z Litwą towarzyszyły liczne małżeństwa zawierane między szlachtą obu krajów.„Związkiem miłości", więc niby mistycznym małżeństwem dwóch narodów nazwano wręcz dalszą ściślejszą unię polsko – litewską w Horodle w roku 1413, której akt przez Polaków ułożony rozpoczynał się charakterystycznym wyznaniem:„Nie dozna łaski zbawienia, kogo nie wesprze miłość. Ona jedna nie działa marnie: promienna sama w sobie, gasi zawiści, uśmierza swary, użycza wszystkim pokoju, skupia co się rozpierzchło, podźwiga co upadło, wygładza nierówności, prostuje krzywe, wszystkim pomaga, nie obraża nikogo, a ktokolwiek schroni się pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie ulęknie się niczyjej groźby. Miłość tworzy prawa, włada państwami, urządza miasta, wiedzie stany Rzeczypospolitej ku najlepszemu końcowi, a kto ją pogardzi, ten wszystko utraci. Dlatego też my wszyscy zebrani, prałaci, rycerstwo i szlachta, chcąc spocząć pod puklerzem miłości i przejęci pobożnym ku niej uczuciem, niniejszym dokumentem stwierdzamy, że łączymy i wiążemy nasze domy i pokolenia, nasze rody i herby...."
Polska zapisała w dziejach cały szereg takich dobrowolnych do siebie przystąpień.
W roku 1454 stany pruskie z miastami prawie czysto niemieckimi i szlachta w znacznej części niemiecką lub zniemczoną wypowiedziały posłuszeństwo oligarchicznemu rządowi Zakonu Krzyżackiego i zwróciły się do Polski z prośbą o inkorporację. W dwanaście lat po tym zgłoszeniu się stanęła unia Prus z Polską. Odtąd, od roku 1466, jest pruskie Pomorze Gdańskie integralna częścią Rzeczypospolitej, zachowując atoli pod względem ustrojowym szeroka wewnętrzna samodzielność. Nowa prowincja posiada odrębne prawo sądowe, tzw. „korekturę pruską", odrębny sejm, odrębny skarb z podskarbim pruskim. Do końca istnienia Rzeczypospolitej posłowie pruscy, kładąc podpisy na aktach elekcyjnych królów, zaopatrywali je zastrzeżeniem „salvis per omnia juribus terrarum Prussiae" (z zachowaniem praw ziemi Pruskiej). W granicach Prus jeszcze dalej idącą odrębność administracyjną i sądową zachowuje Warmia z biskupem swym jako księciem na czele. Do tego stopnia sięga swoboda, że nie tylko niemczyzna w tych przyłączonych ziemiach zachowuje cechy języka urzędowego w magistratach, ale posługuje się nią nawet kancelaria królewska w stosunkach z miastami pruskimi, czego przestrzega tak typowo narodowy król, jak Jan III Sobieski. W roku 1525, z wygaśnięciem dynastii Piastów, księstwo mazowieckie wyrzeka się swej udzielności i przystępuje do dobrowolnego związku z państwem polskim; i oni zachowuje przez długi czas odrębne urządzenia, między innymi własne urządzenia prawne, skodyfikowane pod nazwa „ exceptów mazowieckich". W roku 1561 akces do Polski zgłaszają Inflanty. Zagrożone pod rządami Zakonu Mieczowego zaborem przez rosnącą potęgę Moskwy, niemieckie to i prze-

ważnie protestanckie państewko duchowne, mając do wyboru z jednaj strony jednowierczą i pokrewna plemiennie Szwecję i Danię, z drugiej katolicką Polskę, wybiera tę ostatnią ze względu na widoki uzyskania najszerszego samorządu. Rzeczywiście wcielone do Rzeczypospolitej polskiej Inflanty zachowują, obok pełnej swobody wyznaniowej, oddzielne władze, własne sądownictwo, a początkowo osobny sejm. Stopniowo, bez żadnego ze strony polskiej nacisku, dokonała się ściślejsza tego kraju asymilacja z całością państwa.

Równolegle do tych trzech mniejszych unii z Prusami, Mazowszem i Inflantami, rozwija się wspomniane już na wstępie olbrzymie, zarówno na rozmiary terytorialne, jak na znaczenie dziejowe, epokowe dzieło unii z Litwą historyczną, krajem, który obszarem swym niewiele ustępuje Francji. Przedstawia się ono jako szereg coraz ściślejszych umów, zawieranymi miedzy oboma państwami w przeciągu lat dwustu, jest zatem wytworem niezwykle dojrzałej ewolucji. Wśród całego łańcucha ponawianych w obrębie tego czasu unii polsko – litewskich wybijają się trzy główne etapy. W roku 1386 zawarta została pierwsza, personalna unia Polski z Litwą przez powołanie na tron Polski wielkiego księcia Litwy, Jagiełły, i poślubienie przez niego królowej polskiej Jadwigi. W roku 1413 doszła do skutku unia w Horodle, w której oba narody poręczyły sobie trwałe porozumienie co do następstwa tronu, a szlachta litewska otrzymała zadatki swobód i praw politycznych, jakie już posiadała szlachta polska. W 156 lat po tym nowym zbliżeniu i zrównaniu, po utrzymaniu przez cały ten czas wspólnej dynastii, gdy wewnętrzne upodobnienia się ustroju i ducha obu państw dokonało się już w głównych zarysach, nastąpiła w roku 1569, na sejmie lubelskim, tym razem realna unia Polski z Litwą, która niewzruszona miała przetrwać, dopóki przemoc z zewnątrz nie obaliła świetnej budowli, wzniesionej rozumem naszych praojców.

Oba państwa posiadały odtąd wspólnego monarchę, który był w jednaj osobie królem Polski i w. Ks. Litewskim, oraz wspólny sejm, który zbierał się na przemian w Warszawie i Grodnie, a przewodniczył mu również na zmianę marszałek Korony lub Litwin. Wspólnie występowały zjednoczone kraje na zewnątrz jako jedna Rzeczpospolita, wspólnych miały sprzymierzeńców i wrogów, wspólnie zawierały traktaty i prowadziły wojny. Poza tym pozostawały odrębne dziedziny życia i odrębne instytucja dla każdej połowy. Sejm walny, złożony z senatorów i posłów polskich i litewskich, uchwalał ustawy bądź dla całej Rzeczypospolitej, bądź specjalnie osobno dla Korony i dla Litwy. Zatrzymały oba państwa własną administrację centralną, oddzielne skarby, osobne wojsko, odrębne sądownictwo aż do trybunału ostatniej instancji. (W sądach litewskich, zorganizowanych według polskiego wzoru, obowiązywał miejscowy kodeks praw tzw.„Statut Litewski"). Władza kanclerzy, podskarbich, marszałków i hetmanów koronnych wraz z cała im podwładna hierarchią nie sięgała na Litwę i odwrotnie. Obustronna ta autonomia szła tak daleko, że piastować urzędy mogła na Litwie tylko osiadła szlachta litewska, w Koronie tylko koronna. (*Oto przykład jak zasady tej strzeżono. W roku 1597 zdarzyło się, że biskupem krakowskim mianowany został Litwin, Jerzy Radziwiłł, na odwrót zaś biskupstwo wileńskie miał objąć Polak. Wynikła o to zasadnicza sprawa. Zarówno Litwini, jak i Polacy uznali zgodnie, że precedens taki jest niedopuszczalny i rzecz zakończyła się w ten sposób, że desygnowany do Wilna Polak wcale nie objął urzędu.)*. W praktyce nie odznaczała się tak owa dwoistość państwa tak silnie, skoro ustrój prawny, administracyjny, skarbowy i wojskowy był tu i tam zupełnie zgodny, skoro zwłaszcza osią, około której obracało się życie publiczne, był jeden sejm walny, nie tylko spełniający funkcje ustawodawcze, ale i kierujący całą polityką. Nie mniej Litwa posiadała w stosunku do Polski, aż do epoki rozbiorów, niczym nie zachwiane stanowisko państwa współrzędnego i odrębnego, jakkolwiek mieszkańcy obu krajów – mowa ty oczywiście o warstwach wyposażonych w prawa polityczne – dzięki swobodom, które ich łączyły, czuli się przede wszystkim obywatelami wspólnej Rzeczypospolitej.

Lecz oprócz autonomii terytorialnej zna Polska jeszcze autonomie obcoplemiennych grupo nie zajmujących nigdzie zwartego obszaru. Ormianie mieszkający w południowych miastach Rzeczypospolitej, posiadali własne sądownictwo i odrębny „statut ormiański", zatwierdzony przez polskie władze i normujący wewnętrzne stosunki prawne tego handlowego ludu. Żydzi

mieli przez długie wieki w Polsce zupełnie samodzielną organizację swego wewnętrznego życia, wyposażona nawet w organy centralne. Dwa razy w roku zbierały się „generalne sejmy żydowskie” (Congressus generalis judaicus – od 1582 do 1764), osobno w koronie i osobno na Litwie, które składały się z przedstawicieli gmin wyznaniowych i jako najwyższa instancja załatwiały różne sprawy objęte żydowską autonomią. Sejmom tym przyznane było prawo rozdziału według własnego uznania podatków, które Rzeczypospolita nakładała ryczałtowo na ludność żydowską. Posiadali wreszcie Żydzi własne sądownictwo. Żyd oskarżał Żyda tylko przed sądem żydowskim. Dopiero gdy Żyda oskarżał chrześcijanin, lub odwrotnie, sprawa przechodziła pod sąd królewskiego wojewody, ale i tu zasiadał ławnik żydowski, którego współudział był konieczny dla prawomocności wyroku. O rozległej autonomii Żydów w Polsce odzywają się dziś z zachwytem pisarze narodowo – żydowscy. „Jeżeli gdziekolwiek – mówi dr M. Rosenfeld ("Polen und Juden" Berlin 1917)–dążymy do autonomii narodowej, to jako ideał przyświeca nam to, cośmy posiadali już w Polsce. Pragniemy powrotu do dawnych tradycji, chcemy starego samorządu jaki kiedyś w Polsce kwitnął. *(Nie tylko jednak prawo było tak szczodre dla Żydów. W parze z tym szła wysoka kultura humanitarna społeczeństwa. Historyk żydowski dr Mojżesz Schorr stwierdza w stosunku tego społeczeństwa do ludności starozakonnej „czysto ludzki moment poszanowania godności człowieczej Żydów w odróżnieniu od wszystkich innych krajów”, który między innymi wyraził się w tym, że znany na Zachodzie jaskrawy symbol pogardy dla Żydów, tzw. „żółta łata” (w ciągu dwóch stuleci 1370 – 1538 w prawodawstwie polskim spotykamy tylko cztery razy, a potem już nie spotykamy wcale, był „ w praktyce w ogóle całkowicie nieznany” (Schorr – „Rechtstellung und innere Verfassung der Juden in Polen” Berlin 1917)*

Obok odrębności ustrojowych posiadała różnolita ludność Rzeczypospolitej aż do końca jej bytu całkowitą swobodę języka. Ze strony żywiołu polskiego, niezawodnie górującego kulturą nad olbrzymią większością narodów i plemion, które wchodziły w skład wspólnego związku państwowego, nie było pod względem językowym żadnego zgoła ucisku. Nikogo Polska nie „wynaradawiała”. Nie mniej wyższe warstwy niepolskie w Rzeczpospolitej, przede wszystkim litewskie i ruskie, przyjęły z czasem całkowicie język polski za swój, nie tracąc przy tym poczucia odrębności narodowo-terytorialnej, co w pewnych swoistych formach przejawiało się nawet u takich ludzi jak Kościuszko. Pomimo, że współczesne pojęcie „wynaradawniania” było na ogół obcym tamtej epoce, musimy sprawie tej poświęcić więcej uwagi z dwóch przyczyn. Po pierwsze dlatego, aby wywlec na światło faktów historycznych oszczerczy fałsz pewnych, mianowicie rosyjskich i niemieckich pisarzy, jakoby dawna Polska „uciskała narodowo” złączone z sobą ludy. Po wtóre, ponieważ nie brak jednak przykładów, ze nawet za czasów istnienia Rzeczypospolitej zdarzały się kraje, w których przedwcześnie dojrzała myśl celowej i siła przeprowadzonej unifikacji językowej: wystarczy przytoczyć, że np. w Prusiech już w połowie XVIII wieku w brutalny sposób germanizowano Polaków śląskich, między innymi rafinowanym, choć zresztą krótkotrwałym ukazem Fryderyka II, zabraniającym dawania ślubów parom, które nie wykażą się dostateczną znajomością języka niemieckiego. (Buzek: „Historia polityki rządu pruskiego wobec Polaków”). Ze strony oszczerców obcych wysuwa się głównie zarzut, że Polska „wynarodowiła” wyższe warstwy na Litwie i Rusi litewskiej. Wystarczyłoby zapewnie powołać się na fakt, że Litwa stanowiła w stosunku do Korony państwo odrębne z własnym, jak to widzieliśmy, rządem, administracją, sądownictwem i armią, aby wykazać całą niedorzeczność przypuszczenia, iżby Polacy mogli narzucać jej swój język. Ale nie poprzestańmy na tym, walnym dowodzie i sięgnijmy głębiej.

Nie mogło być mowy o wynarodowieniu wyższych warstw litewskich, gdyż one w chwili pierwszej osobistej unii z końcem XIV wieku od dawna były językowo wynarodowione, uległszy wpływowi bardziej podówczas wyrobionej białoruszczyzny. Język ten był urzędowym na Litwie, w nim zredagowany był sądowy Statut Litewski. Językiem białoruskim, w chwili zetknięcia się z Polską, posługiwali się bojarzy i panowie litewscy w sprawach nie tylko państwowych, lecz i rodzinnych. Tym językiem biegle sam władał i porozumiewał się z

Polakami Jagiełło. Już Kromer pisał: „Odkąd jęła Litwa po rusku mówić litewski język nie był użyteczny”. Zauważono słusznie („Polska i Litwa dawniej i dziś”), że wobec tego mogłaby być mowa o „ucisku ruskim” co zresztą byłoby także nonsensem, ponieważ nie Ruś panowała nad Litwą, ale Litwa nad Rusią. Taki stan rzeczy zastali Polacy w epoce unii. Zmienić w nim prawnie nic nie mogli i nie zmienili, gdyż władza ich nie sięgała poza Koronę ani wtedy, ani później. Życie dopiero sprowadziło zmiany. Zbiałoruszczona niegdyś dobrowolnie szlachta litewska poczęła z czasem, również dobrowolnie, ulegać wpływowm polszczyzny – język białoruski począł ustępować w użyciu potocznym przed wykształceńszym językiem polskim. Polonizacja, która była procesem działającym wolno przez parę pokoleń, zatoczyła kręgi wśród wyższych warstw społecznych całej już teraz Litwy jagiellońskiej. Stopniowo, nieznacznie, bez żadnego nacisku szlachta zarówno rdzennie litewska, jak białoruska (a równolegle z tym w Koronie i ruska) poczęła mówić i myśleć po polsku. Do jakiego stopnia nie było w tej matamorfozie językowej najmniejszej presji ze strony Polaków, świadczy fakt, że już po dokonanym procesie owej polonizacji język białoruski pozostał i nadal na Litwie językiem urzędowym, językiem kancelarii Wielkiego Księstwa Litewskiego i siłą rozpędu wciąż jeszcze obowiązywał w aktach urzędowych. Już w wieku XVII coraz częściej, a po tem stale powtarzało się przez długi czas jedyne w swoim rodzaju curiosum, że szlachta litewsko-ruska podawała do sądów akta pisane po polsku, a sądy, stosując się do przepisów niezmienionego jeszcze prawa, opatrywały je wciąż formułkami ruskimi. Tym sposobem przetrwała białoruszczyzna szlachecka na Litwie, o całe niemal stulecie, swą likwidacje w życiu. Oto – ucisk!?

Czy mogła być w takich warunkach mowa o jakimkolwiek „tępieniu” przez Polaków języka litewskiego? Już fakt, że sama szlachta litewska go porzuciła, uchyla potrzebę odpowiedzi. Polacy odnosili się do tego języka ludu z tym samym poszanowaniem odrębności, jaki na tylu innych spotykaliśmy polach. Wynaradawnianie nie było po prostu kunsztem polskim. Jako ilustracje do stosunku ukształconego o tyle wyżej żywiołu polskiego do pogardzanej naówczas mowy litewskiej warto przytoczyć, że zanim ustalono prawnie zasadę, iż Polak nie może piastować urzędu na Litwie i odwrotnie, gdy duchowieństwo szło z Korony na Litwę dla ugruntowania wiary chrześcijańskiej i gdy Kazimierz Jagiellończyk pragnął wysłać na biskupstwo wileńskie Sędziwoja z Czechła otrzymał od tego Małopolanina znamienna odpowiedź: „Miłościwy królu, nie umiem po litewsku i już jestem za stary abym się tego języka mógł łatwo nauczyć”. Historyk uchrześcijanienia Litwy ks. dr Jan Fijałek („Polska i Litwa w dziejowym stosunku”) na podstawie żmudnych badań stwierdza, że lud litewski przez cały czas trwania Rzeczypospolitej tj. i wtedy gdy polszczyzna była tam językiem całkowicie panującym w warstwach wyższych znajdował pewną opiekę dla swej mowy ze strony spolonizowanej już szlachty i Kościoła. Przytoczywszy długi szereg faktów i dokumentów z dziedziny wyznaniowej autor wspomniany pyta: „Gdzie są tego rodzaju pomniki u innych w Europie narodów, które by uwzględniały tak jak w Kościele polskim wszystkie języki miejscowej ludności?”. Nie znajdziemy ich w każdym razie u niemieckich rycerzy krzyżowych, którzy jednocześnie ogniem i mieczem usiłowali „nawracać” plemiona letońskie.

Nieliczni tylko z wykształconych Litwinów kultywowali język litewski. Do takich należał kanonik Mikołaj Dauksza, który z końcem XVI wieku po litewsku pisał i drukował. Otóż wymowny i charakterystyczny był stosunek tego pisarza litewskiego do polszczyzny. Możemy o tym przekonać się ze wstępu jego do litewskiego przekładu postylli Wujka. We wstępie tym Dauksza mówi: „ Z przyrodzenia każdy, jako do swej nacji i krwi, tak do swego języka chęć ma większą i mocno się do niego przywiązuje. Lecz to nie tym umysłem mówię, abym miał ganić umiejętność postronnych języków, zwłaszcza polskiego, który nam przez owo miłe zjednoczenie Wielkiego Księstwa ze sławną Koroną Polską niemal rodzonym jest, ale tylko ganię zbrzydzenie i niemal odrzucenie języka naszego, właśnie litewskiego” itd.. Więc nawet i ten miłujący swą stara mowę plemienną klasyczny świadek nie mógł oskarżać i nie oskarżał Polaków o wynaradawianie.

Polonizacja była dobrowolną. Źródło jej nie stanowiła sama siła przyciągania kultury naszej w utartym i wąskim tego słowa znacze-

niu, a więc *kultury umysłowej*, która tak wysoko stanęła już za Zygmuntów, ale przede wszystkim siłą przyciągającą polskiej *kultury politycznej.* Że wpływ stanowczy odgrywały tu czynniki ideowe, że była to najgłębsza i najszlachetniejsza asymilacja, *przez* WOLNOŚĆ, o tym świadczy fakt, że spolszczyły się nie tylko językowo zwierzchnie warstwy rusko – litewskie, które kulturalnie stały niżej od nas, lecz także - na kresach zachodnich i północnych – szlachta niemiecka, która pod względem rodzimej kultury intelektualnej nie stępowała bynajmniej Polakom. Jeżeli spolszczeniu językowemu uległy zachodnio-pruskie rody Kalksteinów, Denhoffów, Szlichtyngów, Weycherów, Wolszlegierów, oraz dziesiątki innych, o miedzę tylko od macierzystych dla siebie terenów niemieckich, z których dorobku kulturalnego my sami czerpaliśmy niejednokrotnie, to działał tu jedynie urok atrakcyjny tych wolności i swobód, w które tak bogata była Rzeczpospolita, a których nie było po tamtej stronie zachodniej granicy. Na tej samej zasadzie opierała się polonizacja szlachty bałtyckiej, owych Platerów, Borchów, Weyssenhoffów, Tyzenhausów, Manteufflów, Romerów, Mohlów, którzy tylu znakomitych, oddanych i wiernych synów dostarczyli polskiej ojczyźnie, rodów tak daleko od ognisk umysłowej kultury polskiej oddalonych, jak daleko było z Inflant do Warszawy i Krakowa. *(Analogie do asymilacyjnej siły polskich ideałów wolnościowych stanowi stosunek Francji do niemieckiej Alzacji, która przeżyła wraz z nią okres Wielkiej Rewolucji. W czasie wojen republiki i wojen napoleońskich niemniej jak 62 generałów francuskich pochodziło z tej kraju, a nazwiska 28 wyryto na Łuku Triumfalnym w Paryżu. Pomnik francuskiego patrioty gen. Klebera (1753-1800) zdobi do dziś Strasburg.)*
Zasadnicza cecha państwowości naszej była wolność i tolerancja ustrojowa dla wszystkich przejawów odrębności historycznej, czy cywilizacyjnej lub nawet plemiennej czy językowej. Każda skrystalizowana indywidualność zbiorowa korzystała w granicach Rzeczypospolitej z pełnych praw do życia i mogła swobodnie się rozwijać.
Na gruncie tak rozwiniętego ustroju wytworzył się w Polsce patriotyzm państwowy, niepodobny zgoła do tego, co współcześnie widzimy gdzie indziej, patriotyzm niemal nowoczesnego typu. Swobody polityczne, szerokie i bujne, wiązały każdego obywatela mocno z państwem, kazały mu cenić „Najjaśniejszą Rzeczpospolitą”, jako gwarantkę rozlicznych wolności. „Ojczyzna wasza – mógł słusznie mówić z początkiem XVII w. Skarga – matką wam jest, a nie macochą, na ręku was swoim nosi, a krzywdy żadnej cierpieć nie dopuści”, gdy poddani innych państw „uciśnienie i tyranie cierpią”. Szlachcic polski, współrządca swego kraju, dumny swym prawnie zabezpieczonym stanowiskiem człowieka prawdziwie wolnego, patrzał z politowaniem na rządzonych autokratycznie sąsiadów z zachodu, a z pogarda na niewolniczo podległe ludy najbliższego wschodu i tym wyżej musiał szanować organizm polityczny własnego państwa. *(„Nigdy Polacy – pisał Kościuszko w r. 1814 do historyka angielskiego Jamesa Mackintosha – nie poddadzą się z własnej woli jarzmu cudzoziemców, albowiem ich charakter zbyt się różni od charakteru ich sąsiadów”. Ten „różny charakter” był w znacznej mierze wytworem wielowiekowej odrębnej kultury politycznej i on to przede wszystkim udaremnił próby zjednoczenia rozdartych części Polski z państwami rozbiorowymi, które wyrosły na ideologii wprost przeciwnej).* Świadomość ostrej odrębności w stosunku do sąsiednich narodów wytwarzała na wewnątrz poczucie wspólnoty bez względu na plemienne, językowe i wyznaniowe różnice jakie dzieliły mieszkańców rozległej Rzeczypospolitej. Na ogromnych obszarach od morza Bałtyckiego do morza Czarnego wśród odmiennych żywiołów etnicznych i kulturalnych, nachylających się bądź ku łacińskiej, bądź ku bizantyjskiej cywilizacji, istniał jeden mocno zarysowany patriotyzm państwowy – polski, czerpiący siłę swa w fakcie, iż cała ta różnolita masa politycznie czynnej masy ludności oddychała pełnią swobód obywatelskich.
W długim, szeregu pokoleń nie wykazuje historia ani jednej próby zerwania tego świetnego związku państw i narodów, jaki wytworzył geniusz dziejowy polski. Związek Polski i Litwy, ze względu na odmienność pierwiastków politycznych, które go utworzyły, oraz nie niespożytą swa trwałość stoi jako zjawisko odosobnione w dziejach. Unia kalmarska trzech państw skandynawskich (1397) przetrwała zaledwie jeden wiek, a u[padła, jako mówi histo-

ryk Danii, Dahlman dlatego, gdyż opierała się głównie na sile materialnej i była sprawą panujących, nie sprawą ludów. Unia polska okazała się wewnętrznie niezniszczalną.

Jedyny wybitny dysonans w dziedzinie współżycia ludów zamieszkujących Rzeczpospolitą tworzy powstanie kozaczyzny w połowie XVII w.

Powstanie to, które zwichrzyło kraj i podcięło jego siłę państwową, było atoli ruchem głównie socjalnym, przynajmniej w pierwszej fazie swego rozwoju. Jaka role w nim grał czynnik narodowo- polityczny, oświetla między innymi fakt, że przedstawicielem Rzeczypospolitej, wysłanym do pertraktowania z Kozaczyzna, był wojewoda Adam Kisiel, Rusin i schizmatyk. W roku 1658 przyszło między Polską i Ukrainą do ugody w Hadziaczu. Rozszerzyła ona Unię Lubelską i przekształciła jagiellońska Rzeczpospolitą w związek federacyjny polsko-litewsko-ukraiński, w którym Ukrainie przypadł podobny stosunek do Korony, a jakim do niej pozostawała Litwa. Lecz akt ten przyszedł niestety za późno. Zniweczyła go Moskwa ku szkodzie zarówno Polski jak Ukrainy. Polityka wobec Kozaczyzny, i w ogóle schizmatyckiej Rusi, przypadająca na czasy upadku naszej myśli politycznej, upadku tolerancji i zdolności łączenia żywiołów różnorodnych, była jednym z najcięższych błędów i jedną, z najcięższych win, jakie obarczyły nasza przeszłość. Polska odstąpiła tu od zasad którym zawdzięczała pomyślność wewnętrzną i siłę na zewnątrz i odstępstwo to zemściło się na niej.

Jak silną spójnię potrafiła Polska wytworzyć poza tym między ludami przez siebie sfederowanymi, jaka trwałość wykazały unie polskie, świadczy fakt, że nawet gdy Rzeczpospolita ostatecznie przestała istnieć i znikł węzeł państwowy, łączący jej różnorodne części, to długo jeszcze, niejednokrotnie aż dotąd, trwa ciążenie ku Polsce krajów, które niegdyś stanowiły z nią jeden organizm państwowy. Największy z nich, Litwa, wchodzi w skład imperium rosyjskiego od lat 120 z górą, niemniej w warstwach, które były historycznie czynne uznaje się i po rozbiorach w dalszym ciągu za przynależną do Polski. Żadne wysiłki, których wszechpotężna Rosja nie szczędziła, nie były w stanie wytępić tego poczucia przynależności, żaden nacisk nie mógł stłumić w historycznej warstwie litewskiej pamięci, że żyła kiedyś w wolnym i szczęśliwym związku Rzeczypospolitej Polskiej. Od lat trwa Litwa wiernie u boku Polski podczas wszystkich jej walk o odzyskanie wolności. Nie tylko w epoce rozbiorów, gdy w Warszawie wybucha powstanie Kościuszki, porywa za broń także Wilno: to samo bowiem dzieje się przez cały wiek XIX. W walce z Rosja w roku 1831 leje się pod wspólny sztandarem krew zarówno w Polsce, jak na Litwie. W latach 1836 – 1838, gdy w wyczerpanej Warszawie zaległo głuche odrętwienie, Litwa porywa się sama do nowych spisków, których przywódcy litewscy Konarski, Zawisza, Wołłowicz, wraz z tysiącami uczestników ponoszą męczeńską śmierć za próbę odbudowania Rzeczypospolitej. W roku 1863 powstanie ogarnia znowu obydwa kraje, a rok przed tym niebywała procesja dwu narodów spotyka się w Horodle, aby na tym historycznym miejscu odnowić uroczyście przedwieczne śluby unii.

Pierwiastków odmiennych, stopionych niegdyś dobrowolnie w jedną polityczną całość niepodobna oddzielić od siebie ani w rzeczach, ani w ludziach. Tragiczny Reytan, który na sejmie warszawskim z rozpacza protestował przeciwko rozbiorowi Polski, to syn Litwy. Człowiek, którego imię stało się synonimem najwyższych polskich ideałów, który na krakowskim rynku przysięgał wypędzić z Polski najeźdźców, Tadeusz Kościuszko, to również Litwin. Mocarz polskiego ducha, genialny wyraziciel jego tęsknot i wzlotów, Adam Mickiewicz, którego szczątki pochowała Polska w królewskich swych grobach na Wawelu, to także Litwin. Potomkowie tych, co imieniem Litwy zaprzysięgali niegdyś wieczna wiarę wspólnej Rzeczpospolitej, historyczne rody Radziwiłłów, Sapiehów, Czartoryskich, Czetwertyńskich, Sanguszków i dziesiątki, setki i tysiące innych, dochowali tej wiary do dziś, niezłomni w swym poczuciu i jedności z Polską.

Mamy tu przed sobą dziwne zjawisko dziejowe: unia polsko-litewska przeżyła istnienie państw, które ja zawierały. Treść aktów politycznych spisanych w r. 1413 i 1569, po upływie wielu stuleci żyje w duszach ludzkich, choć akty z państwowych kancelarii przeszły dawno do szaf muzealnych, a postanowieniom ich zabrakło siły wykonawczej. Taka spiżową trwałość wyka-

zało dzieło polskiej mądrości stanu, które łączyło wolnych z wolnymi i równych z równymi.

* * * * * * *

Swobody jednej warstwy

Wyjątkowe pretensje do Polski. Mieszczaństwo. Stulecie upadku. Losy polskiego samorządu miast. Położenie chłopów w Polsce i w Europie. Reformy XVIII wieku.
Z psychiki narodu. Stan prawny a rzeczywisty. Niewolnictwo w Stanach Zjednoczonych. Właściwa miara oceny

Jakkolwiek Rzeczpospolita Polska była wybitnie państwem wolnościowym i rozwinęła w tym kierunku ogromne bogactwo twórczej myśli politycznej, to przecież często, nie tylko ze strony obcych źle poinformowanych lub też wrogich nam pisarzy, których sądy bywają przykrawywane do podejrzanych interesów bieżących, ale także ze strony samych Polaków wychowanych na samobiczującej się nowszej historiografii naszej, zdarza się słyszeć, że wszystko to traci właściwie na wartości, gdy z Polska stanowiła raj dla jednej tylko uprzywilejowanej warstwy społecznej, podczas gdy daleko liczniejsza ludność mieszczańska i chłopska przeżywała równocześnie całe wieki w najbardziej opłakanych warunkach.

Mogłoby się zdawać wobec takiego zarzutu, ze tzw. Niższe warstwy stąpały w innych krajach Europy po różach, kiedy w szlacheckiej republice polskiej przezywały długi okres istotnie ciężkiej i twardej niedoli. Nie! Każdy szkolny podręcznik poucza, że chłop był w pewnych epokach dziejów wszędzie gnębiony, mieszczaństwo było wszędzie z praw odarte. Lud rolny w Europie od drugiej polowy XVI wieku coraz to cięższym jarzmem robocizny był przytwierdzony do gleby, a ucisk pańszczyźniany przybrał tak wielkie rozmiary, że zadawano sobie w tych czasach pytanie, czym lepiej być: czy długo pielęgnowaną a krótko ścigana zwierzyną, czy wiecznie ściganym a nigdy nie pielęgnowanym chłopem-poddanym (was es besser habe, das lang gehegte und kurtz gehetzte Wild, oder der stets gehetzte und nie gehegte Unterthan” – Janssen „Geschichte des deutschen Volkes”). We Francji pisał w roku 1688 Jean de la Bruère: „Widać po wsiach pewne dzikie zwierzęta, samców i samice, czarne, opalone od słońca, przywiązane do ziemi, którą ryja i kopią z zaciekłością. Kryją się na noc do jam, gdzie żyją czarnym chlebem, wodą i korzeniami. Maja jak gdyby mowę, a gdy wstają na nogi, pokazują twarz ludzką: w istocie są to ludzie”. Nie potrzeba chyba dodawać, że to są chłopi. Mieszczaństwo po świetnym rozkwicie średniowiecza znalazło się również mniej więcej wszędzie w upadku. Traciło nie tylko prawa polityczne, ale i warunki materialnego rozwoju. W Niemczech w XVI wieku szlachcic – zupełnie jak w Polsce – był wolny od cła. Jeśli sprowadzał dla siebie towar, lub gdy własny produkt wiejski wywoził, pod osłona zaś tego przywileju dopuszczano się nadużyć na szkodę miejscowego przemysłu i handlu. Nieliczne tylko, wyjątkowe umysły ówczesne, zarówno w Europie jak u nas, zdawały sobie sprawę, że i niesłusznym i szkodliwym dla państwa jest upośledzenie nie-szlachty. Powszechnie przyjmuje się to za rzeczy usprawiedliwione historycznym rozwojem pojęć. Nikomu, o ile idzie o stosunki na zachodzie, nie przychodzi do głowy dzika myśl, aby do oceny tych zjawisk przykładać ściśle dzisiejszą miarę. Tylko Polska stanowić ma osobliwy wyjątek. Położenie warstw nieszlacheckich w Polsce przedwiecznej mierzy się miarą nie owoczesnych pojęć, lecz pojęć XIX i XX wieku i konstruuje się na tej podstawie z łatwością druzgoczące oskarżenia. Niedorzeczność tych oskarżeń i pretensji urąga wszelkiemu historycznemu myśleniu. Z taką samą racją można by wszakże obwinić o nieuctwo Newtona i Kopernika, którzy nie rozumieli w swoim czasie wielu zjawisk przyrodniczych, oczywistych dziś dla najmniej pojętego ucznia wiejskiej szkółki.

Chociaż jednak dla oceny warunków bytu włościaństwa i mieszczaństwa w Polsce jedynie dopuszczalnym probierzem mogą być wyobrażenia owej odległej epoki, spróbujmy przekonać się, czy pod niejednym względem położenie to nie było, podobnie jak położenie szlachty, korzystniejsze niż w krajach ościennych. Przede wszystkim słowo o ekonomicznym stanie miast naszych.

„Te nędzne mieściny – pisze w roku 1810 Wawrzyniec Surowiecki („O upadku przemysłu w Polsce”), w których dziś widzimy rynki pu-

ste, ratusze bez okien i dachów, w których się teraz czołga kilkuset biedaków bez sposobu do życia, liczyły niegdyś po kilkaset różnych warsztatów rzemieślniczych". Wyjmijmy z cennych badań Surowieckiego dla przykładu parę najnędzniejszych miejscowości, wśród których są i takie co dziś raczej do ubogich osad wiejskich, niż do miasteczek podobne, z trudem niejednokrotnie dadzą się wyszukać na karcie geograficznej. Oto jakiś Ostrów pod Warszawą – składający się z 93 chałup – liczył sobie samych rzemieślników 200, Stanisławów Mazowiecki 263, Garwolin 192, Wyszogród 308,Pyzdry 215,Łęczyca 161,Przasnysz 399. Jakże wobec tego ludnie i bogato musiały wyglądać miasta średnie i większe. Kraków miał mieszkańców 80 000, w czasie gdy Hamburg 6 do 7 tysięcy. W jednym z przeszłych stuleci istniało na obszarze naszej ojczyzny około stu drukarni. Bogactwem, wykształceniem rywalizowały wyższe warstwy mieszczańskie ze szlachtą. Niewątpliwie w związku z rozkwitem handlu w Polsce znajduje się niezwykle wczesne, wyprzedzające nawet całą Europę zaprowadzenie regularnego ruchu poczt i jednakowej taryfy za listy bez względu na odległość: u nas w roku 1583, na zachodzie w XVII wieku, a gdzie niegdzie i znacznie później. O żywym tętnie interesów handlowych mówi również wczesne ujednostajnienie miar i wag w całej Polsce, czego żadne państwo podówczas jeszcze nie znało (wszędzie obowiązywały miary i wagi prowincjonalne), a co na kontynencie po nas dopiero rewolucja francuska uczyniła. (Henryk Radziszewski: „Polska idea ekonomiczna").

Do jakiej epoki odnoszą się owe objawy bujnego gospodarczego życia naszych miast i naszego mieszczaństwa? Czy to w średnich wiekach pracowały setkami rękodzielniczych owe nędzne dziś mieściny? Nie. To wszystko, co przytoczyliśmy wyżej, działo się w wieku XVI i z początkiem jeszcze wieku XVII – równocześnie za tym z od dawna już osiągniętym szczytem praw, wolności i swobód politycznych szlachty polskiej. Upadek ekonomiczny mieszczaństwa naszego, którego przyczyną stały się za równo długoletnie wyniszczające wojny jak szkodliwe, lecz odpowiadające pojęciom owego czasu wyjątkowe uprawnienia szlachty, przyszedł w połowie XVII wieku i trwał nie wiele dłużej, niż jedno fatalne stulecie, wtedy, gdy niejednokrotnie i rynki miast zachodnioeuropejskich trawą zarastały.

A teraz prawno-polityczna strona obrazu. Zachwiało się stanowisko polskiego mieszczaństwa, gdy moralna i umysłowa wartość społeczności szlacheckiej uległa obniżeniu, gdy swobody tej przodującej warstwy, doszły do zenitu – zetknęły się z generacją, która z twórczego poziomu wielkich ojców stoczyła się na poziom biernego użycia. Nie był przecież mieszczanin w Polsce nigdy pozbawiony praw obywatelskich w zupełności, nie tylko w swej gminie miejskiej, ale i na szerokiej widowni ogólno-państwowej. Konstytucja „Nihil Novi", która na całe stulecia zdecydowała o ustroju państwa, uchwalona została na sejmie radomskim w 1505 roku głosami szlachty i mieszczan. W XVI wieku mieszczanie miast królewskich brali udział we władzy prawodawczej, (*„Sejm piotrkowski roku 1565, który przeprowadził szereg uchwał, dotyczących polityki handlowej, odbył się właśnie przy udziale posłów miejskich, którzy bronili swoich interesów i do których życzeń Izba poselska stosowała się niejednokrotnie, przyjmując poprawki rozmaite w ustawach" – a Szelągowski: "Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce")* zdobywali wyższe urzędy w Rzeczypospolitej, a rycerstwo nie wahało się urzędownie nazywać ich „braćmi" (Łoziński: "Patrycjat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII wieku"). Nie znajdujemy nigdzie w polskim prawie państwowym przepisu, usuwającego mieszczan od udziału w sejmach. W roku 1573 konfederacja generalna warszawska mówi o sobie: „My rade koronne duchowne i świeckie, rycerstwo wszystko i stany insze jednej a nierodzielnej Rzeczypospolitej". Wyrażenie „insze stany" stosowało się do miast. We wszystkich następnych konfederacjach generalnych oraz sejmach konwokacyjnych i elekcyjnych znaczniejsze miasta biorą udział przez swych posłów. Prawo do czynnego uczestnictwa w akcie tak ważnym, jak wybór króla, posiadają miasta Kraków, Wilno, Lwów, Poznań, Warszawa, Lublin, Kamieniec, Gdańsk, Toruń, Elbląg i wykonują je do samego końca. Reprezentanci miast pojawiają się na sejmie 1668 roku i podpisują abdykacje Jana Kaziemierza. W roku 1733 potwierdzają „Pacta conventa". W obu wypadkach

dzieje się to w okresie szczytowej samowładzy szlacheckiej i świadczy – zauważa słusznie jeden z pisarzy politycznych J. Grabiec – że może głównie bierność i nieumiejętna polityka mieszczaństwa stały na przeszkodzie pełni jego praw obywatelskich i że stanowość polskiego prawa państwowego była raczej jego zwyrodnieniem, niż cechą zasadniczą. W tej samej epoce hegemonii szlachty, w XVII i XVII wieku, mnożyła się liczba miast, w których magistraty uzyskiwały tytuł „nobiles" w miejsce dawnego „spectabiles et famati", uszlachcenie to zaś magistratu jako organu publicznego, nakazywało traktować miasto, jako osobę prawną na równi ze szlachtą. Gdy w innych krajach mieszczanie pozbawieni byli prawa posiadania majątków ziemskich (w Prusiech aż do roku 1807), to w Polsce prawo to przysługiwało po wszystkie czasy mieszkańcom większych miast jak Lwów, Kraków, Wilno, Lublin, a ponieważ względnie łatwo było uzyskać w nich obywatelstwo, przeto zakaz władania ziemią przez mieszczan nie istniał właściwie nigdy w pełnej sile.

Jeszcze dobitniej zarysowuje się różnica w innej, ważniejszej dziedzinie: w dziedzinie samorządu komunalnego. Na zachodzie w XVII i XVIII w stary samorząd miast został w wielu krajach bądź skrępowany do ostatnich granic i zamieniony w fikcję (członków rad miejskich i urzędników miejskich mianowała wprost władza monarsza), bądź też został zupełnie skasowany. W Polsce poddano rady miejskie pod nadzór królewskich starostów, ale wewnętrzny ich ustrój pozostawiono nietknięty. Gdzie indziej sadownictwo i policję w miastach objęły częściowo lub całkowicie organy królewskie, w Polsce funkcje te autonomiczne nigdy nie były nigdy odebrane. Wreszcie konstytucja 3 maja 1791 roku, uzupełniając to, co z biegiem czasu uległo uszczupleniu, a zarazem rozwijając zgodnie z pojęciami nowoczesnymi, dobrowolnie, bez żadnego nacisku „ z dołu", osobną ustawą uchwaloną wyłącznie głosami szlacheckimi, wyposażyła miasta zreformowanym, pełnym i szerokim samorządem. Dwa różne systemy rządzenia: centralizm, który wszystko niwelował w autokratycznie rozwijającej się reszcie Europy, i bujny polski autonomizm, rzucały i tu swe refleksy

Przyjrzyjmy się z kolei najliczniejszej klasie narodu, ludności włościańskiej.

W okresie największego rozkwitu praw politycznych szlachty chłop polski – przez szereg wieków wolny kmieć, podlegający sądownictwu swoich sołtysów – zepchnięty zostaje do stanu poddaństwa i podporządkowany nieograniczone z czasem władzy patrymonialnej pana. Drogą ta idzie nie sama Polska, lecz także Europa Zachodnia, a idzie tak szybko, że nas znacznie wyprzedza. Wcześniej i w sposób nierównie dotkliwszy ukształtowało się tam panowanie szlachty nad ludem, rozwijając się w ciemięstwo pełne odrażających okrucieństw. Pomimo smutnego położenia poddanych nie było w Polsce ani owych książąt noszących na sobie pasy ze skóry chłopskiej, ani nędzy która zmuszała ludność pograniczną do gromadnych ucieczek, ani handlu ludźmi, który kwitnął jeszcze w XVIII wieku w samym środku Europy (dostawa rekrutów za gotówkę do Anglii przez landgrafa heskiego Fryderyka w latach 1776 – 1784), ani, za wyjątkiem wiecznie burzliwych ukraińskich kresów Rzeczpospolitej, krwawych buntów poddanych, ani straszliwych wojen chłopskich, po których następowały akty szalonej represji. Wybuchów rozpaczy w klasie włościańskiej, jakimi zapełnione są karty historii europejskiej, nie spotyka się u nas. *(Historia nasza zapisała jedyny znaczniejszy „bunt" polskich chłopów pod wodzą Kostki Napierskiego na Podhalu w 1651 roku, o rozmiarach wprost miniaturowych w stosunku do tego co w tym czasie działo się na Zachodzie).* Natomiast obce źródła wyraźnie stwierdzają, że chłop z krajów sąsiednich często uciekał do Polski, aby poprawić swój byt. Podczas pierwszego rozbioru rząd rosyjski jako jedną z rzekomych krzywd sobie wyrządzonych przytoczył, że 300000 chłopów z pogranicznych krajów moskiewskich uciekło do Polski (Tadeusz Lubomirski „Ludność rolnicza w Polsce"). Chronili się u nas tłumnie chłopi z Pomorza, ze Śląska, z Moraw. Gdy w XVIII wieku rząd austryjacki doprowadził do traktatu o wydawanie zbiegów – jedyna Polska wyrzekła się prawa wzajemności, gdyż włościanie jej nigdzie nie uciekali.(Grunberg – „Bauernbefreiung in Bohmen, Mahren u. Schlesien" – „Die reciproitat scheint auch von diesen Landern, mit Ausnahme Polens, gewahr worden zu sein, was sich leicht dadurch erklart,

da wohl schlesische Unterthanen in grossen Massen nach Polen fluchteten, nicht aber umgekehrt")

W najgorszej nawet epoce nie było w Polsce pastwienia się nad poddanymi, tak często spotykanego gdzie indziej, a dotąd nie znaleziono śladu, by szlachcic korzystając z prawa patrymonialnego, wykonał kiedykolwiek karę śmierci na chłopie. Los chłopów był tu ponadto krócej ciężkim, niż w innych krajach, gdyż tylko w wieku XVII i XVIII, gdy jeszcze XVI zachował sporo z blasku złotego okresu dwóch poprzednich stuleci. „ Wymiar pańszczyzny i pokrewnych jej świadczeń – stwierdza Oswald Balzer, znakomity znawca ustroju Polski – nie doszedł był nigdy do tych granic, jakie tu i ówdzie ustaliły się na Zachodzie". Przytem, spełniając powinności dworskie, odrabiając pańszczyznę, płacąc czynsz, chłop wiedział, że w zamian miał prawo do opieki pańskiej, że w razie elementarnej klęski dozna ulgi w opłatach i zapomogi w inwentarzu, zaś pewną autonomię, pewien współudział w załatwieniu spraw bieżących, dawały mu instytucje gromadzkie, których postanowienia przybierały niejednokrotnie charakter ustaw (Ulanowski – „Wieś polska pod względem prawnym od XVI do XVII w.").

Nie można również zapomnieć, że znaczna część stany włościańskiego – włościanie dóbr koronnych, a po części i duchownych – korzystała z pewnych praw cywilnych pod opieką państwa.

Zabiegi na koniec prywatne około poprawy położenia ludu przybrały w Polsce o wiele większą miarę niż gdziekolwiek indziej. Polska miała pod tym względem stare i dobre wskazania, gdyż w najlepszej epoce dziejów narodu w XVI w wołali o to Skarga, Górnicki, Ostroróg, a znakomity pisarz polityczny, Andrzej Frycz Modrzewski, domagał się wręcz zniesienia poddaństwa i zrównania wszystkich wobec prawa, wtedy, gdy o możliwości takiego postulatu nikomu jeszcze nie śniło w Europie.. Z początkiem XVIII w. Utorował drogę idei podniesienia stanowiska prawnego, dobrobytu i oświaty włościan król Stanisław Leszczyński w swym traktacie „Głos wolny" (rozdział „Plebei"). Inicjatywa społeczna w tym kierunku szybkie poczyniła postępy i wydała znakomite owoce. Próby zreformowania stosunków włościańskich w duchu nowoczesnym, rozpoczęte w roku1740, objęły wielkie latyfundia magnackie Jabłonowskich, Zamoyskich, Lubomirskich, Brzostowskich, Chreptowiczów, Potockich, Czartoryskich, Poniatowskich. W drugiej połowie tego wieku prąd ten stał się prawie powszechnym. Zrywano z pańszczyzną, zamieniano robociznę na czynsz, nadawano włościanom wolność osobistą, obdarzano ich samorządem. „Wszędzie – stwierdza T. Lubomirski („Rolnicza ludność w Polsce") – dziedzice zrzekają się przewagi władzy patrymonialnej, wszędzie wznawiają lub tworzą samodzielny ustrój sądowy i wszędzie objawia się ruch restauracji gmin i ich niezawisłości". O rozmiarach tej samorzutnej reformy może dać wyobrażenie fakt, że posiadłości Stanisława Poniatowskiego, w których większą część poddanych wyzwolono „uczyniono właścicielami", liczyły same tylko do 400.000 ludności. „Nie dopuszczając się przesady - mówi A. Rembowski („Porównanie konstytucja stanowych") – można utrzymywać, ze w żadnym z krajów europejskich inicjatywa prywatna nie uczyniła tyle dobrego dla włościan i to z takim niezaprzeczonym zaparciem się stanowych interesów, co w Polsce.

Wielka reforma państwowa 3 maja 1791 roku położyła prawne warunki bytu warstwy włościańskiej. Była ona, przy całej swej połowiczności, tak liberalną w porównaniu ze stosunkami panującymi u sąsiadów, że kanclerz rosyjski Biezborodko bał się „rozprzestrzeniania się polskiej zarazy" („ wolność włościan – pisał 25 listopada 1794 roku – może również rozdrażnić naszych wieśniaków"),. A cesarz Austrii rozkazał gubernatorowi Galicji pisać memoriał „co robić należy dla mieszczan i chłopów wobec reform dokonanych w Polsce". W trzy lata później, w roku 1794, Kościuszko, jako naczelny wódz i faktyczny dyktator narodu, poszedł o znaczny krok naprzód ogłaszając w uniwersale połanieckim nowe ważne postanowienia na korzyść włościan. Ostatni ten akt prawny niepodległego państwa polskiego, regulujący stosunki włościańskie, zapewniał ludności chłopskiej między innymi bezpośrednia opiekę rządu, nieusuwalność z uprawianego gruntu i wolność osobistą – zdobycze niezmiernej jak na swój czas doniosłości. Ta reforma wydała się naszym sąsiadom tak wywrotową, że generał moskiewski Cycjanow po bitwie pod Maciejowicami

ogłosił w Grodnie ukaz, w którym nakazywał „uległość panom według dawnych zwyczajów" i zabronił powoływać się na uniwersał Kościuszki. *(po rozbiorach Polska, pozbawiona własnych organów państwowych, już nie mogła kontynuować reformy włościańskiej, a rządy rozbiorowe tamowały na naszych ziemiach celowo wszelką w tej dziedzinie inicjatywę społeczną, pragnąc jak najbardziej pogłębić przedział miedzy ludem i szlachtą. W różnych dzielnicach podejmowano bezskutecznie prób ustawodawczego rozwiązania kwestii włościańskiej w duchu nowoczesnym. Rządy obce zachowywały się opornie lub paraliżowały te akcje. W Galicji ówczesny ruch rewolucyjny podniósł hasło uwłaszczenia włościan. W Królestwie pierwszym aktem rządu powstańczego z roku 1863 było uwłaszczenie, co zmusiło rząd rosyjski do wprowadzenie tej reformy w życie. Historyczny manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, datowany z Poitiers, ogłosił, już w roku 1836 program przyznania ziemi włościanom na własność. Gdyby Polska nie została przez rozbiory pozbawiona swobody ruchów, byłaby jedna z pierwszych w Europie rozwiązała u siebie kwestię włościańską.)*

Obok tych faktów znajdziemy w dziejach Polski jeszcze pewne momenty psychologiczne, które pośrednio mogą nam posłużyć do odtworzenia obrazu rzekomego „piekła" chłopskiego w Polsce, a posiadają również wartość dokumentalną. I tak niezmiernie wiele mówi stosunek szlachty z końca XVIII wieku do Kościuszki. Kościuszko reprezentował to, co dzisiaj nazwalibyśmy radykalizmem społecznym. Podczas sześcioletniego pobytu w Ameryce dojrzały w nim przekonania demokratyczne zupełnie nowoczesne, które po powrocie do kraju w całym swym publicznym działaniu śmiało i jawnie wyznawał. Parafrazując deklaracje Jeffersona, głosił, że „w naturze wszyscy równi jesteśmy", przystosowując zaś tę zasadę do stosunków praktycznych, szerzył pogląd, ze „słowo poddany powinno być przeklęte u oświeconych narodów". Gdy ujął za broń przeciw najazdowi- oświadczył wyraźnie, że „za samą szlachtę bić się nie będzie", że "chce wolności całego narodu", a po zwycięskiej bitwie pod Racławicami,. W której krakowscy kosynierzy wzięli szturmem armaty moskiewskie, przebiera się manifestacyjnie w chłopską sukmanę. Potem przyszedł uniwersał połaniecki,. Akt kompromisowy, ale w danych warunkach prawnych oznaczający niemal przewrót. Szlachta, gdyby wyglądała w stosunku do chłopów tak czarno jak ją malują tendencyjni portreciści, powinna tego człowieka obwołać dawno Jakobinem. Wcale nie. On był wszak dyktatorem szlacheckiej Rzeczypospolitej. Jego postać już wówczas otoczył powszechny entuzjazm. Noszono jego medaliony, rozpowszechniano tysiącami jego portrety, wielbiono w nim bohatera. Ten kult ze strony społeczeństwa przecież wyłącznie szlacheckiego, kult, któremu nie przeszkodziły bynajmniej wyznawane tak dobitnie przekonania socjalistyczne Kościuszki, jest nader charakterystyczny. Gdyby nie było innych świadectw, on jeden wystarczyłby za dowód, że przepaść między szlachtą ludem w Polsce nie była chyba – niezgłębioną. *(coś mówi także fakt, że małżeństwo szlachcica z kobietą innego stanu, a więc i włościanką, nie miało żadnego wpływu na uprawnienia potomstwa. Dzieci nie traciły przez to „klejnotu" szlacheckiego.)*

Do praktykowanych gdzie indziej orgii ucisku chłopa nie dopuszczał także wrodzony Polakom łagodny charakter, owa „dulcis sanguis Polonorum", zaobserwowana przez obcych już W XVI wieku, charakter, który nawet wobec nieprzyjaciela nie zatracał w sobie ludzkiego poczucia. Dla ilustracji przytoczymy przykłady choćby pierwsze z brzegu. Rada Najwyższa Narodowa, która w roku 1794 kieruje ostatnią obroną Polski przed najazdem, rzuca ludowi swemu wzniosłe pouczenie, że „kiedy o zemście na nieprzyjacielu mówią, nie rozumie się przez to zemsty na ludziach kraju moskiewskiego bezbronnych, w pojmaniu lub zabezpieczeniu narodowym zostających, których los należy szanować", „idzie o zemstę godna Polaka przez okazanie odwagi" itd. W roku 1831 oswobodzona chwilowo Warszawa daje wspaniały przykład ludzkości wobec wroga: lud okazuje miłosierdzie jeńcom, ranni żołnierze polscy ustępują miejsca na wozach rannym moskiewskim, a rząd narodowy umieszcza w budżecie wydatek na utrzymanie szkoły dla pozostałych dzieci rosyjskich. (A. Kraushar „Życie potoczne Warszawy 1830 – 1831"). W narodzie, który wobec wroga miał tyle ludzkości okazać, nie mogło być okrucieństwa wobec własnego ludu. To też ciężkie prawo które normowało w ubie-

głych wiekach byt chłopa polskiego, było raczej łagodzone niż zaostrzane w praktyce.
Przekonawszy się, ze nie tak czarno wyglądało u nas położenie mieszczaństwa i włościan, jak to głosi kursujące oszczerstwo, stwierdźmy teraz, że położenie to – aczkolwiek smutne – nie może być żadną miarą podstawą do kwestionowania wartości swobód i praw politycznych, które Rzeczpospolita szlachecka tak bujnie rozwinęła. Zaprzeczać tej wartości jest to popełniać taką samą bijącą w oczy niedorzeczność, jak gdyby ktoś chciał utrzymywać, że Francja nie była nigdy narodem rycerskim, gdyż ta typowa cecha jej rozwinęła się w ramach jednej tylko warstwy.
Zjawisko szerokiego wymiaru praw dla ograniczonej części zaludnienia nie przeszkadza wszak, iż dotąd ludzkość żywi podziw do starożytnych republik z ich wysoka kulturą wolności i demokracji. Jeszcze dobitniej występuje to na przykładzie, późniejszym nie tylko pod tych przedtysiącletnich ustrojów, ale - od Polski, na przykładzie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Konstytucja federacyjna tego państwa, jedna z najliberalniejszych na świecie, uposażając prawami politycznymi całą ludność – białą, nie przyznała ich murzynom, co więcej, nie zniosła ich niewolnictwa. „Wszyscy murzyni, wraz z potomstwem istniejącym i przyszłym, maja pozostać na zawsze niewolnikami i będą podlegać kupnu, darowiźnie i przysądzeniu na równi z majątkiem ruchomym i zgodnie ze swa naturą” – głosiły ustawy kraju, który miał już za sobą nieśmiertelną Deklarację Jeffersona. Aż do roku 1866 w nowoczesnej, na wskroś demokratycznej republice północnoamerykańskiej istniało i było prawnie uznane niewolnictwo kilkumilionowej warstwy ludności! Nikomu przecież dotąd nie przyszło do głowy, aby kwestionować z tego powodu wielkość tych zasad, jakie zajaśniały przy narodzinach wolnej Ameryki i których doskonałym rozwinięciem świeci ona do dziś starej Europie.
Gdy tą samą miarę zastosujemy do idei i prawno – państwowych urządzeń szlacheckiej Rzeczypospolitej Polskiej, to okaże się w całej pełni niedorzeczność pseudo-krytyki dziejowej, która odmawia im znaczenia z powodu upośledzonego stanowiska mieszczaństwa i włościan. Skoro bowiem z praw politycznych i obywatelskich zostały obdarte gdzie indziej wszystkie warstwy społeczne, a w Polsce przynajmniej jedna, niezmiernie liczna, te prawa posiadała, skoro tam od kaprysu jednego człowieka zależą losy całych państw, a w Polsce milion ludzi ma zabezpieczony współudział w rządach, to jakiegoż żonglerstwa logicznego lub grubej złej woli trzeba, aby wysokiej wartości swobód polskich przeczyć dlatego, że z nich nie korzystał cały naród – choćby nawet jego szerokie i pełne pojęcie nie było dziełem ostatnich dopiero czasów.
* * * * *

Tolerancja wyznaniowa
Swoboda religijna jako następstwo swobód politycznych. Położenie Żydów. Wobec reformacji. Ustawa tolerancyjna z roku 1573. Równouprawnienie wszystkich wyznań. Polska schronieniem prześladowanych. Jak wyglądała reakcja religijna w Polsce? Unia brzeska.
Naród, który na gruncie życia politycznego wytworzył kult najwyższej swobody jednostki, nie mógł tej swobody ukrócać tym bardziej w subtelnej dziedzinie wiary. Z wolności obywatelskiej, z tego źródła, które zabarwiło wszystkie cechy ustrojowe polskie, z którego rozwinęły się różnorodne autonomie historycznych i plemiennych odrębności w ramach jednej Rzeczypospolitej, konsekwentnie wyrosła także swoboda religijna i wzajemna tolerancja wyznaniowa, nigdzie dawniej nieznana w tym stopniu, a w najświetniejszym swym okresie wykazująca wręcz charakter nowoczesny.
W najbardziej wymowny sposób przejawiło się to w stosunku do Żydów, tego społeczeństwa, które niezależnie zresztą od innych przyczyn ściąganej na siebie nienawiści było wszędzie typowym kozłem ofiarnym przesądów i namiętności religijnych. Mimo, że Polacy byli narodem arcychrześcijańskim i mimo ze osiadły miedzy nimi żywioł starozakonny od najdawniejszych czasów okazywał wobec gościnnego dla siebie państwa w chwilach jego ciężkich terminów bardzo kruchą lojalność, co tym bardziej mogło pogłębić istniejącą przepaść, nieznane były tu srogie prześladowania jakich doświadczyli Żydzi w całej niemal Europie. W czasach największej reakcji katolickiej tumulty przeciw Żydom były dziecinną igraszką wobec

pełnych grozy okrucieństw, których widownią był Zachód. Gwałty, znęcania się bestialskie i mordy pozostały nawet wówczas obce naturze polskiej. Nie było również owych gromadnych wypędzeń., tak pospolitych gdzie indziej. Badacz historii Żydów na naszych ziemiach dr Mojżesz Schorr stwierdza: „Na chwałę dziejów Polski należy podnieść, że w przeciwieństwie do wszystkich innych europejskich krajów średniowiecza, przez cały ośmiowiekowy przeciąg niepodległego bytu Polski nie zdarzył się ani jeden wypadek wypędzenia Żydów z państwa” (M. Schorr – „Rechtstellung u. innere Verfassung der Juden in Polen” Berlin 1917r). Wyznanie żydowskie posiadało zupełna wolność rozwoju w krajach polskich. Nauka rabinacka mogła tu stworzyć najbardziej kwitnące swoje centra. Żydzi - konstatuje jeden z pisarzy żydowskich – cieszyli się w Polsce w ciągu jej całego bytu państwowego „wielkoduszną tolerancją i daleko idąca swobodą” (miesięcznik „Morlah” grudzień 1916 r)
Polska nie znała na ogół religijnego fanatyzmu i sprawę stosunku do Boga zostawiała sumieniu każdego ze swoich mieszkańców. Już podczas soboru w Konstancji (1414) nauka polska przez usta rektora Akademii Krakowskiej Pawła Włodkowica z Brudzewa postawiła naprzeciw powszechnej doktrynie i praktyce średniowiecza zasadę zupełnie nowoczesną, że „wiara nie ma być z przymusu” (fides ex necessitate esse non debet – jak brzmiała w oryginale wiekopomna ta deklaracja). Stanowisko to zajaśniało u nas w pełnym blasku w epoce Reformacji. Ruch reformacyjny zjawił się wcześnie i znalazł łatwy przystęp w Rzeczpospolitej, która tysięcznymi więzami związana była z Zachodem i z ośrodków jego życia umysłowego obficie czerpała. Szerokie rozpowszechnienie humanizmu w wyższych warstwach narodu przygotowało grunt dla reformy religijnej. Najpierwsze rody polskie: Radziwiłłów, Leszczyńskich, Górków, Oleśnickich, Stadnickich, Zborowskich, Ostrorogów, Łaskich, Tomickich, Jazłowieckich, Działyńskich, Firlejów, i dziesiątki innych częściowo lub zupełnie odpadły od katolicyzmu. Prymas państwa, arcybiskup Uchański, skłaniał się ku wytworzeniu narodowego kościoła. Reformie religijnej uległ pierwszy narodowy pisarz polski Mikołaj Rey. Zaroiło się na obszarach Rzeczypospolitej od różnowierczych zborów, szkół, drukarń. Rozszerzył się kalwinizm i luteranizm, pojawili się wyznawcy religii Braci Czeskich, wyłoniła się polska sekta Aria nów (Braci Polskich), nie licząc mnóstwa sekt drobnych, a Polak Jan Łaski, którego wybitnej indywidualności obcy badacze poświęcają dziś monografie (holenderska monografia Kuypera, niemiecka Daltona), sięgnął działalnością swą do Fryzji, Danii i Anglii.
Tej wielkiej przemianie pojęć towarzyszy tolerancja, jakiej w Europie ówczesnej nie tylko nigdzie nie było, ale której nawet tam często zrozumieć nie umiano. Na Zachodzie wznosiły się stosy, na których płonęli „heretycy”. Strumieniami lała się krew na chwałę Boga”. Dziesiątki tysięcy ludzi mordowano na rusztowaniach, drugie dziesiątki tysięcy, tropione jak dzikie zwierzęta, uciekały z kraju do kraju. Polska nie znała tortur inkwizycji. Nie gwałciła sumień. Nie wszczynała wojen religijnych. Krwawe prześladowania innowierców, to zjawisko zgoła w tym katolickim kraju nieznane. Wobec Reformacji władze polskie zajęły od razu stanowisko pełne tolerancji. Od początków tego ruchu panowała w Polsce faktyczna, choć nie potwierdzona żadną jeszcze ustawą swoboda wyznaniowa. Przez cały wiek XV i XVI, chociaż katoliccy królowie ostro potępiali w specjalnych rozporządzeniach „nowinki religijne”, tj. nauki reformatorów, innowiercy cieszyli się w praktyce pełną swobodą. Wśród pierwszych dostojników państwa, otaczających tron królewski, spotykamy protestantów. W 1569 roku posiadają oni większość w senacie: 38 krzeseł na 73. Protestanci przewodzą na sejmach Rzeczypospolitej. Innowierstwo nie zagradza nikomu drogi do służby publicznej. Ohydna zasada „cuius regio – eius religio”, uchwalona w Niemczech na zjeździe augsburskim 1555 roku, zasada, która stała się zarzewiem strasznych i długotrwałych wojen religijnych, nigdy w Polsce nie istniała. W czasie, gdy różni książęta Europy pławią we krwi swych poddanych wierzących inaczej, niż król, wielki twórca Unii Lubelskiej, Zygmunt August wypowiada do swego narodu wiekopomne słowa: „ Nie jestem królem waszych sumień”, a Stefan Batory oświadcza: „Mniemam, że wiary nie wolno nigdy rozszerzać prześladowaniem i krwią, ani sumień ludzkich zniewalać gwałtem”. Stanowisko to podziela ogół społeczeń-

stwa. Nawet jezuita polski, Skarga, po którym najmniej możnaby oczekiwać jakichkolwiek względów dla innowierców i który zwalcza ich płomienną wymową, nie woła o represje, lecz ogarnięty nastrojem powszechnym, mówi: „Złe odszczepieństwo, ale krew miła”. Podobnież inny wysokiego stanowiska duchowny katolicki, ks. podkanclerzy Myszkowski, którego słowa – zauważa Kubla („Stanisław Orzechowski”) – „płynęły jakby z pod serca całego narodu”, zachęca: „Różne rozumienie pisma niech nie mąci miłości między nami, niechaj nie urąga jeden drugiemu a każdy przy swoim rozumieniu zostaje”. Kanclerz koronny Jan Zamojski wyrzekł typowo charakterystyczne dla ducha polskiego słowa: „Kiedyby to mogło być, abyście wszyscy mogli być papieżnikami, dałbym za to połowę zdrowia mojego, żebym drugą połową żyjąc, cieszył się z tej świętej jedności. Ale jeśli kto będzie wam gwałt czynił, dam wszystko swe zdrowie przy was, abym na tą niewolę nie patrzył”.

Obok faktycznej, zyskali innowiercy polscy także ustawodawczo zagwarantowaną wolność sumienia. Prawo swobodnego wyznawania religii wymierzyła Rzeczpospolita szeroką i szczodrą dłonią na pamiętnym sejmie konwokacyjnym w roku 1573, który we wspaniały sposób zadokumentował polityczną i kulturalną Polski dojrzałość. W chwili, gdy na Zachodzie szalał fanatyzm, a ów sławny „pokój augsburski”, który orzekł, że wiara księcia ma być wiarą poddanych, zdołał doprowadzić na krótko do porozumienia się dwóch tylko uprzywiliowanych wyznań, wiekopomna sejmowa ustawa polska „ De paces inter dissidentes” z dnia 28 stycznia 1573 roku – współczesna niemal nocy św. Bartłomieja – urównouprawniła wszystkie wyznania w kraju i orzekła, że bezwzględnie nikt w Polsce nie może być prześladowany z powodu swoich przekonań religijnych. Pojęcie tolerancji religijnej weszło do konstytucji Rzeczypospolitej, stało się jedną z ustaw zasadniczych, która każdy król zaprzysięgał odtąd przy obejmowaniu władzy. Swoboda wyznaniowa przysługująca de jure tylko szlachcie i mieszczaństwu, de facto przysługiwała również chłopom, których możnowładcy – dysydenci, pominąwszy oczywiście wyjątki,. Nawet w czasie największego wzrostu Reformacji nie zmuszali do przyjmowania swojej wiary, jak to się wszędzie wówczas działo. „Aby kogo do zboru niewolono – mówi pisarz polityczny polski XVII wieku – aby penowano (karano), iż tak wierzyć nie chce jako pan, albo iż do kościoła chodzi, to nigdy nie było”. (Rembowski – „Konfederacja i rokosz”).

W Europie, zalanej potokami krwi podczas wojen religijnych, Polska wyglądała jak wyjątkowe, bezprzykładne zjawisko. *(Obchód czterechsetlecia reformacji w Polsce, odbyty w Warszawie w r. 1917, otwarty został przez mówcę-ewangelika słowami: „Chcemy wybiedz myślą do owej krainy szczęśliwej, która obywateli swoich największą darzyła wolnością, do dawnej Rzeczypospolitej polskiej...”)*

Wobec tych obyczajów ludzkich, wobec praw i swobód, jakich naród polski używał, zwracały się ku niemu z sąsiednich a nawet dalekich krajów oczy wszystkich, którzy cierpieli za przekonania religijne. Tuż po nocy św. Bartłomieja hugenoci we Francji domagają się, aby król francuski poszedł za „a l’exemple de Pologne”. Erazm z Rotterdamu sławił swobodę myśli w Polsce, mówiąc o kraju naszym, że jest „jedyną ojczyzną tych co mają odwagę być uczonymi”. W okresie wrzenia wielkiej reformacji zamieniła się Polska w wielkie asylum dla prześladowanych na zachodzie nowatorów. Działali tu wypędzeni skądinąd wybitni reformatorzy obcy: Ochino, Stankar, Statorius, Lismanin, Lelio i Faust Socyni. Całe sekty szukały tu bezpiecznego schronienia i pola działania. Odłam husytów, Bracia Czescy, po wyganianiu z Czech schronili się tłumnie do Wielkopolski w roku 1548. Jeszcze w XVII w., podczas przekwitu tolerancji, na zachodzie Rzeczypospolitej wzdłuż granicy brandenburskiej i śląskiej osiadło mnóstwo Niemców, którzy w gościnnej Polsce kryli się przed prześladowaniem za wiarę we własnej ojczyźnie. Później tzw. Starowiercy rosyjscy, ścigani przez carat, chcąc swobodnie wyznawać swą wiarę, przechodzili wielkimi gromadami polską granicę.

Ten stan rzeczy trwał dwa stulecia. W ciągu XVII w., gdy katolicyzm wziął ostatecznie górę nad wyznaniami reformowanymi, przyszły ograniczenia dawnej swobody innowierców, nie były one jednak niczem w porównaniu z tem, co przeżywała zachodnia Europa. Największe napięcie rozdrażnienia religijnego w Polsce wyładowywało się w przeważnie bezkrwawych

tumultach miejskich, przeciw którym zresztą kilka razy uchwalano specjalne „konstytucje o tumultach" i które nigdy nie zmieniły się w domową wojnę, jakich pełno było gdzie indziej. W wojnach kozackich, które miały charakter zrazu socjalny a później polityczny, moment wyznaniowy był ubocznym. Obecności jego, mianowicie w dalszym rozwinięciu się wypadków, mimo to nie myślimy przeczyć ani osłabiać. Polska sprzeniewierzała się już wówczas swym długoletnim zasadom tolerancyjnym, które znalazły tak wspaniały i bezprzykładny na owe czasy wyraz w ustawie sejmowej z r. 1573. O ile przecież idzie o dyzunitów, którzy upośledzani i krzywdzeni przez katolików, stali się czynnikiem ciągłego wrzenia na wschodzie Rzeczypospolitej, nie wolno zapominać o podżegającej roli Moskwy, płynącej z pobudek czysto politycznych, o drażnieniu celowym, które utrudnić miało wszelką akcję porozumiewawczą. Z tych samych pobudek sąsiad protestancki podsycał ferment wyznaniowy na zachodzie.

Pomimo wszystko reakcją katolicką w Polsce nazywa się właściwie epoka tłumnego powrotu dysydentów na stare wyznanie rzymskie, a okresem fanatyzmu nazywa się schyłek wieku XVII i pierwsza połowa XVIII, gdy zabroniono wznoszenia nowych zborów protestanckich w miastach o większości katolickiej, gdy ograniczano ostentacyjnie formy innowierczego kultu oraz wypędzono – jeszcze w 1658 – najbardziej znienawidzonych Arian, podejrzanych o zdradzieckie konszachty z najazdem szwedzkim. Charakterystyczne przy tym, że tym wyjątkowo niecierpianym sekciarzom dano jednak dwa lata czasu na zlikwidowanie stosunków prywatnych. Pisarze niemieccy rozdmuchują tendencyjnie tzw. sprawę toruńską z roku 1724(skazanie na ścięcie burmistrza Rösnera i jego dziewięciu towarzyszy oraz liczne kary więzienia na mieszczan) zapominając, że nie odegrali oni w tym wypadku bynajmniej roli niewinnych baranków, gdyż w odwet za zaczepki katolickich żaków szkolnych napadli i spalili kolegium jezuickie, Czymże zresztą był odosobniony i dlatego tak łatwo w oczy wpadający epizod z całą srogością swego wyroku wobec strumieni krwi, która lała się na Zachodzie, wobec tysięcy stosów, które tam płonęły przez wieki? Podobnie jak to dziś czynią niemieccy historycy, rozdmuchiwały te sprawę obłudnie już wówczas dla politycznych celów dwory protestanckie, a w spółce z nimi, w masce opiekuna uciśnionych, taki miłośnik wolności, jak car moskiewski Piotr „Wielki". Autorów rosyjskich, bolejącym w ogóle nad rzekomo smutnym losem innowierców w naszej ojczyźnie należy przywołać do porządku przypomnieniem zupełnie nowoczesnego męczeństwa unii, autorów niemieckich należy otrzeźwić faktem, że gdy polska Konstytucja 3 maja 1791 roku zatarła ostatnie u nas ślady nietolerancji religijnej, to niemal w sto lat potem w północnej połowie Niemiec wrzała jeszcze walka z katolicyzmem i wtrącano biskupów do więzień (Kulturkampf Bismarka).

Jako szczyt nietolerancji występuje w dawnej Polsce fakt, że wreszcie zamknięto dysydentom dostęp do urzędów i godności ziemskich (*niemieccy sędziowie naszej przeszłości, którzy tak surowo piętnują owe zamykanie urzędów przed innowiercami w Polsce XVIII wieku, zechcą zwrócić uwagę na często powtarzające się skargi dzisiejszych katolików niemieckich na pomijanie ich przy obsadzaniu stanowisk publicznych przez rząd pruski. Równouprawnienie na papierze nie przeszkadza tu praktyce wręcz przeciwnej)* – w miastach zachowali go w znacznej części do końca. Ale patrzmy jak wolno postępowała ta reakcja, jakby na dowód, że nie wypływała z instynktu narodowego. Przez cały wiek XVII, chociaż dewocja katolicka coraz gwałtowniej wzbiera pod wpływem działalności zakonu Jezuitów, prawa polityczne dysydentów pozostają nienaruszone. Aż do roku 1773 zasiadają oni jako obieralni sędziowie w trybunałach i piastują urzędy publiczne. Więc niemal do polowy XVIII wieku nie tracą najważniejszych praw obywatelskich, a ledwie się to stało – na krótki czasu przeciąg – już powiew „oświecenia" wdzierał się pod dachy szlacheckich siedzib i niósł zapowiedź reform Wielkiego Sejmu lat 1788 – 1791. Łagodny przebieg i stosunkowa krótkotrwałość reakcji religijnej w Polsce może a contrario służyć za dowód, jak głęboko w naturze polskiej tkwiła zasada tolerancji.

W Polsce też, i jedynie tu, dokonano dzieła pojednania dwóch kościołów, wschodniego i rzymskiego, dzieła, które z ujemnym skutkiem podejmowane było gdzie indziej. W niespełna

trzydzieści lat po ostatecznym złączeniu się Polski i Litwy na sejmie lubelskim w roku 1569, w epoce rozkwitu unii politycznej, powiodło się Polsce doprowadzić do skutku również unię dwóch wielkich odłamów chrześcijaństwa. Na pamiętnym synodzie w Brześciu Litewskim 1595 r. stanął wiekopomny akt, mocą którego kościół grecki na ziemiach Rzeczypospolitej ponownie został z rzymskim zjednoczony, uznając zwierzchność papieża, a zachowując odrębność ustroju swego i obrzędów. Gdy unia florencka 1439 roku po kilkunastu zaledwie latach rozpadła się znowu na wrogie sobie kościoły, wschodni i zachodni, polska Unia Brzeska wykazała tak wielką siłę trwania, że po upływie trzech stuleci, chcąc na zagrabionych obszarach Rzeczypospolitej rozszerzyć prawosławie, Rosja musiała strzałami karabinowymi nawracać w 1874 roku unitów, a miliony ich jeszcze do dziś uznają zwierzchność Rzymu.

* * * * *

W opinii naszych kół wykształconych utrzymują się dotychczas mętne i krzywdzące przeszłość narodową zapatrywania na znaczenie swobody wyznaniowej w dawnej Polsce. Zawdzięczamy to historykom ze szkoły krakowskiej, którzy obdzierając ze wszelkiej wartości przewodnie idee w dziejach Rzeczypospolitej, nie zaniedbali uczynić tego również ze wspaniałym zjawiskiem, jakim była tolerancja religijna naszych przodków: skwalifikowano ją po prostu jako objaw „niezdolności do silnych namiętnych porywów", jako wypływ kwietyzmu, bezwładu i niemal bezmyślności. Zdaniem tych historyków tolerancja była objawem niższości polskiej wśród powszechnej walki o byt. Pogląd – równie oszczerczy jak paradoksalny i nie wytrzymujący krytyki. Możnaby z nie mniejszą ani o włos słusznością, że upowszechnienie się nowoczesnej procedury sądowej w miejsce dawnego prawa pięści jest dowodem nie postępu w kulturze prawnej i obyczajowej, lecz zniedołężnienia ludzkości. Skoro narzucanie komuś siłą własnych wierzeń religijnych uchodzi dziś słusznie za rzecz brutalną, dziką i głupią, a przodkowie nasi stali na wyżynie tego poglądu już przed setkami lat, to zamiast naciąganych wycieczek w dziedzinie temperamentu polskiego naturalniejszą będzie konkluzja, że po prostu wyprzedzili oni w rozwoju pojęć prawnych i etycznych współczesne sobie narody. Że tak było, że tolerancja polska płynęła z głębokich pokładów duchowych i była wytworem świadomie działającej myśli, to potwierdza bijący w oczy ścisły związek, jaki zachodzi między zjawiskiem tolerancji religijnej a zasadą szerokiej wolności, która przenikała całokształt polskiego życia. A że praktyczna wartość tej zasady w międzynarodowym współzawodnictwie bywa niekiedy gorszą od wartości kłów i pazurów, będących wykładnikiem także „silnych namiętności", tego dowodzi ogromny rozrost, jaki Polska osiągnęła w epoce największego rozkwitu nie tylko religijnej swej tolerancji i właśnie dzięki niej.

Prawo i życie

Wstręt do przymusu. Moralne więzy życia gromadnego. Praktyczna próba ich wartości. Sto lat rozwoju. Poczucie prawa. Sądownictwo. Zasada obrony i jawności rozpraw. „Palestra". Własność. Bezpieczeństwo publiczne jako probierz systemu karnego.

Przez całą polityczną twórczość narodu polskiego – przez jego ustrój państwowy wysnuty z zasady „nic o nas bez nas", przez wolną elekcję pokreślona artykułem o wypowiedzeniu posłuszeństwa królowi. Przez unie i autonomie oparte na podwalinach wszechstronnej tolerancji – przewija się charakterystyczna cecha natury polskiej: wstręt do przymusu. Rys ten występuje jako jeden z najbardziej znamiennych w typie polskim. Wielkie czyny skoncentrowanej energii w naszym narodzie były zawsze uwarunkowane istnieniem pobudek swobodnie uznanych i głęboko odczutych. Więzy życia gromadnego posiadały konieczny podkład w sankcji moralnej wszystkich, którzy w skład organizacji wchodzili. Autor „Sejmu czteroletniego" Kalinka kreśli w następujący sposób typ szlachcica polskiego na tle środowiska: „Służbę lub urząd pełniąc, nie czuł się podwładnym, tylko dobrowolnym pracy towarzyszem. W życiu prywatnym, tak dobrze jak publicznym, wiązała go wiara, tradycja, obyczaj, hierarchia, ale wszystko to było dobrowolnie przez niego uznane i przyjęte; przymusu nie pojmował i nie cierpiał".

Wbrew utartym poglądom na państwo jako na organizację przymusu, Polska istniała z tymi pojęciami przez setki lat. W XVBI i XVII w była potężną i umiała być groźną: stanęła zwy-

cięską stopą w Moskwie na dwieście lat przed Napoleonem, obroniła chrześcijaństwo pod Wiedniem, złamała potęgę Turcji. A jednak „cały ustrój Rzeczypospolitej - mówi Kalinka – opierał się na dobrej woli obywatela”. Pod koniec istnienia państwa polskiego wielka reforma z dnia 3 maja 1791 roku, reorganizując administrację publiczną, powołała do życia tzw. komisje cywilno – wojskowe –p pierwszy w Polsce przejaw nowoczesnej biurokracji. Ale biurokracja ta posiadała swoiste cechy polskie, właściwe i poprzedniemu okresowi: urzędnicy spełniali swe obowiązki jako zaszczytną służbę obywatelską, a za wszystkie środki rygoru, jakimi dziś utrzymuje się ogół we karności, miało tam wystarczyć poszanowanie dla prawa. I o tej administracji pisze historyk owych czasów Korzon w swych „Dziejach wewnętrznych Polski za Stanisława Augusta”: „Przejrzawszy księgi, protokoły i wyroki, przyjdziemy do przekonania, że komisje cywilno – wojskowe funkcjonowały ku zadowoleniu tak władz wyższych, jak ludności, i ze społeczeństwo okazywało niezwykłą powolność ich zarządzeniom, bez żadnych prawie środków przymusowych”. Polska ze swoim niemal zupełnym brakiem przymusu państwowego musiała tym samym stawiać swym obywatelom niezmiernie wysokie wymagania moralne. Tym wymaganiom Polacy umieli sprostać przez wiek XV i XVI, gdy państwo było bardzo silne, w znacznym stopniu jeszcze w wieku XVII, gdy zdołaliśmy się obronić przed napaścią równoczesną wszystkich niemal sąsiadów. Pomiędzy okresem najświetniejszego rozkwitu Rzeczypospolitej w wiekach XV, XVI, aż ku połowie wieku XVII – a epoką reform 3 maja 1791 roku, pomiędzy tymi dwoma okresami, w których mechanizm polskiego życia mimo braku przymusu funkcjonował prawidłowo, leży około stuletni przeciąg czasu, w którym założenia pierwotne rozwinęły się chorobliwie, wolność stawała się niejednokrotnie swawolą, decentralizacja nadmierna groziła rozbiciem całości, a dobra wola obywateli okazywała się siłą zbyt słabo spajającą wewnętrzne wiązania państwowe. Był to najsmutniejszy w dziejach Rzeczypospolitej okres osławionej i przez czcicieli silnej pięści tendencyjnie jaskrawionej – „polskiej anarchii”. Ale i wtedy o ileż wyżej stał naród polski od despotycznie rządzonych społeczeństw sąsiednich. Nawet w tej smutnej epoce istnieje w zbiorowości powszechnej, aczkolwiek w słabszym natężeniu i nieraz zwyrodniała,. Ta siła moralna, która przenika cały obszar dziejów narodu polskiego: poczucie prawa.
Zjawisko to jest łatwo zrozumiałe. Naród, któremu od wieków nie narzucano ustaw od góry, który sam był swoim ustawodawcą, musiał z samej natury rzeczy rozwinąć w sobie poczucie prawa wyżej, niż społeczeństwa, które p[oddane samowładnej woli jednostki nie brały udziału w tworzeniu prawnych form życia. Stąd charakterystyczny, że kanclerz państwa mógł u nas odmówić nawet samemu królowi położenia pieczęci pod aktem, gdy jego treść była niezgodna z duchem obowiązujących ustaw.

Uderzająco znamiennym jest w dziejach Polski brak epoki „prawa osobistej pomocy” (prawa pięści), tego wykwitu istotnej anarchii, gdy rozstrzyganie sporu na własną rękę przez gwałt fizyczny (w Niemczech po czteru wiekach istnienia wznowione jeszcze w czasie wojny 30 – to letniej uchodziło właściwie za legalną instytucję, gdy nie było rządu ani sądu, a samowolny wymiar sprawiedliwości był przywilejem przyznanym każdemu silnemu. W Polsce podobnych wynaturzeń prawnych nie było nigdy. U nas, gdy władza państwowa osłabła, to zjawiła się – jako daleki refleks prawa pięści – awanturniczy „zajazd”, tj. samowolna egzekucja wyroku, która, nie mówiąc już o zasadniczej różnicy prawnej, wyglądała wobec dzikiego „Faustrechtu” jak igraszka dziecięca (wystarczy sięgnąć do na wpół humorystycznego opisu mickiewiczowskiego) i zresztą zdarza się rzadko a uważana jest zawsze za gwałt publiczny, nigdy za legalną instytucję. Już około połowy XVIII wieku zdarzają się takie przykłady surowości prawa, jak fakt, że potężny magnat litewski Wołłowicz za występne swe awantury, schwytany i postawiony przed sąd poniósł karę śmierci przez rozstrzelanie w Mińsku.

W całej prawie dziedzinie polskiego życia widzimy refleks tych naczelnych zasad, na których wspierała się budowa państwa: kultu wolności – poszanowania indywidualizmu. Na sądownictwie polskim, podobnie jak na ustroju politycznym wycięły te dwie podstawowe cechy piętno niezwykle wczesnej dojrzałości.

Gdy z wyjątkiem Anglii we wszystkich monarchiach europejskich panował, w procedurze proces śledczy inkwizycyjny, połączony z badaniem tajemnym opartym głownie na torturach, na podstępnych pytaniach (captiöse Fragen) i na pisemnych protokółach, to w postępowaniu sądowym polskim, wobec jednej przynajmniej warstwy narodu, tj. szlachty, spotykamy wszędzie zachowanie zasady jawności, rozprawy ustnej, oskarżenia i obrony, te znakomite zasady, które dopiero za wpływem wielkiej rewolucji francuskiej wprowadzone zostały w XIX wieku we wszystkich państwach europejskich, a przed rewolucja istniały tylko w Anglii i w Polsce. Wytwarzało to w ludności, korzystającej z tych urządzeń, poczucie prawne zgoła inne niż w krajach tkwiących w absolutyźmie. Wystarczy powołać się tu na niezmiernie charakterystyczny rys, że skazany stawiał się zwykle sam, by „zasiąść wieżę", skoroby zaś nie chciał zadość uczynić wyrokowi, stawał się banitą i każdy mógł zabić go bezkarnie, co od XVI wieku zdarzało się nie raz. Człowiek, uciekający przed karą wymierzoną przez sąd, uważany był w Polsce za tchórza.

Jak głęboko prawo ukorzeniało się w pojęcia narodu świadczy fakt, iż w XVIII wieku powoływano się w sądach polskich jeszcze na niektóre postanowienia statutu wiślickiego z XIV wieku. Słynne pieniactwo polskie z czasów upadku, tak zgubne jako zjawisko społeczne, dowodzi jednak pośrednio istnienia autorytetu prawa. „Palestra" była po wszystkie czasy niwą uprawianą ze szczególnym zamiłowaniem, stanowiła jedna z pasji narodowych – jak praca rolnicza i rzemiosło rycerskie – gdyż zawsze, nawet wśród rozgwaru namiętności, wśród obłędu i występków politycznych, cześć dla prawa tkwiła głęboko w umysłach Polaków. Byli oni zdolni „mieć fanatyczna głowę na punkcie prawa", zauważył nienawidzący Polski, a długo w Warszawie przebywający ambasador rosyjski Repnin w roku 1767.

Szczególnie mocno ugruntowane było nie tylko w umysłach ogółu szlacheckiego, ale w instynkcie całego narodu pojęcie własności. Istniało przysłowie, że łatwiej w Polsce stracić życie niż własność. O bezpieczeństwie publicznym, tym niezawodnym probierzu wartości państwa posiadamy z czasów największej właśnie „anarchii" polskiej cenne zeznania cudzoziemców.

Rulhière w „Histoire de l`anarchie de la Pologne" (Paryż 1807) pisze: „Niepodobne prawie do wiary, ze wśród takiej anarchii Polska zdawała się szczęśliwą i spokojną; bezpieczeństwo panowało w miastach, podróżny bez żadnej obawy mógł przebywać lasy najsamotniejsze jak drogi najliczniej uczęszczane, nie słychać nigdzie rozmów o jakiejś zbrodni i nic lepiej nie popiera mniemania niektórych filozofów, że człowiek z natury jest dobry". W roku 1779 podróżował po Polsce historyk angielski Wiliam Cox, profesor uniwersytetu w Cambridge, w towarzystwie lorda Herberta. Cox zapisał spostrzeżenie, że w ciągu całej podroży przez kraje polskie nic mu nie zginęło, choć powóz zostawał zawsze na dworze bez dozoru, tymczasem w Rosji po każdym noclegu spostrzegali jakąś kradzież, mimo iż w powozie sypiał służący. (Cox – „Travels into Poland, Russia and Denemark"). Niemiec Blester podróżując w 1791 roku zapewnia, że „w Polsce czy we dnie, czy w nocy jechać można bardzo bezpiecznie: kilkakroć sto tysięcy dukatów wiezie kabrioletem jeden człowiek. (Ksawery Liske – „Cudzoziemcy w Polsce"). Niechętny Polakom Schultz („Reise eines Liefländers"), kiedy podróżował przez Polskę w latach 1788 – 1793, pisze o bezpieczeństwie publicznym w krajach Rzeczypospolitej: „Nie należy wierzyć temu co mówią o niepewności dróg. Ja sam odbyłem te drogę (przez Polskę) trzy razy, wiele moich przyjaciół również i nigdy nie pokazało się nic podejrzanego". Dodajmy do tych wynurzeń świadectwo Tadeusza Korzona („Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta"), który pisze: "Co kwartał przewożona była z każdej prowincji skarbowej, a wiec z poznania, z Krakowa, z kamieńca, kasa prowincjonalna do Warszawy, wynosząca czasem około miliona złotych, pod eskotrą jednego a rzadko dwóch strażników konnych. Można się zdumiewać, ze te kasy dochodziły miejsca przeznaczenia. Przejrzawszy wszystkie akta codziennych czynności Komisji Skarbowej, wiemy dokładnie, ze ani jeden transport w ciągu lat trzydziestu nie zginął, ze raz tylko była złupiona kasa egzaktorowi w Latyczowie przez hajdamaków nad granicą turecką".

Ponieważ – zauważa Korzon słusznie – bezpieczeństwo publiczne jest głównym i ostatecznym celem wszelkiego systemu karnego, zaś cel ten był w Polsce osiągany z podziwu godnym powodzeniem, przeto i samemu systemowi przyznać należy niepospolite zalety, górujące nad wszystkim i wadami”.

Wojny polskie

Wstręt do wojen zaborczych. Piast – symbol. Zamiłowanie pokoju. Kultura obyczajowa. Pospolite ruszenie. Polska wobec narodzin militaryzmu. Idea wojen polskich. Przedmurze Europy. Kompetencja sejmu w sprawach wojennych. Problem „wojny słusznej”.

Polska wyrosła szybko z barbarzyńskiego zamiłowania we wojnach, które zresztą nigdy, nawet za Piastów, nie stanowiło jej szczególnie znamiennej cechy: instynkt narodu, podobnie jak innych ludów słowiańskich, skłaniał się raczej do zaspokojenia swych potrzeb własna pracą, niż łupiestwem popełnianym na sąsiadach; przeważna część orężnych wystąpień polskich była już wtedy wywołana koniecznością zasłaniania się przed napaściami - Niemców, Prusaków, Litwy. „Na gospodarczo – twórczej pracy rozbudował się gmach Polski - stwierdza ekonomista H. Radziszewski („Polska idea ekonomiczna”), uzasadniając to stwierdzenie szerokim zarysem historycznym. Od wyjścia zaś z młodzieńczego okresu swych dziejów, przez pięć ostatnich wieków państwowego bytu, ojczyzna nasza nie prowadziła nigdy wojen zaborczych. Zbójecki najazd na czyja własność, choćby przystrojony „racją stanu”, uważany był w tym wielkim i tak wielkimi zasobami rozporządzającym państwie za rzecz nikczemną. Państwo dobywało miecza tylko w wypadkach nieuniknionych, dla obrony własnej i dlatego wojna nazywała się u nas charakterystycznie „ potrzebą”. Buszczyński w swym „Znaczeniu dziejów Polski” podkreślił trafnie znamienny fakt, że gdy u innych ludów mit o pierwotnych bohaterach narodowych owija się niemal zawsze dokoła krwawych postaci wielkich zdobywców i wielkich zbrodniarzy, to polska legenda postawiła u przedtysiącletniej kolebki wyłaniającego się narodu króla – rolnika Piasta, uosobienie twórczej pokojowej pracy. Równie znamiennym jest, że jedyny raz w dziejach Polski przyznane monarsze miano „Wielkiego” otrzymał od narodu nie znakomity wojownik, jakich nie brakło, lecz król, który upamiętnił się wydaniem kodeksu praw (Statut Wiślicki) i zasłynął sprawiedliwością, który założył pierwszy w kraju uniwersytet (1364) i zbudował mnóstwo monumentalnych gmachów i całych miast, tak, ze przeszedł do potomności z pochwałą, że „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną”. Właśnie ten król – budowniczy, król miłośnik pokojowej pracy, zyskał miano „Wielkiego”.
Te dwa symbole przeniknęły całą treść dziejową Polski.
W chwili największego wzniesienia się potęgi państwowej, gdy Rzeczpospolita tworzyła najrozleglejsze w Europie mocarstwo, obłędna żądza „panowania nad światem”, która tyle razy pustoszyła kwitnące niwy ziemi i zalewała krwią całe kraje, pozostała obcą naturze narodu polskiego, chociaż słynął on z rycerskiej brawury. „Pośród powszechnego łupiestwa – mówi Julian Klaczko – pozostała Polska czysta od niesprawiedliwej grabieży cudzych ziem, obcą wszelkiej chciwości, nawet wówczas, kiedy miała łatwą sposobność „sprostowania granic” lub przyjęcia „misji Opatrzności”. Ten rys, godny prawdziwie cywilizowanego narodu, wystąpił w pełni swego uświadomienia we wspaniałej mowie hetmana wielkiego koronnego Jana Zamoyskiego, który wołał w sejmie: „**Ci wszyscy, którzy napaści czynią na ziemie obce**, **są burzycielami świata i nieprzyjaciółmi ludzkiego plemienia. Bądźmy gotowi ginąć przy obronie własnej ojczyzny, odłóżmy jedną połowę majątku dla ocalenia drugiej jego połowy, twórzmy wojsko dla bezpieczeństwa naszej granicy, nie dla najeżdżania ziem cudzych”.**
Potworność nazywająca się wojnami sukcesyjnymi, które dla interesów dynastycznych szerzyły mordy i zniszczenie, tak zwykła w historii Europy, była w Rzeczypospolitej Polskiej czymś nieznanym i obcym. Król Zygmunt Stary, gdy ofiarowano mu koronę czeską i węgierską, rzekł te niespotykane w dziejach słowa: „Po co chcieć panować nad kilkoma narodami, gdy tak trudno przysporzyć szczęścia jedne-

mu", słowa których głęboką mądrość życie tyle razy sprawdziło.
Wysłany do Polski Francuz Choisnin w roku 1573 pisał z podziwem: „cette nation deteste l`effusion du sang, si ce n`est contre les ennemis déclaré" (*naród ten nienawidzi rozlewu krwi, chyba, gdy ma przed sobą zdecydowanego nieprzyjaciela).* Polacy ówcześni byli świadomi tej odrębności swej psychiki i swej kultury obyczajowej i szczycili się tym, mówiąc: **„o nas inne narody powiadają, że „dulcis set sanguis Polonorum"** (*słodka jest krew Polaków tzn. mają słodkie usposobienie*) i dodawali z duma „Abhorrent lectissimi et dulcissimi mores nostri ab omni crudelitate, natura ipsa nostra ad omnem humanitatem facta, refugit ferocitatem" *(„nasze obyczaje pełne ogłady i słodyczy brzydzą się wszelkim okrucieństwem, a sama nasza natura, skłonna do wszelkiego humanitaryzmu, stroni od krwiożerności" – W. Sobieski „Hugenoci").*
Typ polskiej siły zbrojnej w nowszych czasach i aż niemal do końca tworzyło pospolite ruszenie. Było ono przeznaczone wyłącznie do obrony i zgodnie z tym nie mogło być wyprowadzone poza granice państwa. Do służby w pospolitym ruszeniu, do udziału w jedynie usprawiedliwionej w oczach Polaków wojnie – odpornej, obowiązany był każdy obywatel – szlachcic (mieszczaństwo miało sobie powierzoną obronę miast) i spełnienia tej powinności strzegła bardzo stanowcza egzekutywa. W dawniejszych czasach ci, którzy na wezwanie nie stawili się, podlegali wręcz karze śmierci i konfiskacie majątku. Ustawa nowsza z roku 167 skazywała winnych na utratę dóbr, które przechodziły na własność skarbu publicznego. Od obowiązku służenia można było uwolnić się tylko dla ważnych powodów za wyraźnym zezwoleniem sejmu. Wojska najemne odgrywały wobec pospolitego ruszenia stosunkowo nieznaczną rolę.
Gdy w XVII wieku cała Europa reorganizowała się militarnie, stwarzając wielkie stałe siły zbrojne, gdy gorączkowo stosowano wszędzie „podstęp" w taktyce wojennej w technice broni, aby się módz skuteczniej wyniszczać i mordować, Polska nie poszła za ogólnym prądem. Prócz koniecznych załóg dla ochrony bezpieczeństwa na pograniczach, nie chciała utrzymywać wojsk w czasie pokoju. Szlachta zwalczała namiętnie idee znaczniejszej armii stałej, nie zamierzając podejmować przeciw nikomu wojen napastniczych, a oceniając trafnie, że stała armia prowadzi do absolutyzmu, co doświadczenie dziejowe wszędzie potwierdziło. Po raz pierwszy, pod naciskiem zewnętrznego niebezpieczeństwa, sejm w roku 1788 uchwalił uzbroić i trzymać pod bronią sto tysięcy ludzi, ale – rzecz nader charakterystyczna, najwybitniejszy ówczesny autorytet wojskowy w Polsce, Kościuszko, w memoriale skreślonym w czasie Sejmu Czteroletniego przemawia za naśladowaniem milicji amerykańskiej, tak podobnej do polskiego „pospolitego ruszenia", stanowczo zaś oświadcza się przeciw stałej armii, bo to by „kajdany kładło na obywateli".
Pomimo wstrętu do wojen, który leżał w naturze polskiej i mimo wad i niedostatków pospolitego ruszenia, historia oręża polskiego jest także w nowszych czasach pełna świetnych czynów. O pierś polskiego rycerstwa w długoletnich i uporczywych walkach w XV w rozbiła się największa wówczas potęga militarna – Zakon Krzyżacki, który przeobraziwszy się na darowanych sobie ziemiach w zbójeckie państewko, w imię krzyża uprawiał międzynarodowy rabunek. Chwała zwycięstwa, odniesionego przez rycerstwo polskie nad Krzyżakami pod Grunwaldem, nie zdołała jeszcze przebrzmieć, gdy znamię półksiężyca rzuciło postrach na Europę. Polska, wysunięta najdalej na ówczesny wschód europejski, wystąpiła teraz do długoletniego boju w obronie chrześcijaństwa i kultury zachodniej z pełną świadomością posłannictwa, jakie historia na nią włożyła. W roku 1444 młodociany król Władysław padł w bitwie pod Warną. Odtąd, a zwłaszcza od upadku Węgier, zapanowało wśród rycerstwa polskiego przekonanie, że stanowi ono żywy mur ochronny, którego przeznaczeniem zasłonięcie Chrystusowego krzyża przed fanatyczna potęgą Osmanów.. Zadanie to wśród ciężkich walk zostało świetnie spełnione. Zasłynęła wówczas w całym świecie niezwyciężona skrzydlata jazda polska – husaria – stanowiąca właśnie rdzeń pospolitego ruszenia. Mogiłami swymi pokryła szlachta stepy Besarabii, Węgier i podnóża Bałwanów. Przez szereg pokoleń najwięksi wodzowie polscy ciągnęli na tradycyjny bój z nawałą otomańską i nie tylko walczyli osobiście, ale i ginęli jak świetny wzór rycerza bez skazy i lęku,

wielki hetman Stanisław Żółkiewski, poległy w roku 1620. Prawnuk jego po kądzieli, król Jan Sobieski, pod murami oblężonego Wiednia złamał ostatecznie przewagę Turcji i położył kres grozie, wiszącej od dwóch przeszło stuleci nad krajami chrześcijańskimi.

Mimo więc odrazy do wojen, mimo zasadniczego wstrętu do armii stałej, mimo swej „dulcis sanguis" dorastała Polska do najwyższych zadań militarnych owego czasu. Zwycięska i silna nie używała jednak swej broni do napaści i grabieży. Przeciwnie – broniła przed napaścią. Była przedmurzem i ochronną tamą Europy. Gdyby przez pół tysiąca lat o polską groblę nie rozbijały się fale niszczącej powodzi Mongołów i Turków, Europa nigdy by nie doszła była do późniejszego rozkwitu. Rycerstwo nasze posiadało pełne poczucie tej swojej wielkiej roli dziejowej, jak świadczą niejednokrotnie wynurzenia ówczesne. To górne pojęcie o misji, spełnianej przez oręż polski, wyraziło się między innymi prastarym obyczajem, iż podczas czytania Ewangelii obecne w kościele rycerstwo wyciągało do połowy szable z pochew, w dowód, że gotowe jest bronić w każdej chwili wiary, gdyby była przez kogo zagrożona. W owym okresie było to najwyższe idealne dobro, jakie człowiek uznawał. Tylko takie wzniosłe motywy miały moc porywania Polaków do walki orężnej.

Wypowiedzenie wojny należy w dawnej Polsce do kompetencji narodu, zgromadzonego w osobach swych prawnie i swobodnie wybranych przedstawicieli. Nikt poza sejmem nie posiada władzy wezwania pospolitego ruszenia. Już w roku 1496 prawo zwoływania go, przysługujące do tej pory królowi, przeszło na sejm. Od roku 1573, tj. od pierwszych „artykułów" i „pactów", przedłożonych Henrykowi Walezemu, każdy monarcha przysięga: „o wojnie albo ruszeniu pospolitym nic zaczynać nie mamy mimo pozwolenie sejmowe wszech stanów", oddając tym sposobem sejmowi prawo decyzji o wypowiedzeniu wojny w ogóle, choćby miała być prowadzona wojskiem zaciężnym i kosztem samego króla. Na tym stanowisku utrzymało się prawo polskie bez zmiany zasadniczej aż do końca istnienia Rzeczypospolitej. Decyzja narodu stanowiła hamulec, który utrudniał państwu popadanie w konflikty i to tym bardziej, że towarzyszyła temu zasadnicza niechęć do rzezi wojennych. Wobec możliwości rozlewu krwi ludzkiej, żadne państwo nie rządziło się nigdy tak wysokimi skrupułami moralnymi, jak polskie. Przed rozpoczęciem wojny sejm zastanawiał się niejednokrotnie w specjalnej komisji, czy jest ona nieunikniona, czy w sporze, który groził zatargiem zbrojnym, słuszność jest po stronie Polaków. Pojęcie słuszności, które w stosunkach międzynarodowych wygląda jak ton zabłąkany z innego świata, to pojęcie istniało w polityce państwa polskiego jako wartość realna. Uważano je za tak ważny czynnik życia, że wychowawca wszczepiał je młodzieży już na ławie szkolnej, razem z pierwszymi elementami kształtującymi charakter. Ustawa Komisji Edukacji Narodowej z roku 1785 nakazywała szkołom: „W nauce historii nauczyciel nigdy nie będzie nazywał polityką tj. umiejętnością rządu, ani bohaterstwem tego ci jest chytrością, zdradą, podłością, gwałtem, przemocą, najazdem i cudzego przywłaszczeniem". Takiej urzędowej instrukcji wychowawczej napróżno szukalibyśmy gdziekolwiek nie tylko wówczas, ale może i dziś. W Polsce wypływała ona logicznie z wysokiego poziomu, na który wzniosły się były już od wieków poglądy na życie.

Wobec ogólnego zmilitaryzowania się Europy i drapieżnych zabiegów innych państw wysokie to moralne stanowisko zemściło się potem strasznie na Rzeczypospolitej. Że jednak polska myśl, która wzdragała się niegdyś przed widmem kiełkującej naówczas powszechnej zbrojności – była słuszną, ze interesom kultury odpowiadała ona, a nie idee, które miały przyjść po trupie Polski i z czasem świat zamienić w koszary, o tym przekonywa ta potworna zatrata ludzi i rzeczy, jakiej Europa doczekała się na początku XX wieku.

* * * * * * *

Szerzycielka wolności

Promieniowanie swobód. Szlachta litewska przed unią i po unii. Stuletnie oddziaływanie na Moskwę. Program federacyjny Żółkiewskiego – myśl unii polsko-litewsko- moskiewskiej. Emigracja bojarów do Polski. Po utracie państwa. „Za wolność naszą i waszą". Udział w ruchu wolnościowym Europy. Uniwersalizm sprawy polskiej. Nowoczesna rola Polaków jest kontynuacja ducha dawnej Rzeczypospolitej.

W długim swym bycie dziejowym Polska, wchodząc w styczność z innymi narodami, mianowicie ze słabszymi lub niżej rozwiniętymi, niosła im nie więzy lecz ich rozkucie, nie jarzmo lecz dar wolności. Gdy w roku 1611 wojska polskie zdobyły po długim oblężeniu potężna twierdzę graniczną Smoleńsk, która była od dawna przedmiotem sporu między Polską a Moskwą, wybito w Warszawie dla upamiętnienia tego zwycięstwa medal ze znamiennym napisem: „Dum vincor liberor" – *zwyciężony otrzymuje wolność.* Istotnie, przez ponowne przyłączenie do Rzeczypospolitej stawał się Smoleńsk uczestnikiem jej szerokich swobód. Medal smoleński, to jakby symbol naszej roli dziejowej, która polegała na promieniowaniu idei wolności wszędzie dokąd dotarła polska stopa. O tej roli mówią po pierwsze warunki w jakich dochodziły do skutku związki i unie, które zawierały z nami ościenne kraje i ludy: przystąpienie miast i rycerstwa Prus, przystąpienie Inflant. Obu tym krajom przyniosła Rzeczpospolita bądź wyzwolenie spod ucisku już istniejącego, bądź zabezpieczenie przed uciskiem grożącym, a w obu wypadkach udział w wytworzonych przez siebie instytucjach, wyrosłych na bujnej glebie wolności.

Nade wszystko jednak występuje tu promieniowanie swobód polskich w stosunku do rozległych ziem Rusi i Litwy.

W chwili zbliżenia się do Polski Litwa i złączone z nią ziemie ruskie rządzone były przez najklasyczniejszy despotyzm we wszystkich warstwach swej ludności. Wieki książę był właścicielem całego państwa i wykonywał swoją władzę niczym nieograniczoną. Ulegał jej nie tylko lud prosty. Bojarzyn rusko-litewski nie mógł rozporządzać ani swą posiadłością ani nawet losem najbliższej rodziny, nie mógł poślubić swojej żony bez wiedzy swego kniazia, nie wolno mu też było opuszczać granic swego kraju: był niewolnikiem. Akt unii horodelskiej z roku 1413 mówił o bojarach wyraźnie i z całą plastyką: „jarzmo niewoli, w której do tego czasu zamotani i związani byli, z szyi ich składa się i rozwiązuje". Od pierwszego zetknięcia się z despotią litewską Polska szerzy tu wolność.

Już pod wpływem początkowych unii absolutyzm książęcy ulega ograniczeniom, które stopniowo i stale zataczają coraz szersze kręgi. Bojarzy zyskują wraz z godnością zachodniego rycerstwa wolność osobistą i majątkową, z niewolników wielkoksiążęcych stają się obywatelami posiadającymi prawa, których wola władcy nie mogła ich pozbawić. Przywilej z roku 1387 zapewnił im swobodę stosunków rodzinnych. Na podstawie tego samego aktu otrzymują na własność ziemię, posiadaną dotychczas warunkowo, z rąk księcia. Przywileje z roku 1434 i 1447 czynią ich uczestnikami niedawno przed tem przez szlachtę polską zdobytego prawa, że nie mogą być bez sądu więzieni ("Neminem captivabimus") i że majątek nie może być im zabrany inaczej, jak wyrokiem sądowym. Obok praw obywatelskich zdobywają dzięki zbliżeniu się do Polski prawa polityczne. Dotychczas samowładny wielki książę litewski nie oglądał się zgoła na ich aprobatę, gdy chodziło o zarządzenia ustawodawcze, o kwestie skarbu, o stosunki administracyjne, polityczne czy wojskowe. Nawiązanie węzłów z Polską wprowadziło tu gruntowne zmiany. W miarę jak rozwijała się i urzeczywistniała się idea unii, bojarzy uzyskują wzorem polskim udział w rządzie przez odpowiednie instytucje publiczne (sejmiki, sejmy, sądy), a wreszcie podobnie jak w Koronie, pełne republikańskie kierownictwo spraw państwowych. Te wszystkie swobody nadawane były pod wpływem wolnościowego ducha polskiego i łączyły się nawet formalnie z aktami unii, co sami Litwini wyraźnie określili słowami: „prawa wolnyja, dobryja chrestiańskija, kak w Korunie polskoj". Przeistoczenie stosunków sięgnęło tak głęboko, że nawet orientalne dotąd niewolnictwo ludu na Litwie przeszło w poddaństwo zachodnie w jego umiarkowanej polskiej postaci.

Opór przeciw Unii ze strony Litwy, tak podkreślany ze strony historyków obcych, zwłaszcza rosyjskich, był oporem garstki tylko oligarchów, którzy bali się słusznie, że po zbliżeniu i upodobnieniu się państwa litewskiego do Polski nie będą mogli utrzymać swego prawnie uprzywilejowanego stanowiska. Natomiast parła do unii całą siłą liczna rzesza bojarów, którą musiał pociągać szlachecko-demokratyczny ustrój Korony i jej to dziełem był ostateczny związek obu narodów w Lublinie. Niedługo przed sejmem lubelskim bojarstwo, zebrane w obozie pod Witebskiem, związało się w konfederację dla energiczniejszego poparcie swoich

żądań i w stanowczo zredagowanym akcie domagało się ostatecznego utrwalenia łączności z Polską, chcąc zabezpieczyć sobie tym pewniej te wszystkie urządzenia, swobody i wolności, których posiadaniem cieszyła się szlachta polska. Jakoż wolności te, wpłynąwszy raz pełną strugą do despotycznego do niedawna księstwa i podniósłszy je na wyższy poziom polski, przetrwały tam aż do końca istnienia wspólnej Rzeczypospolitej.

Misję rozkuwania więzów absolutyzmu, spełnioną tak pomyślnie na Litwie, usiłowała Polska rozciągnąć na dalszy wschód – moskiewski.

Wpływ Polski na despotyczną Moskwę rozpoczął się pod koniec XV wieku, gdy wraz z przybywającymi coraz liczniej do carstwa Polakami poczęły tam przenikać pojęcia o prawach obywatelskich i konstytucyjnym rządzie. „Zetknięcie się z Polakami – pisze Piotr książę Dołgorukow w swej „Veritė sur la Russie" (Paryż 1860) przypominało moskiewskim bojarom do jak upadlającego stanu niewolnictwa zostali doprowadzeni, będąc igraszką carskiej woli, podlegając tyranii, a nawet cielesnej chłoście. Szlachta moskiewska patrzyła z zazdrością na liczne swobody, jakich używała szlachta polska". Pierwszym skutkiem tego była próba wprowadzenia urządzeń polskich w Moskwie za Dymitra Samozwańca (1605) oraz próba bojarów ograniczenia absolutnej władzy cara Wasila Szujskiego (1606 – 1610), od którego zażądano zobowiązania się, że nie będzie samowolnie konfiskował niczyjego mienia i nie będzie skazywał na śmierć bez sądu i który też rzeczywiście wystawił przy objęciu rządów „zapis" ograniczający prawa monarsze w stosunku do życia i mienia poddanych. „Zapis" ten – zauważa Kutrzeba – "toć to odblask artykułów henrykowskich z roku 1573, toć to moskiewskie „pacta conventa" na polską modłę. Dla pewniejszego wprowadzenia swobód do Moskwy postanowili bojarzy zaprosić na tron do moskiewski Polaka, królewicza Władysława. Dumny diak tj. kanclerz Iwan Gramotin, podczas poselstwa w Krakowie zadał wyraźnie, aby przyszły władca „nadał wolności, których przed tym nie bywało w hosudarstwie moskiewskim" – wolności polskich. Utworzyło się w Moskwie stronnictwo reform wolnościowych, "stronnictwo polskie", które dąży do połączenia się z Rzeczpospolitą, a do którego należą znakomite rody bojarskie Szachowskich, Sałtykowów, Trubeckich, Mścisławskich, Massalskich, Dołgorukich, Wałujewów, Szeremietiewów i innych. To stronnictwo przeprowadziło w roku 1610 wybór Władysława, strąciwszy z tronu Szujskiego, którego zamknięto wprzód w monasterze, a potem wydano Polakom jako więźnia. Wpływ Polski na Moskwę doszedł wówczas do szczytu i wraził się w intensywnym szczepieniu w wyższych warstwach pojęć o swobodach obywatelskich i politycznych.

Wódz polski Żółkiewski, który po pobiciu wojsk cara Szujskiego pod Kłuszynem wkracza jako zwycięzca w bramy Moskwy, nie niesie tam pęt niewoli, lecz szeroko zakrojony program federacyjny: rozszerzenie unii polsko-litewskiej na państwo moskiewskie wraz ze wszystkimi wolnościami jakie posiadała Rzeczpospolita Jagiellońska. Kontynuuje on pod tym względem myśl wielkiego kanclerza Zamoyskiego, który już w roku 1585 wypracował był projekt zjednoczenia Polski i Litwy z Moskwą na zasadzie równorzędności, „iżby się nami złączyli i zuniowali w jedną Rzeczpospolitą. Była to olbrzymia koncepcja objęcia unią całego wschodu Europy. Żółkiewski rozumiejący w pełni wielkość tego zadania, pouczony tak niedawnym przykładem Litwy, która dwa wieki dojrzewała do zupełnego przyjęcia zasad wolności, w liście do kanclerza litewskiego Lwa Sapiehy pisał: „Jeśli nie zaraz tak, jakbyśmy życzyli i jako chcemy, mądrego filozofa sentencja: succesive est motus. Z waszmościami, bracią naszą, narodem W.Ks. Litewskiego wyszło 160 lat od unii króla Jagiełły, niźli do tej, jaka teraz jest, wespólności z Koroną przyszło. Pierwej mała różdżka – mówił obrazowo – z czasem bywa z niej wielkie drzewo. Z tych początków, które teraz Pan Bóg dał, mogą przyjść rzeczy do doskonałości".

Zrazu rzeczy te szły pomyślnie i zdawało się, że absolutyzm na ogromnych obszarach wielkiego księstwa moskiewskiego padnie pod wpływem polskim, jak padł na Litwie. Wzorując się na jagiellońskiej Rzeczypospolitej ustanowiła Moskwa przedstawicielstwo narodu w dwóch izbach (Duma bojarska i ziemska), bez których zgody panujący nie mógł wydawać ustaw, nakładać nowych podatków, zawierać traktatów i przymierzy, wypowiadać wojen, a

tracił również prawo karać bez sądu śmiercią i konfiskatą dóbr. Za przykładem Polski wprowadzono sądy obieralne. Pomiędzy carem a bojarami miała istnieć umowa tym razem istotnie na wzór „pactów conventów”. Jeszcze, gdy o rafę tajonych ambicji Zygmunta III o jego tępy upór i ciasnotę rozbił się plan Żółkiewskiego i po dwuletnim bezskutecznym czekaniu Moskwy na przybycie królewicza Władysława na tron wstąpił Michał I Romanow, bojarzy, korzystając z jego młodości, zniewolili go do złożenia przysięgi na rządy konstytucyjne, które weszły istotnie w życie. Lecz już w 1618, ojciec nowoobranego władcy metropolita Filaret, powróciwszy z Polski, gdzie jako jeniec przebywał i objąwszy rejencję przy boku młodocianego cara, stanął na czele reakcji, która nienawistnie i skutecznie poczęła niszczyć te pierwszą w Moskwie „konstytucję”. Szczątki jej unosiły się jeszcze długo na powierzchni moskiewskiego życia. Do Piotra I, ukazy nosiły jeszcze nadpis: „car rozkazał a bojarzy przytwierdzili”. W wieku XVIII – zapisuje A. Giller w czasie swych niedobrowolnych studiów nad Rosją („Z wygnania”) – pod działaniem myśli polskiej w państwie moskiewskim wyrobiło się nie tylko w bojarach, ale i w ludzie silne dążenie do swobód politycznych, co przejawiło się w licznych zaburzeniach i wstrząśnieniach tego stulecia w Rosji”. Aż do schyłku XVI w wszelkie próby moskiewskie ukrócenia absolutyzmu były czerpane ze źródła polskich idei politycznych, tak jak znacznie później czerpano je z ducha wielkiej rewolucji francuskiej. Piotr, tzw. „Wielki”, zdusił ostatnie ślady jagiellońskiego posiewu, zastępując je już całkowicie wzorami przenoszonymi przede wszystkim - z Niemiec. *(Równolegle z tym oddziaływaniem politycznym także kultura polska w XVII wieku szerzyła się na wschodzie moskiewskim tak, że bojarzy uczą się polskiego języka i czytają polskie książki w oryginale, poeci piszą wiersze polskie., a damy moskiewskie nawet modlą się na psałterzu Kochanowskiego*

Osobny rozdział przyciągającego działania polskich swobód przedstawiają tragiczne dzieje Nowogrodu. Pod koniec XVI wieku ludność tej starej republiki ruskiej, zagrożona przez despotyzm Moskwy, zdecydowała się szukać ocalenia w opiece Rzeczypospolitej i prosić o wcielenie do sąsiadującej Litwy, Ten samozachowawczy odruch ku połączeniu się z krajem wolności utopił Iwan Groźny we krwi Nowogrodzian wyprawiając ową słynną w dziejach straszliwą rzeź, od której zaczerwieniły się wody Ilmenu.

Urok swobód polskich w ciągu omówionego tu okresu był w pewnej części wyższych warstw społeczeństwa moskiewskiego tak silny, że od czasów Iwana Groźnego odbywała się nieustanna emigracja bojarów, którzy raz po raz przekraczali granicę polskie, aby w nich pozostać na zawsze. „Jak ptaki pod jesień – pisze prof. Wacław Sobieski w rozprawie „Król a car” – jeden bojar po drugim ucieka od mroźnych lodów północy i szuka schronienia w kraju złotej wolności, a przede wszystkim ów głośny kniaź Kurbski, który przybywszy do Krakowa w słynnym swym liście złorzeczy tyranowi i wzywa go na sprawiedliwy sąd Boga”. Gdy w pięćdziesiąt lat później ze wstąpieniem na tron pierwszego Romanowa stronnictwo reform po krótkim powodzeniu upadło pod ciosami reakcji, wielu oświeceńszych bojarów, wraz z rodzinami, znowu wynosiło się do Polski wyrzekając się nawet majątków, jak np. znakomity ród Sołtykowów, którego jedna gałąź wyemigrowała do Rzeczypospolitej i wkrótce dostarczyła nowej ojczyźnie gorących patriotów.

Idea wolności, ten główny składnik polskiej kultury politycznej, nie przestała promieniować na obce ludy i po upadku Rzeczypospolitej. Przez cały wiek XIX Polacy bądź wywołują ferment bądź spieszą z pomocą wszędzie, gdzie chodzi o obalenie despotyzmu. Walczą z nim przede wszystkim u siebie w domu, podnosząc w szeregu krwawych powstań podnosząc broń przeciw ujarzmicielom własnej ojczyzny, przyczem na prześladowców swych, działających z rozkazu rządów zaborczych patrzą z pogardą a zarazem litością, jako na urodzonych niewolników, a lepsze żywioły niejednokrotnie przeciągają na swoją stronę –przykładem liczne spolszczone urzędnicze rodziny niemieckie, które uległy czarowi idei polskiej i dostarczyły narodowi naszemu najwierniejszych synów. Sprawę własną łączą Polacy nierozdzielnie ze sprawą wolności powszechnej. W roku 1831 żołnierze rewolucji listopadowej, idąc w bój z despotyczna Moskwą, wypisują na swoich znakach najwznioślejsze hasło, jakie kiedykolwiek

pojawiło się na sztandarach wojennych, hasło „za naszą wolność i waszą”, w którym odbija się cała wielkość dziejowej duszy polskiej zdolną widzieć we wrogu nieszczęśliwego spodlonego brata i pragnącej go podnieść na ludzkie wyżyny. Świadomość łączności sprawy polskiej ze sprawą powszechnego wyzwolenia ożywia wybitnie sejm warszawski w roku 1831, gdy w manifeście swoim woła: „Prawy Polak, jeżeli ulegnie, zginie z tą w sercu pociechą,. Że jeśli własnej wolności nie dozwoliły mu uratować nieba, śmiertelną walką zasłonił przynajmniej na chwilę zagrożone europejskich ludów swobody”. Walcząc przeciw tyranom własnej ojczyzny, rozumieją Polacy, że walczą zarazem o szczęście wszystkich ludów i na odwrót, niosąc broń przeciw despotyzmowi w jakimkolwiek zakątku świata, wierzą, że biją się pośrednio o wolność Polski. Że pogląd ten był trafny, ze rzekomy romantyzm naszych ojców, polegający na popieraniu walki o wolność wszędzie, gdzie się ona toczy, był koncepcją realną i na wskroś trzeźwą, to dziś dopiero zrozumieliśmy w całej pełni, dziś, gdy wiemy, że jedynie pewną drogą do wyswobodzenia Polski i najskuteczniejszą gwarancją jej niepodległości jest przebudowa świata na takich podstawach, aby każdy naród mógł sam stanowić o swoim losie.

Przez szereg pokoleń porozbiorowych trwa u nas tradycja czynnej pomocy dla cudzej słusznej sprawy. Zapoczątkowało ją dwóch bohaterów narodowych, Kościuszko i Pułaski, którzy nie mogąc być chwilowo przydatnymi własnej ojczyźnie, wyprawiają się do Ameryki, by ofiarować jej oręż w walce o wyzwolenie. Kościuszko zdobywa tam prócz szlif generalskich tak wielką popularność, że gdy dwadzieścia lat później ponownie staje na ziemi amerykańskiej, lud w Filadelfii wyprzęga konie od powozu i wiezie go sam jako swego zbawcę. *(Kościuszko wyprzedza swojemi pojęciami wolnościowymi nawet tak wielkiego bohatera wolności jak Waszyngton, oświadczając się wraz z Jeffersonem gorąco za wyzwoleniem murzynów, czego Waszyngton jeszcze nie rozumiał).* Niezmiernie charakterystyczna jest rola Pułaskiego./ Ten ex konfederat, typowy przedstawiciel staroszlachetczyzny polskiej, nie muśnięty nawet po wierzchu przez idee wieku oświecenia (które znał i podzielał Kościuszko), uważa sprawę młodej republiki północno – amerykańskiej za tak bliską sobie, że za nią ginie.. Świadczy to dobitnie, że mógł tam widzieć odbicie przewodnich idei własnej ojczyzny, że ta „zacofana” Rzeczpospolita Polska z przed opoki 3 maja była formacją duchowo pokrewną republice Nowego Świata. Do Franklina mówił Pułaski z prostotą: „W narodzie naszym jest obrzydzenie do wszelkiej tyranii, więc gdzie tylko na kuli ziemskiej biją się o wolność, uważamy oną jakby własną sprawę. Ta nić snuje się odtąd nieprzerwanie.

Po upadku Rzeczypospolitej pojawiają się Polacy w szeregach rewolucyjnej armii francuskiej i według plastycznego wyrażenia *karola marksa* „pomagają burzyć feudalną Europę”. Legiony Dąbrowskiego walczą „za sprawę wspólną wszystkich narodów”, jak głosi pierwsza odezwa werbunkowa z Mediolanu, a legioniści noszą na czapkach z dumą napis: „Ludzie wolni są braćmi”. Ideały te żyją w sercach Polaków i wówczas, gdy pułki polskie śpieszą za chorągwiami Napoleona, roznoszącymi w strupieszałą Europę zdobycze wielkiej rewolucji.. Emigracja polityczna z Polski po roku 1831 daje potężną podnietę ruchowi „Młodej Europy”. W latach 1846 – 1848 znajdują się polscy emigranci na wszystkich barykadach i polach wszystkich bitew o wolność. Ścigani przez reakcję pogardliwym przezwiskiem „kondotierów wolności”, znienawidzeni przez rządy despotyczne, walczą jako żołnierze, oficerowie i wodzowie we Francji, we Włoszech, na Węgrzech, w Niemczech, w Austrii. Polak Mierosławski dowodzi powstaniem niemieckim w Badenii i włoskim na Sycylii. Generał Chrzanowski działa w północnych Włoszech na czele armii sardyńskiej. Do Mediolanu z utworzoną przez siebie legią polską ściąga Adam Mickiewicz, proklamując walkę o wolność wszystkich ludów i wypisując na sztandarze hasło rozszerzenia chrześcijaństwa z dziedziny życia jednostkowego na stosunki międzynarodowe. Wśród „tysiąca” garibaldczyków są również Polacy. Śpiewano wówczas we Włoszech pieśń zaczynająca się słowami: „La libera Italia, hec tato dece a vol., braci Polacchi!” – pieśń dziękczynną za krew naszą, przelaną dla wyjarzmienia Włoch. W Wiedniu rewolucję 1848 roku organizuje wojskowo Polak pułkownik Bem, a polski mąż stanu Smolka kieruje obradom, pierwszego parlamentu au-

striackiego. Do powstania na Węgrzech zaciągają się tysiące Polaków: generał Dębiński jest dwukroć wodzem naczelnym wojsk węgierskich, generał Wysocki dowodzi osobnym polskim legionem, generał Bem okrywa się nieśmiertelną sławą jako niezwyciężony partyzant w Siedmiogrodzie. W roku 1863 na Ukrainie powstańcy polscy, prawie wyłącznie z kół szlachty, ogłosili tzw. „złotą hramotę", przyznająca chłopom ruskim wolność i uwłaszczenie, chociaż to było wbrew interesom klasowym tamtejszego polskiego ziemiaństwa. To samo uczyniono na Litwie.

Jak niegdyś byli przedmurzem dla barbarzyństwa wschodniego, tak po upadku stali się Polacy szermierzami powszechnej wolności. Ich krwią okupione zostały w znacznej części te prawa, które są dziś udziałem konstytucyjnie rządzonych i wyzwolonych narodów Europy.

Ideał polityczny, który reprezentowała Polska ujarzmiona i Polska w rozsypce emigracyjnej, sprawił, że zwłaszcza około połowy XIX wieku nabrała kwestia polska charakteru uniwersalnego. „Młoda Europa" widziała w jej rozwiązaniu warunek powszechnego zwycięstwa wolności. Odczuł to zwłaszcza żywo geniusz narodu francuskiego, który od 1831 roku, przez trzy dziesięciolecia w literaturze, w parlamencie, w demonstracjach ulicznych Paryża parł do wojny o Polskę. Historyk francuski Henryk Martin (La Russie et l`Europe" 1866) uważa, że we Francji sprawa nasza była znacznie popularniejsza od włoskiej, która przecież budziła tyle entuzjazmu. Świadomość ścisłego związku między wyzwoleniem Polski a obaleniem reakcji wystąpiła dobitnie wśród najwybitniejszych umysłów Rosji, z których np. Aleksander Hercen przewidział trafnie; „Upadek sprawy polskiej niezawodnie zatrzyma naszą rosyjską". Zatrzymał ją, gdyż zgniecenie polskiego powstania stało się punktem wyjścia do pogrzebania reform liberalnych Aleksandra II i wznowieniem ery najczarniejszej reakcji na obszarze połowy Europy, od Wisły po Ural.. Powszechny prąd popularności sprawy polskiej, jako jednoznacznej z ogólnoeuropejską sprawą ludów, porwał także Niemców. Szczątki pobitej armii naszej z 1831 roku, wychodzące z kraju i dążące na Zachód, były w przechodzie przez kraje niemieckie przedmiotem powszechnego uwielbienia społeczeństwa (równocześnie rząd pruski chwytał polskich żołnierzy i wydawał ich Moskwie).W roku 1848 rozegrała się w Berlinie pamiętna do dziś scena, gdy Polaków uwolnionych z więzienia tłum poniósł na rękach przed zamek królewski i domagał się dla nich natarczywie pokłonu, który też – nastąpił. Niemcy ówcześni, ogarnięci dążeniami wolnościowymi, dawali wyraz przekonaniu, że bez wyzwolenia Polski nie ma wolnej Europy. „Wolna Polska – pisał historyk Karol Hagen – dałaby możność ugruntowania się wolności politycznej w krajach, których ludy podniosły już rokosz, stałaby się nowym bodźcem dla narodów ujarzmionych i umożliwiłaby ruch wolnościowy nawet tam, gdzie dotychczas go nie było. W Polsce musi rozstrzygnąć się sprawa wolności". (Limanowski – „Udział Polaków w walkach wolnościowych"). W owym to czasie liczni poeci niemieccy jak Lenau, Hebbel, Korner, Anastazy, Grun, Holtei, Kinkel, Platten, Uhland, Chamisso, Horwegh, Moser (autor popularnej i u nas pieśni „Tysiąc walecznych") i inni tworzyli natchnione hymny na cześć Polski wojującej z despotyzmem („Polenlieder"). „Dein Krieg – es ist ein heiliger Krieg, dein Sieg- es ist ein Volkersieg" – wojna twoja jest świętą wojną, zwycięstwo twoje jest zwycięstwem ludów" – wołał do Polski poeta niemiecki Ernest Ortlepp. W utworach tych biały orzeł uwikłany w śmiertelny bój z orłem czarnym był przedstawiany często jako symbol walki o wolność. „Cywilizacja europejska i walka o wolność według powszechnego przekonania ówczesnego, walczyły pod sztandarem białego orła" - stwierdził w wiele lat później nienawistny nam historyk niemiecki Treitschke („Deutsche Geschichte im XIX J").

Ludy Europy w okresie swego najwyższego wzniesienia się moralnego chylą głowę przed duchową siłą wywłaszczonego i prześladowanego narodu, równocześnie zaś w świadomości polskiej pod wpływem zadawanych przez wroga katuszy powstaje na chwilę, jako odruch obronny, jako źródło dalszego wytrwania, że Polska jest „Chrystusem narodów", że jak ON cierpi dlatego, aby zbawić ludzkość. Emanacją tego nastroju mesjanistycznego jest wspaniała w potędze swego natchnienia poezja trzech wieszczów narodowych, powstała w owym czasie na emigracji.

Cała ta nowoczesna rola Polaków, nie tylko buntowniczo przeciwstawiających się władzy nieprawej u siebie, lecz także rozniecających żądzę wolności i walczących o wolność na całym świecie, tkwiła głęboko w czasach ubiegłych. Była ona wynikiem wychowania się narodu naszego przez długie wieki w zasadzie kardynalnej, iż nie masz bytu godnego człowieczeństwa bez możliwości swobodnego o sobie stanowienia. Wśród przelewania krwi polskiej na wszystkich barykadach od Wisły po Tybr, była przejawem tej samej siły wewnętrznej, co niegdyś w świetnym pochodzie, łamiąc despotyzmy sąsiednie, z konstytucyjną kartą swobód posuwała się na Litwę i Ruś ku Moskwie. Była logicznym wypływem i kontynuacją ducha starej Rzeczypospolitej, który przed pięciuset laty zdołał już był wytworzyć na wschodzie Europy organizm polityczny, oparty na wielkiej idei władztwa narodu, idei urzeczywistnionej przez nas wówczas w granicach, jakie zakreślały pojęcia epoki, a w ciągu ostatniego stulecia coraz wyraźniej kształtującej dzieje ludzkości.

* * * * * * *

Typ bohaterski

Polski probierz bohaterstwa. Wielkość typu Dżingischana. Żółkiewski, Kościuszko, Traugutt. Zgodność ideału z życiem. Nieuznawanie przemocy. Walka o „królestwo boże". Wielki mąż w pojęciu Mickiewicza.

„Gdybym w jednym zdaniu miał określić charakter i cywilizacyjne stanowisko narodu, zapytałbym co uważane bywa w nim za WIELKOŚĆ, co uchodzi za bohaterstwo narodowe", mówi F. Koneczny w swej monografii o Kościuszce. I stwierdza: „W Polsce ażeby być wielkim, trzeba mieć przede wszystkim wielki charakter, wielkie serce, wspaniałość duszy. Nam nieznana wielkość zbrodnicza, u nas nie dochodzi się do szczytu historycznego uznania ze splamionym sumieniem. Przez całych tysiąc lat pochodu dziejowego nie przyznaliśmy ani razu piętna wielkości nikomu, kto nie celował cnotą, czystością intencji, ofiarnością i poświęceniem. Słowem: tylko szlachetni mogą w Polsce być wielkimi".

„Wielkość" np. moskiewskiego cara Piotra brzmi w uszach polskich nie tylko z przyczyn, które nas bezpośrednio dotykają, ale z ludzkiego punktu widzenia, jak epitet szyderstwa. Genialny przedstawiciel despotyzmu, ani genialny oszust, ani genialny zaborca, ani w ogóle gwałciciel czyichkolwiek praw, nie mogą w umyśle polskim wywołać skojarzenia z wielkością. Dla nas są on i tylko odmianami Dżingischana, który był przecież także potężna indywidualnością, był nie tylko niepospolitym wodzem, ale także znakomitym organizatorem olbrzymiego państwa i olbrzymich mas ludzkich, lecz z powodu braku ideału moralnego skwalifikowany został przez instynkt zbiorowy, nie jako bohater, lecz jako wódz wzorowo zorganizowanej bandy. Polska nowoczesna miała wielu znakomitych i świetnych wodzów – obywateli. Takimi byli: Zamoyski, Tarnowski, Chodkiewicz, Koniecpolski. Takim był surowy Czarniecki, który powstał z tego „co boli". Takim był najpopularniejszy z królów naszych Sobieski. Taki książę Józef Poniatowski, piastun wojskowego honoru Polski. Takim Henryk Dąbrowski, twórca Legionów. Lecz pojęcie bohaterstwa w najwyższym przedstawicielskim znaczeniu tego wyrazu przylgnęło w pamięci narodu do tych, którzy – zwycięzcy czy zwyciężeni – stali się przez swe czyny wykładnikami najistotniejszej treści ducha narodowego.

Tej miary dosięgnął hetman Stanisław Żółkiewski, który wzniósł się na widownie jako bohater – wyraziciel duszy swego plemienia.

„Hektor polski", największa postać naszej historii w okresie szczytowego rozwoju Rzeczypospolitej, jest Żółkiewski nieprześcignionym w doskonałości wzorem człowieka, obywatela i rycerza. Jego wszystkim wyprawom wojennym towarzyszy wielka i z etycznego punktu widzenia wzniosła myśl dziejowa. Przez Kłuszyn dąży do złamania despotyzmu moskiewskiego i do rozszerzenia unii wolnych narodów na wschód. Przez błonia cecorskie – dla zasłonięcia kultury chrześcijańskiej przed niszczącą i bezpłodną siłą otomańską. Wojskom swym, przy całym zachowaniu dyscypliny, przyznaje cenne prawo, że mają wiedzieć za co się biją; gotów jest przed bitwą – jak na polach guzowskich – przemówić do nich o słuszności bronionej sprawy. Twardy wojownik wzdryga się przed okrucieństwem i słabych zasłania przed krzywdą. Gdy tłumi niepokoje kozackie, równocześnie grozi kniaziowi Rożyńskiemu, że jeśli nie zaniecha pomsty na pospólstwie, naj-

pierw przeciw niemu wyruszy w pole. Przez sześć tygodni rządzi w Moskwie, żegnany na odejściu nie jak wróg, lecz jak przyjaciel: „wszystka czerń – stwierdza pamiętnikarz – po ulicach zabiegała mu drogę, błogosławią”. Odbywa wspaniały wjazd triumfalny do Warszawy, wiodąc znakomitych jeńców, jakich w tym składzie żaden naród u siebie nie oglądał, bo cara Wasila Szujskiego i brata jego Dymitra pokonanego wodza naczelnego i drugiego brata Iwana i Fiodora Romanowa, już wkrótce założyciela nowej dynastii. Wśród tych powodzeń, okryty nieśmiertelną chwałą, o czym myśli Żółkiewski? „Życzę sobie – marzy – śmierci słodkiej dla wiary świętej, dla ojczyzny, ale nie wiem, jeślim tej łaski od Pana Boga godzien”, a w testamencie nakazuje niebawem: „Jeślibym w potrzebie umarł, miasto aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumna przykryta będzie szkarłatem” na znak radości. Nie ma w nim interesu osobistego, ani śladu prywaty, ani cienia niskiej ambicji. Nie umie się płaszczyć, o nic nie prosi, z triumfów się nie przechwala, o nagrody nie dba. W bezgranicznym zapomnieniu o sobie wszystko dokoła mierzy miarą pospolitego dobra. Pod Cecorą ginie jak olbrzym. ”Jeśli zostaniem zwyciężeni – mówi - nie między jeńcami, jeno między poległymi mnie szukajcie”. Jest w godzinie śmierci tak wielki i wspaniały, jak był przez cały swój dlugi żywot.
Na zwrotnym punkcie swych dziejow, między upadkiem państwowym a rozpoczynającą się epoką niewoli, wydaje Polska drugi równej doskonałości typ bohaterski w Kościuszce.
Kościuszko uważa swą władzę dyktatorską za „narzędzie do skutecznej obrony ojczyzny”. Nie żywi żadnych samolubnych widoków i zgodnie z tym powołuje do steru ludzi bezwzględnie czystych i bezinteresownych, którzy, jak wyraża się, „dochowali nieskażonej cnoty w życiu prywatnym i publicznym”. Zawodowo wyszkolony wódz, jest w zasadzie przeciwnikiem zarówno wojen, jak stałego utrzymywania wielkich armii; skłania się raczej ku powszechnemu wyćwiczeniu wojskowemu narodu. Bitność żołnierza opiera nie tylko na tresurze, ale i na sile moralnej. W uniwersale połanieckim nawołuje: „Naprzeciw kupie niewolników postawmy masę potężna swobodnych mieszkańców”. Rzemiosło wojskowe rozumie tylko w służbie idei godnej ofiar. Przelewając krew, czyni to, aby wyplenić „ ród rozbójników”. Dlatego nienawidzi nawet Napoleona, jako uzurpatora, który prowadził narody na rzeź dla osobistego wyniesienia się. Dlatego do końca życia przechowywał w czci swój ideał młodości, Tymoleona z Koryntu, który strącał tyranów, lecz nigdy nie skorzystał z tego, by zająć ich miejsce. Dlatego tak bliskim był duchowi młodej wyswobodzonej Ameryki. Kościuszko truchlał na myśl, że w Polakach mogłaby kiedykolwiek zrodzić się „czołgająca dusza”. Jako zwycięzca, po odparciu Prusaków spod Warszawy, nie pozwala na łuki triumfalne i protestuje przeciw kultowi swej osoby. „Ludzie – upomina – powinni pamiętać zawsze o swej godności człowieczej”. Szanuje tą godność także w nieprzyjacielu, okazując słynną wspaniałomyślność dla pokonanych. Wielkie jego serce ogarnia nie tylko własny naród. Każdy czyn Kościuszki wytryska z pragnienia szczęścia dla wszystkich, z dążenia do zniesienia wszelkiego ucisku i ugruntowania braterstwa ludów. Za ten ideał walczy na drugiej półkuli ziemi. Pisma francuskie z końca XVIII wieku nazywały go „Une áme toujours occupée de grandes idées”. Nieśmiertelny Jefferson świadczył o nim: „Jest to najczystszy syn wolności z pomiędzy wszystkich, jakich znałem kiedykolwiek”.
W ostatniej porozbiorowej epoce naszych dziejów, skończenie doskonały typ polskiego bohaterstwa wystąpił w osobie Romualda Traugutta dyktatora z roku 1863.
Gdy powstanie styczniowe już kona, Traugutt bierze na siebie obowiązek utrzymania go przez jesień i zimę r. 1863 – 1864 do chwili oczekiwanej interwencji Europy. Wszystko dokoła wali się w gruzy. On tropiony ustawicznie, niepewny każdej godziny, ze swego ukrycia warszawskiego skupiając w swym ręku nici ruchu, prowadzi przez pół roku bezprzykładny w historii bój z wielkim mocarstwem, podtrzymuje nadludzkim wysiłkiem żywotność sprawy i stwarza pozory wojny, w której nie brak nawet zwycięstw. Zawdzięcza to niesłychanej sile moralnej, czerpanej z przeświadczenia, że służy wielkiej idei. W instrukcjach do wojska rozwija poglądy na to, jakim powinien być żołnierz polski.. Obok karności, której umiał sam tak znakomicie przestrzegać w obozie domaga się od dowódców „usiłowań do umoralnienie siły zbrojnej”. „Żołnierz polski – mówi w jednej z

takich instrukcji – powinien być prawdziwym żołnierzem Chrystusa", „czystość obyczajów i nieskalaną cnotę ma wszędzie roznosić". „Rząd narodowy – mówi jeszcze – patrzy na wojsko nie tylko jako na obrońców kraju, ale zarazem jako na stróżów i wykonawców prawa"". Do ostatniej chwili, gdy za progiem czyhają już oprawcy carscy, trwa na stanowisku i z niezachwianym spokojem spełnia swą wielką i tragiczną rolę. Na koniec jest już tylko piastunem czci narodu. Już tylko ma wzniośle umrzeć. I idzie naprzeciw śmierci męczeńskiej z tym samym napięciem silnej woli, z jakim przez długie miesiące odpowiadał czynami na hasło Francji: „Durez!". Tracony z całym aparatem straszliwej okazałości, z którego Moskwa pragnęła uczynić symbol swego triumfu nad jeszcze jednym pokonanym ciałem Polski, z głową wzniesioną w górę, przekroczył próg wieczności. Urzędowy historyk rosyjski i świadek naoczny Berg mówi: „Zanim rozstał się ze światem, już całe jego jestestwo należało do nieziemskich krain".

W Żółkiewskim, Kościuszce, Traugucie znajdziemy z łatwością te same, pomimo przedziału wieków bliskie sobie skoncentrowane rysy polskiego bohaterstwa. W bardziej zasadniczej postaci można je uogólnić jako wyznawanie wysokiego ideału moralnego i zespolenie go bezwzględnie z życiem. Wiek XIX, który stał się dla nas okrutnym, wielkim probierzem tego uzgodnienia życia i ideału, wydał w narodzie naszym szczególnie krwawy urodzaj dusz bohaterskich z ich niczym nieugiętą, przez żadne katusze niezachwianą niezłomnością trwania przy tym, co poczytujemy za główny warunek bytu, godnego człowieka.

Jeden z twórców Nocy Listopadowej, Piotr Wysocki, po trzechletnim więzieniu i skazaniu na śmierć, namawiany by prosił o ułaskawienie, kazał sobie do celi przynieść pióro i papier i napisał te wspaniałe i dumne słowa: "Nie dlatego broń podnosił, ażebym prosił cesarza o łaskę, ale dlatego, aby jej mój naród nigdy nie potrzebował". Jak refren powtarzają się te słowa z pokolenia na pokolenie: „Co do mnie – woła Rufin Piotrowski -, jeden z pierwszych Polaków wywiezionych na Sybir - wyznam, że nad wszystkie kary najokropniejszą wydawałaby mi się łaska cara".. „Jutro – powtarza w sto lat potem w przeddzień stracenia na szubienicy Józef Toczyński, członek rządu powstańczego – jutro niczego tak się nie lękam, jak carskiej łaski". Uczestnik spisku a roku 1824 major Łukasinski przeżył 37 lat w straszliwej twierdzy szliselburskiej, w której współczesny mu rewolucjonista rosyjski Bakunin po trzech tylko latach był bliski obłędu i samobójstwa. Kiedy w roku 1831 komendant Szliselburga podjął zabiegi, aby ulżyć bezprzykładnej męce polskiego bohatera, Łukasiński w liście do niego zastrzega: „Bez żadnych próśb z mojej strony". Roman Sanguszko przez udział w postaniu 1831 roku postawił na kartę olbrzymią fortunę rodową; gdy po zapadłym wyroku, skazującym go na 10 lat batalionów karnych, podsunięto mu, by prosił o łaskę i w jakimkolwiek sposób usprawiedliwił przyczyny, które popchnęły go do walki, oświadczył krótko; „Z przekonania!".

Obok tej cechy zasadniczej, obok niezłomnej zgody ideału i życia, przewijają się przez polski typ bohaterski dwa dalsze zasadnicze rysy, które tkwią poprzez wszystkie epoki w historycznie wytworzonej duszy narodu, ale zyskują szczególnie jaskrawy wyraz również w ostatniej, tragicznej dobie naszych dziejów. Oto członek rządu narodowego z roku 1863 Rafał Krajewski w przeddzień śmierci śle z więzienia „miłość i pożegnanie całemu światu", modli się o „przyjście na ziemię królestwa bożego". Oto drugi członek tegoż rządu, Roman Żulinski, katowany w śledztwie rzuca swym oprawcom: „Możecie mnie tylko bić, ale nie możecie mnie sądzić, gdyż ja was nie uznaję". W tych bezgranicznie wielkich wynurzeniach, wypowiedzianych w uroczystych chwilach zamknięcia spraw doczesnych, mieści się pozytywna treść polskiego bohaterstwa: nieuznawanie przemocy, walka o królestwo boże – o wolność.

Adam Mickiewicz, tworząc w III części „Dziadów" wizję wielkiego męża, wyśnionego zbawcę i wskrzesiciela narodu, wyobraził go sobie jako niosącego wyzwolenie nie samej tylko Polsce, nie tylu a tylu kilometrom kwadratowym obszaru Europy, lecz wszystkim ujarzmionym i cierpiącym i zgodnie z tym skoncentrował jego rysy duchowe w okrzyku: „ **To namiestnik Wolności na ziemi widomy**!". Ten okrzyk, wydobyty z głębi duszy plemiennej, zawarł w sobie całą szeroką skalę polskiego pojmowania wielkości.

* * * * * * * *

Wyprzedzenie Europy

Linia prosta polskiego rozwoju politycznego. Absolutyzm w Europie i prawa obywatelskie w Polsce. Pojęcie ojczyzny. Ustawa 3 maja. Jej idee wyprzedzające chwile dzisiejszą. Ograniczenie przywilejów szlacheckich przez samą szlachtę. Rewizje konstytucji. Federacja narodów. Swoboda sumienia. Reformy bez rozlewu krwi. Wyższość moralna.

Polska zrealizowała maksimum wolności i swobód politycznych, jakie dały się osiągnąć w granicach ówczesnych możliwości historycznych, a zarazem wyprzedziła w rozwoju swym pod bardzo wielu względami o całe pokolenia, nieraz o całe stulecia, współczesny sobie kontynent europejski. To co inne narody zrobiły dopiero w XIX stuleciu, lub do czego jeszcze dotychczas dążą, w Rzeczypospolitej Polskiej niejednokrotnie od wieków było już wprowadzone i prawnie ubezpieczone.

Znacznie naprzód przed resztą kontynentu poszła Polska w rozwoju prawno – politycznym. Nie ma w dziejach jej owego ponurego ogniwa, spajającego epokę średniowiecza z nowoczesnym państwem praworządnym, ogniwa jakie tworzył gdzie indziej absolutyzm „oświecony" i policyjny. Przejście od dawnych do nowszych form ustrojowych odbyło się w Polsce w o wiele krótszym okresie czasu, niż w reszcie Europy; w dziesięcioleciach, gdy Europa potrzebowała na to stuleci. Prof. St. Kutrzeba stwierdza, że rozwój polski był pod tym względem logiczniejszy niż Zachodu. Poszedł on w kierunku coraz dalszego wykształcenia przewagi czynnika społecznego, który w wiekach średnich stopniowo i tak skutecznie dobijał się do władzy. Zgniecenie go na korzyść książąt, które dokonał się na Zachodzie, było niejako załamaniem się linii rozwoju, odgięciem jej w inną stronę, niż biegła poprzednio, w przeciwieństwie do linii polskiej – prostej. Gdy Europa wchodzi ostatecznie w okres niewolniczego uzależnienia społeczeństw od woli nieodpowiedzialnej jednostki, w tym samym czasie Polska coraz bardziej wykształca u siebie instytucje gwarantujące prawa i swobody obywateli, wtedy tworzy ona sejm walny, który ujmuje w swoje ręce cała władzę prawodawczą i właściwy kierunek spraw państwa. Drogą odrębna i własną, nie przez potworną fazę absolutyzmu, lecz przez zachowanie i kontynuację tych form przedstawicielskich i samorządnych, jakie rozwinęły były wieki średnie, szła Polska do ideału państwa nowożytnego i zbliżyła się do niego szybciej niż inne narody kontynentu. Około polowy XVIII w., gdy Rzeczpospolita domagała się pod wielu względami naprawy i gdy Polak Wilhorski zwrócił się do Jana Jakuba Rousseau z zapytaniem jak należałoby ją zreformować, wielki mędrzec odpowiedział traktatem „Uwagi o rządzie polskim", w którym doszedł do wniosku, że zasady ustroju Rzeczypospolitej są na ogół doskonałe i nie wahał się postawić spaczonej już wówczas konstytucji polskiej wyżej, niż angielska („vaut mieux que celle de la Grande Bretagne").

Historyk niemiecki Karol von Rotteck z Fryburga w swym wielkim dziele „Allgemeine Geschichte" pisze o „oświeconym absolutyźmie" europejskim: „W owym czasie umiejętność była służebniczką despotyzmu. Naród wszędzie, wyjąwszy mała liczbę republik, był uważany za trzodę bydła i takim był rzeczywiście w krajach, gdzie słowo monarsze było wszystkim, a nic innego nie miało na celu, tylko interes i nieograniczoną chciwość panujących rodzin. O ileż naprzód znajduje się współczesna temu stanowi Polska.

Swoboda osobista i bezpieczeństwo jednostki wobec wszelkiej samowoli ze strony państwa są zagwarantowane licznymi ustawami. Pod tym względem wyprzedza Polska poniekąd nawet klasyczny kraj wolności osobistej, Anglię gdyż prawo „Neminem captivabimus roku 1430, orzekające, iż nikt nie może być więziony bez poprzedniego przekonania o winie, ustanowiła na dwa i pół wieku przed słynnym aktem angielskim. „Habeas corpus" z roku 1679. (*W Anglii zasada nietykalności znana została w roku 1215 artykułem 39 Wielkiej Karty Swobód, ale nie przyjęła się dostatecznie w życiu, wobec czego w roku 1679 musiano wydać specjalną ustawę, identyczną z naszym wcześniejszym i zawsze przestrzeganym „Neminem captivabimus". Wolność osobista zagwarantowana została również bardzo wcześnie na Węgrzech („Złota bulla") i w dalekiej Aragonii. Tam przetrwała ona stosunkowo krótko – u nas blisko cztery stulecia, aż do upadku Rzplitej. Poza*

tym cała Europa czekała na to elementarne prawo obywatelskie do czasów najnowszych). Sądownictwo polskie zna zasadę jawności rozprawy ustnej, oskarżenia i obrony, których prócz Anglii nie było nigdzie.

Kompetencje sejmu polskiego, który jest wyrazem, zbiorowej woli narodu, są tak szerokie, że pod niejednym względem pozostały czymś niedoścignionym dla wielu współczesnych nam parlamentów. Gdy gdzie indziej sprawa tak ogromnej wagi i tak brzemienna w skutki, jak postawienie kraju w stan wojenny, znajdowała się, a niejednokrotnie znajduje się dotąd, poza wszelką kontrolą ogółu i od skinienia jednostki zawisłe było życie lub śmierć setek tysięcy ludzi - u nas możliwości takiej przed czterema wiekami już postawiono skuteczna tamę, przekazując sejmom decyzję o wojnie i pokoju. „Zasadę dziś podnoszoną – mówi prof. St. Kutrzeba, by całe społeczeństwo przez legalne przedstawicielstwo swe mogło wyrazić zgodę na to, że wojny chce, tę zasadę państwo polskie najwcześniej z państw europejskich sformułowało i najdłużej ją w całej konsekwencji przeprowadziło, trzymając się jej i w tych czasach, gdy państwa absolutne Europy stworzyły już były potężne armie, rzucające się w bój na każde władcy skinienie". Ten sam znakomity badacz konstatuje, że za Zygmunta Augusta sejm nasz „zaczynał przybierać cechy prawie nowożytnego parlamentaryzmu", lecz późniejszy rozwój spaczył ten kierunek („Historia Ustroju Polski").

Republikańska w istocie swej forma rządów zapewnia narodowi możność obierania sobie głowy państwa i do koronowanej tej prezydentury otwiera drogę każdemu z obywateli. Kardynalne urządzenia Rzeczypospolitej, ustawa „Nihil novi", „Pacta coventa", artykuł „De non praestanda oboedientia", są wcieleniem nowoczesnej zasady, że król istnieje dla narodu, a nie na odwrót, co Kołataj określił lotnym powiedzeniem: „Wielka różnica rzec – król ma państwo, a – państwo ma króla". Dobitnie i z całą świadomością stwierdził ów wyższy porządek ustrojowy w Rzeczypospolitej szlachcic polski XVI stulecia mówiąc do cudzoziemca: „Tobie się pan rodził, mnie się nie rodził, tego ty pana masz, któregoś mieć musiał, ja, Polak, tego króla mam, któregom mieć chciał! Nie masz ty żadnej obrony przeciwko zwierzchności książęcia swego, a ja mam obronę przeciwko królowi swemu. Ty w jarzmie jako wół chodzisz, albo jako zniewolona munsztunkiem szkapa pana przyrodzonego na grzbiecie swoim nosisz, a ja, Polak, jako orzeł bez pętlic na swej przyrodzonej pod królem swym bujam swobodzie!". Tak przemawiał do Litwy jeszcze przed unią roku 1569 Stanisław Orzechoweski, „a mógł był zaiste – dodaje współczesny historyk J.K.Kochanowski („Nad Renem i nad Wisłą") – w imieniu Polski szlacheckiej przemawiać tak samo i do całego Zachodu". Wypowiedziana w roku 1830 przez Thiersa słynna zasada „Le roi regne et ne gounerne pas", którą chlubi się nauka polityczna naszych czasów, była już w 1607 roku przedstawiona przez polityków polskich, którzy określili ja na dwa stulecia przed Thiersem niemal identycznymi słowy: „Regna, sed non impera!" – tj. „panuj, ale nie rządź!". Zapisać tu należy także dokonany wcześnie w Polsce rozdział osobistych dochodów króla od dochodów skarbu publicznego. Gdy wszędzie dochody państwa były dochodami monarchy, u nas już sejm roku 1505 wprowadził osobne uposażenie panującego, co ostatecznie utrwaliło się za Zygmuntów. *(Charakterystyczne jest, że jeszcze emigracja nasza po roku 1831, ogarnięta wszak nowoczesnymi prądami Zachodu, miała pełną świadomość tej wielkiej twórczości politycznej polskiej XV, XVI, XVII w., która niejednokrotnie szła przed resztą Europy. W „Adresie 2000 Polaków we Francji będących do izby niższej angielskiej" z roku 1832 czytamy: „Przez ciąg swego istnienia Polska przed innymi posiadała swobody: wolność wyznań, wolność druku, zabezpieczoną własność i wolność osobistą, a instytucje swoje rozwinęła na władzy ludu (mowa, rozumie się o demokraci szlacheckiej). Nie znała wojsk stojących, nie dozwoliła królom mocy nakładania podatków, uświęciła prawo oporu przeciw przywłaszczeniu". Także Szujski, współtwórca historycznej szkoły krakowskiej, jeszcze w roku 1868 wiedział, ze byłoby samobójstwem i wyparciem się samego siebie,* ***gdyby naród nasz stracił szacunek, miłość i ufność ku zasadom, które go niegdyś wielkim czyniły i którymi wyprzedzał Europę").***

Z tymi pojęciami i instytucjami dawna Polska jest o całą otchłań czasu naprzód w stosunku do współczesnego sobie Zachodu, gdzie niejedno-

krotnie, jak mówi Rotteck, „naród uważany był za trzodę bydła, a słowo monarsze było wszystkim”, gdzie król (Ludwik XIV) z biczem w ręku wchodził na zebranie notablów i sam jeden państwem się ogłaszał. Wskutek udziału znacznej części ludności w sprawach publicznych oraz jej odpowiedzialności za te sprawy wytworzyło się też w Polsce niezwykle wcześnie, bo już za Zygmuntów, pojęcie ojczyzny, gdy w reszcie Europy długo jeszcze nie umiano wyjść poza pojęcia państwa. (*Historyk niemiecki Jakub Caro („Geschichte Polens”) stwierdza, że żaden kraj w Europie tak wcześnie, z taką siłą wewnętrzną, nie nadał wagi zasadzie narodowości, jak Polska, wbrew kosmopolitycznemu duchowi średniowiecza”. Warto przypomnieć, że w literaturze po raz pierwszy sprecyzował samodzielną istność narodu w stosunku do państwa nasz Brodziński, mówiąc: „Bóg chciał mieć narody, jak ludzi indywidualnymi” („O narodowości Polaków” Warszawa 1831).* Kto ojczyźnie swojej służy, sam sobie służy – wołał Skarga – bo w niej jego wszystko się dobre zamyka”. Kiedy u nas dawno służono „ojczyźnie”, tam ciągle jeszcze służono „panu”. („Es ist für einen Edelmann kein grösseres Glück, ale einen Fürsten, den er ehrt, zu dienen...” mówi bohater Szillera). Na podstawie tych wszystkich faktów możemy skonstatować, że już w Polsce sprzed Wielkiego Sejmu byliśmy narodem, wytrzymującym nowoczesne kryterium, które stwierdza: „Plemię żyjące w obroży narzuconych mu siłą praw, posłuszne im bezmyślnie jakby jakiejś żywiołowej konieczności, nie jest jeszcze właściwie społeczeństwem – jest mającym pasterzy i psy stadem. Społeczeństwem w prawdziwym tego słowa znaczeniu zaczyna stawać się dopiero wówczas, gdy przynajmniej jego pewna część uświadomi sobie swoje prawa człowieka i gdy sobie wywalczy ich uznanie” („Nacjonalizm jako zagadnienie etyczne” Kraków 1917 bezimiennie).

Ze swobód skrystalizowanych już w XVI wieku, a ciągnących się przez cały wiek XVII i XVIII, korzystała przecież jedna, chociaż milion głów licząca warstwa ludności. Ale pod koniec XVIII w wyprzedzając znowu większość Europy, Polska podejmuje i przeprowadza wielką reformę polityczną, reformę, która pozostawiając – wbrew popularnemu mniemaniu – nietkniętymi kamienie węgielne odwiecznej budowy, oparta zasadniczo na podstawach ustroju dotychczasowego, owszem, potwierdzając te podstawy na przyszłość, kładzie kres wyłącznemu użytkowaniu praw obywatelskich przez szlachtę i rozciąga je na dalsze warstwy narodu, a zarazem dostosowuje wolnościowe instytucje państwa polskiego do pojęć i potrzeb nowoczesnych.

Reforma ta to wiekopomna Konstytucja 3. maja 1791 roku.

Pomimo kompromisu, jaki Polska ówczesna zawierała z ideą monarchizmu, wprowadzając po czterystu latach znowu tron dziedziczny, ustawa 3 maja, wierna duchowi polskich tradycji, zachowała w swych najważniejszych zarysach w całej pełni zasadę władztwa narodu, która wykształciła się była i nas wybitnie w ciągu ubiegłych stuleci. Tę kardynalną zasadę, na której odnowiona Rzeczpospolita miała się i w dalszym ciągu opierać, wyrazili twórcy konstytucji uroczyście słowami analogicznymi do deklaracji północno - amerykańskiej z roku 1776 i deklaracji francuskiej z roku 1789, a zawierającymi myśl odwiecznie polską: „Wszelka władza społeczności ludzkiej początek swój bierze z woli Narodu”.

Zgodnie z tym mówi ustawa majowa najpierw o sejmie, dopiero potem o panującym i o władzy wykonawczej. Izba poselska, „świątynia prawodawstwa”, jest wyobrażeniem wszechwładztwa narodowego”. Jest wraz z senatem jedyną kuźnią praw obowiązujących naród. Konstytucja zapewniała tu wprawdzie i nadal stanowi szlacheckim, „prerogatywy pierwszeństwa” – należy jednak pamiętać, że w tym samym czasie i parlament angielski posiadał jeszcze jednostronny charakter oligarchiczno – szlachecki, i że dopiero późno w wieku XIX, reforma z roku 1832, otworzyła drzwi przed nowoczesnymi ideami demokratycznymi, pochodzącymi z Francji. Unowożytnienie organizacji sejmu polskiego polegało na zniesieniu jednomyślności i fatalnego „liberum veto” a wprowadzeniu głosowania większością głosów, na zniesieniu związków konfederackich, na skasowaniu ”instrukcji” dawanych przez sejmiki posłom, którzy już odtąd prawnie ”uważani być mają jako reprezentanci całego narodu”, nie poszczególnych województw. Projekty do ustaw, jak dotychczas, wychodzą od tronu, lecz także i z łona izby. Ustawy stają się prawomoc-

nymi z chwilą uchwalenia ich przez sejm („złączona izb obydwu większość – brzmi tekst konstytucji – będzie wyrokiem i wolą stanów”). Rząd ani też głowa państwa nie może na własną rękę stanowić praw, nakładać podatków i poborów, zaciągać długów publicznych. Nie może również rząd lub panujący, podobnie jak to się działo przedtem, bez przyzwolenia narodu wypowiadać wojen ani zawierać układów natury dyplomatycznej. Sprawy te odsyła Konstytucja 3 maja do decyzji przedstawicielstwa narodowego. Izba poselska i senat decydować mają „co do wojny, pokoju, ostatecznej ratyfikacji traktatów związkowych i handlowych, wszelkich dyplomatycznych aktów i umów do prawa narodów ściągających się”. Władzy wykonawczej wolno tylko tymczasowo z państwami obcymi prowadzić negocjacje, „o których najbliższemu zgromadzeniu sejmowemu donieść winna”.

Król jest nie tylko, według formuły średniowiecznej, królem „z Bożej łaski”, ale i „z woli Narodu”. Taki tytuł przypisuje mu wyraźnie konstytucja, dodając, że dlatego nie jest przed narodem odpowiedzialny, ponieważ „nic sam przez się nie czyni” oraz przestrzegając: „Nie samowładca, ale ojcem i głową Narodu być powinien i tym go prawo i konstytucja niniejsza być uznaje i deklaruje”. Król jest najwyższym przedstawicielem władzy wykonawczej oraz wodzem naczelnym sił zbrojnych. Czynnikiem prawodawczym odrębnym, obok obydwu izb sejmowych, konstytucja go nie czyni: pozostawia mu tylko nadal przewodnictwo obrad w senacie. Obowiązkiem jest jego zwoływać sejm zwyczajny co dwa lata, nadto sejmy ekstraordynaryjne w miarę potrzeby. U boku króla stoi stworzony na nowoczesną modłę gabinet ministrów, któremu dano w Polsce przepiękną i jedyną w swoim rodzaju nazwę: „Straży Praw”. (*Nazwa „gabinet” utarła się w innych państwach na tej podstawie, że początkowo król w swoim gabinecie odbywał z ministrami narady w sprawach publicznych. Nazwy tej w Polsce świadomie uniknięto).* Również zreformowana administracja publiczna odpowiadała warunkom nowej epoki. Powierzając rządowi silną władzę wykonawczą, uczyniła go konstytucja ściśle odpowiedzialnym przed narodem. Za naruszenie ustaw może sejm polski zwykłą większością głosów postawić ministrów w stan oskarżenia, a w razie udowodnionego przestępstwa ukarać winnych na wolności osobistej i mieniu. W razie niezgodności kierunku politycznego między przedstawicielstwem narodu a rządem, sejm większością dwóch trzecich głosów ma prawo domagać się usunięcia ministra z urzędu, a król winien uczynić to i natychmiast zamianować jego następcę.

I znowu podobne jak przy rozważaniu urządzeń starej Rzeczypospolitej, trzeba stwierdzić, że wiele z postanowień, które Polska wprowadziła w ustawie 3 maja, wykazuje cechy wyższości w porównaniu ze stanem rzeczy już nie w przeważnej liczbie krajów ówczesnych, lecz nawet w niejednym z konstytucyjnych i parlamentarnie rządzonych państw Europy dzisiejszej. Ludność tych państw dopiero teraz usiłuje – niejednokrotnie tylko częściowo – zdobyć to, co istniało i było prawnie utrwalone u nas przed laty 127. A mianowicie:

1. W wielu państwach współczesnych ustawy zasadnicze są tak skonstruowane, że w pewnych wypadkach, np. w wypadku wojny lub ostrego konfliktu miedzy rządzącymi i rządzonymi, z góry jest przewidziana i dopuszczona możliwość rozwiązania parlamentu, zawieszenia samej konstytucji i czasowego sprawowania rządów absolutnych, bez udziału przedstawicielstwa narodowego. Wszystkie cenne zdobycze i gwarancje konstytucyjne, jak prawodawstwo i rząd parlamentarny, swoboda głoszenia przekonań, swoboda zgromadzania się i zrzeszania itd., ustają wówczas automatycznie. Polska ustawa zasadnicza przez nikogo nie mogła być „zawieszona”. Sejm nie mógł być rozwiązany.
2. Zwołanie lub niezwołanie parlamentu zawisło dziś w wielu krajach od woli panującego, względnie rządu. W Polsce w myśl ustawy 3 maja władza prawodawcza narodu nie mogła być żadna miarą zatamowana. Sejm musi być zwołany w określonym terminie, lub gdy zachodziła konieczność przewidziana w konstytucji. Gdyby król wzbraniał się wypełnić w tym względzie obowiązek.

Miał to uczynić marszałek ubiegłego sejmu wbrew niekonstytucyjnemu stanowisku monarchy i zwoławszy sejm, uzasadnić motywy swego postąpienia.

3. Wszelkie rozporządzenia królewskie miały być kontrasygnowane przez jednego z ministrów, poczem nabierały mocy obowiązującej. Na wypadek, gdyby żaden z ministrów nie uznał za możliwe podpisać rozporządzenia – „król odstąpi od tej decyzji”. Jeśliby zaś mimo solidarnie przeciwnego stanowiska całego gabinetu monarcha trwał jednak przy swoim zdaniu, wówczas marszałek sejmowy „będzie go upraszał” o zwołanie sejmu, aby sprawę rozstrzygnął senat. Gdyby wreszcie król odwłóczył zwołanie sejmu, powinien uczynić to sam marszałek. Wypadki takie zdarzyłyby się w praktyce z pewnością bardzo rzadko. Nie mniej ustanowienie powyższej procedury świadczy jak konsekwentnie była przeprowadzona w Polsce zasada woli i władztwa narodu.
4. Z obu izb sejmowych większe znaczenia posiada zawsze izba poselska, jako pochodząca z wyboru. Konstytucja 3 maja wysnuła z tej przesłanki postanowienie, że jeśli ustawę uchwaloną w izbie poselskiej senat odrzuci a izba uchwali ja powtórnie na następnym sejmie, wówczas ustawa nie potrzebuje już zgody senatu i staje się prawomocną bez apelacji. Podobne postanowienie wprowadzone zostało w Anglii dopiero w roku 1911.
5. Konstytucja 3 maja oparła rząd na podstawie nowoczesnej zasady, że musi on posiadać zaufanie większości ciała prawodawczego, że jest przed nim odpowiedzialny i że z chwilą, gdy utraci jego poparcie, powinien ustąpić. Pod tym względem Polska poszła za przykładem Anglii, gdzie zasada powyższa wyłoniła się po raz pierwszy w Europie około 1720 roku. W niektórych jednak państwach konstytucyjnych jeszcze z XX wieku rząd jest tylko emanacją woli monarszej, żadne votum nieufności ze strony parlamentu nie może zniewolić go do ustąpienia, a na odwrót gabinet posiadający zupełne zaufanie reprezentacji ludowej może być każdej chwili usunięty przez panującego. Przykładem tego są Niemcy, gdzie dziś dopiero niektóre stronnictwa polityczne dążą do zdobycia odpowiedzialności rządu przed narodem, co w Polsce istniało już w roku 1791.
6. Na koniec, zgodnie z odwieczną tradycją i praktyką polityczną Rzeczypospolitej, o których poprzednio już była mowa, utrwaliła konstytucja 3 maja, że zarówno polityka zagraniczna, jak doniosłe prawo wypowiadania wojny i zawierania pokoju są atrybutem sejmu, gdzie dziś jeszcze ciągle sprawy te przeważnie rozstrzygane są przez nieliczne jednostki w głębokiej tajemnicy przed przedstawicielstwem narodu i opinią publiczną.

Armia, w pojęciu Konstytucji 3 maja i zgodnie z odwiecznymi wyobrażeniami polskimi, jest organizacją „obrony od napaści” i „dla przestrzegania całości narodowej”. Ten sam wysoki poziom moralny, który towarzyszył zawsze uruchomieniu sił zbrojnych Rzeczypospolitej, przebija i na kartach ustawy majowej. Pośrodku autokratycznie rządzonych państw, posługującymi się tłumami niewolniczego żołdactwa gotowego do wszelkiego rozboju międzynarodowego, republikański duch polski stwierdza, że armia nie ma być zaczepna, ma „bronić całości i swobód narodowych”. „Wojsko nic innego nie jest, tylko wyciągnięta siła obronna i porządna (tzn. strzegąca porządku) z ogólnej siły narodu”, brzmi definicja ustawy 3 maja, definicja, którą jako postulat bez zmiany powtórzyć można w sto lat przeszło po jej wypowiedzeniu. W myśl tak pojętego charakteru siły zbrojnej przypisano wojsku przysięgę charakterystycznym porządku: przede wszystkim „na wierność Narodowi” a następnie na wierność monarsze.

Pod względem społeczno – politycznym konstytucja polska z roku 1791 podcięła dotychczasowe przywileje i monopole stanu szlacheckiego, a zarazem na oścież otwarła wrota do tego stanu przed świeżym dopływem. Prawo do nobilitacji zyskali automatycznie wojskowi i urzędnicy pewnych stopni, zaś każdy sejm miał obowiązek udzielenia klejnotu szlacheckiego znaczniejszej liczbie mieszczan zasłużonych na jakimkolwiek polu, przede wszystkim w przemyśle i handlu. Dawny cenzus krwi rycerskiej został całkowicie zniesiony, szlachectwo stało się dostępne dla każdego osobnika o pewniej wartości społecznej, zamieniło się w obywatelstwo Rzeczypospolitej w szerokim znaczeniu tego słowa, otwierając niebywałą zupełnie perspektywę do stopniowej nobilitacji całego narodu. Stan miejski jako całość otrzymywał jak gdyby połowę szlachectwa: przyznawano mu prawo „neminem captivabimus", dostęp do wyższych godności duchownych, urzędów cywilnych i rang wojskowych, większy udział w sejmie, do którego dopuszczono przedstawicieli 21 miast z głosem doradczym, a w sprawach miejskich i handlowych stanowczym, wreszcie szeroki zreformowany samorząd i prawo posiadania ziemi, to ostatnie przyznane w Prusiech dopiero w roku 1807, w szesnaście lat później niż w Polsce. Były to prawa o jakich nie śniło się wówczas mieszczaństwu np. niemieckiemu. Zajęcia miejskie zrównane zostały w swej wartości z ziemiańskimi. Najprzedniejsi dygnitarze na znak braterstwa ostentacyjnie przyjmowali obywatelstwo miejskie. Stan chłopski wreszcie, który według wstępu do odpowiedniego artykułu ustawy „tworzy najdzielniejsza kraju siłę", otrzymał opiekę prawną. W sprawie położenia mieszczaństwa, a zwłaszcza włościan, twórcy ustawy czuli sami i wyraźnie to zaznaczyli, że reforma jest daleka od doskonałości, wybierali jednak drogę pośrednią w przeświadczeniu, że najpewniejszą rękojmią utrwalenia się reform jest wprowadzenie ich drogą stopniowej ewolucji.

Podkreślamy z naciskiem, że tą konstytucję, wychodząca na niekorzyść szlachty, uchwalił sejm wyłącznie szlachecki. „Gdy gdzie indziej – pisze K. Hoffmen („Historia reform politycznych w Polsce") – wszystkie reformy zasadzone na równouprawnieniu stanów były dziełem klas nieszlacheckich albo korony, konstytucja 3 maja była dziełem dobrowolnym samego tylko uprzywilejowanego stanu. Szlachta polska wyrzekła się odwiecznych prerogatyw na korzyść władzy i wolności ogólnej, bez żadnego ze strony korony lub klas nieszlacheckich nacisku, powodowana jedynie względami dobra pospolitego". „ W swoim rodzaju jest to wypadek jedyny i niegdzie na tak wielki rozmiar w dziejach ludzkości nie powtarzający się" – stwierdza O. Balzer.

Równie ważną i zgoła wyjątkową cechę konstytucji polskiej stanowiło, że reformy jej były obliczone na przeciąg jednego tylko pokolenia. Przy całym swym niewspółczesnym liberalizmie ustawa zasadnicza 3 maja miała być nie skostniałą kodyfikacją, lecz żywą wytyczną dla dalszego rozwoju. Osobny artykuł ustawy postanawiał mianowicie, że co 25 lat ma się zbierać umyślny sejm dla rewizji i poprawy konstytucji, a to „uznając potrzebę udoskonalenia onej po doświadczeniu jej skutków co do pomyślności publicznej". Głęboka mądrość twórców reformy 3 maja zajaśniała pełnym blaskiem w tej instrukcji, która już następnemu pokoleniu nakazywała dostosować ustrój państwa do nowych pojęć a tym samym zapobiegała z góry gwałtownym wstrząśnieniom wewnętrznym. Najbliższa konstytuanta polska byłaby znowu pchnęła potężnie naprzód dążenie do ideału wolności, obejmującej już teraz wszystkie warstwy narodu, gdyby tego procesu nie przerwał gwałt rozbiorów.

Dalszą wielką grupę zjawisk, w której duch polityczny polski poszedł naprzód w stosunku do reszty kontynentu europejskiego, stanowi sztuka łączenia narodów, jaką rozwinęła Polska w ciągu swego historycznego bytu i która prześcignęła znowu nie tylko współczesne sobie, ale i dzisiejsze państwa wielonarodowe. Historia zna przykłady kojarzenia ze sobą obcych krajów. Czynili to władcy w dynastycznym swym interesie, posługując się w tym celu mieczem, traktatami lub związkami małżeńskimi i tworząc za pomocą tych środków mniej lub więcej zwarte całości. Lecz Polska osiągnęła to nie na drodze podboju, który zostawia po sobie gorycz poniżenia i zapalne ogniska „buntów" – i nie na drodze układów sukcesyjnych, zawieranych przez dynastie ponad głowami ludów, bez względu na ich wolę, a często wbrew niepokonanym ich wstrętom. Unie polskie dokonywały

się: 1). nie w interesie głów koronowanych. 2). bez przymusu 3). przez porozumienie się narodu z narodem. Specjalnie ten ostatni niezmiernie doniosły moment jest czymś dla owej epoki niewspółczesnym, niezwykłym, nowym i wyprzedzającym o całe wieki ogólny rozwój pojęć politycznych. „Tym bardziej – zauważa St. Kutrzeba – ten rodzaj łączenia terytoriów w jedną spoistą całość może być Polski dumą, że nie miała ona pod tym względem żadnych przykładów, żadnych wzorów. Trzeba było tworzyć formy nowe dla nowych myśli, które się u nas zrodziły" („Społeczno – państwowe idee Polaków"). W historii świata nie wiele można spotkać przykładów, by społeczeństwa przy tworzeniu takich związków w ogóle jakikolwiek głos miały sobie przyznany. Tu głos nie tylko istnieje, ale nabiera wagi decydującej. O złączeniu się Polski z Litwą układały się w latach 1499, 1501, 1569 istniejące już wówczas w obu krajach sejmy, w których reprezentowany był ogół dostojników i szlachty. Lecz już o tyle wcześniejszy zjazd w Horodle w r. 1413 dał dobitny wyraz temu, że unia obu państw ma być unią narodów, gdy 47 „rodów" polskich („ród" obejmował znaczną liczbę rodzin niespokrewnionych ze sobą w znaczeniu dzisiejszym) nadało tyluż rodom litewskim swe herby, tj., to, co było tak wyjątkowo cennym w owych czasach, co z taką zazdrosną dumną było noszone, co nazywało się też symbolicznie „klejnotem". Rody bojarów litewsko – ruskich stawały się przez tę adaptację herbową niejako krewnymi polskich rodów. „Niezwykły – pisze Kutrzeba – genialny ten pomysł, jedyny w historii całego świata, takiej masowej adopcji herbowej z tej wyszedł myśli, by związek państw umocnić związkiem warstw wyższych", zanim w r. 1569 już same narody zawrą z sobą wieczysty związek. Akt horodelski wprowadził niebywałe dotąd w stosunkach międzynarodowych pojęcia – miłości i braterstwa. Te pojęcia, wzmocnione niebawem bujnym rozkwitem polskich swobód politycznych, doprowadziły ostatecznie do unii w Lublinie, która z obustronna zgodą, uroczyście wyrzekła, iż „Korona i Wielkie Księstwo Litewskie jest nienaruszalne i nieróżne ciało", „jedna wspólna Rzeczpospolita, która się z dwóch państw i narodów w jeden lud i państwo zrosła i spoiła".

„Bezprzykładnym jest – mówi znakomity pisarz polski Julian Kłaczko - podobne złączenie się państw, długo sobie nieprzyjaznych, o różnych rasach, obyczajach, języku i religii, a jednoczących się w końcu w imię Ewangelii, wolności i tej miłości, która „sama wznosi państwa"; po raz to pierwszy powstaje w dziejach potężne mocarstwo bez krwi rozlewu". „Zjazd w Horodle – stwierdza historyk niemiecki Jakub Caro – przyłożył pieczęć do takiej unii narodów, jakiej nie napotkać w całej historii Europy".

Mamy tu przed sobą jedno z najbardziej zastanawiających zjawisk dziejowych. Nie gwałtem fizycznym, lecz siłą ducha, nie mieczem, lecz kodeksem praw i naokół promieniująca wolnością dokonywa Polska swego wspaniałego „podboju" ludów ościennych. Tą drogą wytworzyliśmy wielką federację ludów na wschodzie Europy. Unie z Litwą, z Rusią, z Prusami, z Inflantami, przeistoczyły małe piastowskie państwo w rozległe mocarstwo związkowe, które przy dwóch tylko organach centralnych, przy wspólnym sejmie i wspólnej osobie panującego, a przy ścisłym przestrzeganiu odrębnych indywidualności swych części składowych, wykazało tak wielką spójnię wewnętrzną, że – jak to zaznaczyliśmy już – przetrwała ona w warstwach historycznych nawet upadek samej konstrukcji państwowej. Stworzyła tu Polska dzieło, które nie miało sobie podobnego wówczas, a w tych rozmiarach pozostało w ogóle unikatem w Europie. To co dziś kreujące umysły lepszej części ludzkości stawiają jako program porozumienie się „od narodu do narodu", to, co w zmienionych warunkach jako ideał świeci znakomitym duchom kontynentu europejskiego: dobrowolna federacja ludów, to my na obszarze od Wisły do Dźwiny przed czterema wiekami w czyn wprowadziliśmy.

W równym stopniu wyprzedziła Rzeczpospolita Polska świat tolerancja religijną, która była zawsze znamienna ideą naszych dziejów, której nieśmiertelny pomnik prawodawczy powstał w ustawie z r. 1573 („De pace inter dissidentes"), głoszącej równouprawnienie wszystkich wyznań, a ogłoszonej w czasie, gdy ludzie masowo zarzynali się w Europie w imię Boga, tak jak dziś zarzynają się w imię „miłości ojczyzn". Samotne wśród reszty Europy, nieznane tam w owych odległych epokach., niedoścignięte częstokroć, nawet dziś, stoją przed nami środki, ja-

kimi rozum stanu i duch Polski posługiwał się dla osiągnięcia swoich wielkich celów dziejowych. Bez walk wyniszczających i gwałtownych wstrząśnień wewnętrznych przeprowadzili przodkowie nasi tak olbrzymie dzieła, jak właśnie złączenie w jedną wyższą całość sąsiadujących ze sobą obszarów państwowych, jak równouprawnienie wszystkich wyznań i urzeczywistnienie swobody sumienia. Wielka zasadnicza reforma państwowa: konstytucja „Nihi novi" z r. 1505, która rzuciła trwałe podstawy pod ustrój przedstawicielstwa narodowego i zagwarantowała owe szerokie swobody polityczne, jakimi Polska odcięła się na trzy stulecia od rosnącego dokoła, a wreszcie triumfującego wszędzie, absolutyzmu, doszła do skutku jako proste uwieńczenie szeregu stopniowych przeobrażeń poprzednich. Konstytucja 3 maja 1791, która te zdobycze przystosowała do potrzeb nowoczesnych, dokonała się również jako wynik pokojowej ewolucji myśli politycznej. W tym pamiętnym roku Polska wstąpiła na drogę rozszerzenia praw człowieka na warstwy „niższe". Nie kosztowało to ani jednej kropli krwi, ani jednaj łzy ludzkiej. Gdy inne narody kontynentu musiały w nowszych czasach tysiącami ofiar okupywać każdy krok ku swobodzie. „To – mówi Stefan Buszczyński – do czego gdzie indziej dobijano się przez krew, przez rozruchy, bunty, rewolucje, królobójstwa, rusztowania, gilotyny, naród polski otrzymał i utrzymał spokojnie, na drodze legalnej".

Wyższości tego sposobu budownictwa politycznego towarzyszyła niezaprzeczona wyższość moralna Polski nad bliższym i dalszym jej otoczeniem. Państwo, które uczyło młodzież, że polityka nie ma być chytrością, zdradą ani sztuką używania przemocy, które wśród powszechnego panowania instynktów drapieżnych nie uprawiało z zasady napastniczych wojen i do rozboju cudzego mienia czuło wstręt, a niosło ościennym ludom – wolność, które wśród powszechnego fanatyzmu jedyne w Europie dało wspaniały przykład tolerancji religijnej, które taką samą tendencję stosowało do wszelkich przejawów historycznie wytworzonej odrębności, które w swoich granicach nie znało zgoła żadnych form prześladowania ludzi za to czem są i w co wierzą, które nie zamordowało żadnego ze swych królów, ale też żadnemu nie pozwoliło mordować poddanych, które blask prawa ceniło wyżej niż blask korony, to państwo zostawiło daleko za sobą w tyle nie tylko ówczesną Europę, ale i dzisiejszą.

* * * * * * *

Upadek państwa

Szukanie przyczyn upadku. Bez-rząd i bezprawie. „Niezdolność do życia" tworząca wzór praworządnego państwa. Dla kogo anarchia polska była niebezpieczna? Nieupodobnienie się do niżej stojącego środowiska. Polska uległa przewadze fizycznej.

Państwo polskie upadło!

Dla ludzi, co wartość zasad i czynów mierzą doraźnym powodzeniem, wystarcza to by potępić linię rozwoju Polski. Lecz „zegar dziejów nie według ludzkiej nastawiony miary", a ustrój polityczny, który przez wieki dawał szczęście i wysoki poziom kulturalny wielkiemu narodowi – idea wolności i godności ludzkiej, która pokolenia całe wśród bezprzykładnych cierpień i prześladowań zagrzewała ogromem patriotyzmu i która dotychczas przyświeca dążeniom narodów, - nie mogłyby być potępione nawet wówczas, gdy istotnie sprowadziły na przeciąg stu lat niedolę i cierpienie.

Zniszczenie naszej tysiącletniej egzystencji państwowej było dziełem przewagi fizycznej, aktem gwałtu. Tak odbijało się niegdyś to katastrofalne zjawisko we wszystkich umysłach moralnie nie zdeprawowanych nie tylko u nas i nie tylko w krajach nam przyjaznych. Wielki i zarazem wyjątkowy pruski mąż stanu z epoki napoleońskiej, Stein, wtedy, gdy w Niemczech rzeczy nazywano po imieniu, rzekł: „Podział Polski jest polityczną zbrodnią. Stanowi on smutny obraz ujarzmionego przez przemoc narodu, któremu zburzono możność samodzielnego rozwoju swej indywidualności, któremu wydarto dobrodziejstwo swej własnej wolnej konstytucji". Czynniki, które spowodowały nasz upadek, ujmowano jasno o prosto. Sprowadzały się one do wspólnego mianownika – przemocy. Dopiero z czasem, pod wpływem triumfującej reakcji, rozpoczęły się poszukiwania za innymi "przyczynami". Przede wszystkim skrzętnie zajęli się tym sami sprawcy rozbiorów. W ich to urzędowej historiografii pojawiła się najpierw chytra teza kolportowana

potem długo i gorliwie, że Polska uległa „wewnętrznemu rozkładowi", że zgubiła ją „anarchia", że jej zasady polityczne i urządzenia państwowe cierpiały na „niezdolność do życia", teza, która jak podrobiony pieniądz poczęła krążyć po świecie. Ustalanie nowych „przyczyn" przybrało wreszcie charakter potępienia, miotanego jak gdyby z wyżyn jakiegoś sądu dziejowego. Nie tylko usprawiedliwiono siebie, ale na dodatek pociągnięto nas przed kratki. Komedia ta, którą ze szczególną precyzją umieli reżyserować pisarze moskiewscy, ma wciąż jeszcze aktorów, chór i wdzięcznych słuchaczy. Rozgrywa się ona w „nauce", w prasie, w publicystyce, w parlamentach. Mówią nam surowo: Upadliście, bo nie umieliście u siebie rządzić.

Widowisko godne bogów. Któż to bowiem wlecze przeszłość polską przed swój sprawiedliwy trybunał i ciska jej w twarz zarzutem bez-rządu? Oto potomkowie przydrożnych rycerzy-rozbójników lub rabów, całujących pokornie knut, ci, których dzieje przez setki lat pławiły się w bezprawiu, w czymś kwalifikującym się przed pręgierz stokroć bardziej od wynaturzeń polskiej „złotej wolności". Najsmutniejszy rozdział naszej historii, pod królami z dynastii saskiej, to okres braku silnej egzekutywy, strzegącej ścisłego wykonywania praw, które jednak istniały i obowiązywały. W tym samym czasie Rosja – i nie tylko ona - nie znała w ogóle żadnych istotnych pojęć o prawie, gdyż prawem był dla niej każdy gest cara, każde krwawe zachcenie psychopatów na tronie w rodzaju Iwana Groźnego i koronowanych ladacznic w rodzaju Katarzyny Anhalt-Zerbst. Kto częstuje nas kazaniami o niezdolności do życia? Ci, co objawili ja głównie zbójeckim łupiestwem cudzego dobra i psią uległością wobec bata. Bezwstydnym fałszem jest, jakoby zdolność do życia była jednoznaczna z popędem do grabieży i niewolniczą tresurą.

Wyprowadzenie upadku Polski z jej wewnętrznego „rozkładu" przeczy wszystko. Po pierwsze: nad przewodnimi ideami naszych dziejów historia wcale nie przeszła do porządku, przeciwnie, coraz bardziej podkreśla ich aktualność. Po wtóre: ustrój Rzeczypospolitej od ostatecznego swego skrystalizowania się istniał z górą trzy stulecia, więc musiał posiadać dostateczną siłę żywotną i to tym większą, że w nieznacznej tylko mierze opierał się na przymusie państwowym. Po trzecie: dwa ostatnie rozbiory nastąpiły wtedy, gdy Polska przez przystosowanie się do nowych pojęć i potrzeb stworzyła była na owe czasy wzór praworządnego państwa w ustawie 3 maja 1791 roku, gdy przeprowadziła nie tylko znakomite reformy polityczne, społeczne i administracyjne, ale zajaśniała rządnością gospodarczą, odrodzeniem przemysłu i handlu, więc złożyła na nawo niezbity dowód wszechstronnych zdolności do dalszego życia. Wobec tych faktów uzasadnianie rozbiorów nasza „anarchią" i naszym rzekomym „rozkładem", nie przestaje być nikczemnym, staje się śmiesznym.

Anarchia" polska była, zaiste, jedną z przyczyn naszego upadku, ale w sensie zgoła innym, niż ten, jaki jej podsuwa bezmyślnie powtarzany komunał. W łupinie wynaturzonych z biegiem czasu i spaczonych form ustroju polskiego tkwiło nawet w okresie jej najjaskrawszych zboczeń zdrowe ziarno wielkich i płodnych idei. Naród nasz zawsze świadomie przeciwstawiał się tyranii, gdziekolwiek ona była. Stara konfederacka pieśń z roku 1768 (cztery lata przed pierwszym rozbiorem), pieśń z czasów najwyższego „rozkładu", głosiła: „Nigdy z królami nie będziem w aliansach, nigdy przed jarzmem nie ugniemy szyi" – z królami. to znaczyło z autokracją, z „absolutum dominium". „Dawna Polska – stwierdza znakomity współczesny pisarz rosyjski Konstanty Balmont („Utro Rossii 1917) – była krajem wolności pośród państw despotycznych. W dniach swojej zguby posiadała ona taką sumę swobód, jakiej nie znało wtedy żadne państwo europejskie". Zarażającego wpływu tych idei bał się absolutyzm XVIII w, okrążający dokoła naszą ojczyznę. „Poglądy Polaków – pisał kanclerz rosyjski Biezborodko w roku 1794 – są tego rodzaju, że zaraza dalej rozejść się może".

„Trzeba innych powodów szukać dla zrozumienia planu rozebrania Polski? –

pyta słusznie Buszczyński. -To jedyne wielkie mocarstwo narodowe wśród państw dynastycznych było wówczas anomalią. Polska, pomimo osłabienia, pomimo pozorów konania, nie równie więcej miała żywotności, niż wszystkie europejskie państwa wśród wrzawy wojennej i dworskiego przepychu. W całej Europie narody i kraje były własnością panujących, były rze-

czą, bezmyślnym narzędziem woli silniejszego lub zręczniejszego, gdy naród polski nigdy nie był niewolnikiem swych królów". W ustroju i duchu Rzeczypospolitej, w świeżo zwłaszcza uchwalonej konstytucji 3 maja, która zreformowała i wzmocniła rząd, wprowadziła monarchię dziedziczną, ale zatrzymała w całej pełni władztwo narodu, widziały mocarstwa ościenne niebezpieczną pokusę dla swych „poddanych", trzymanych w ryzach ślepego posłuszeństwa. Odrodzenie się przez reformy majowe i wzmożenie się na siłach takiego państwa, jak Polska, mogło było zagrozić dalszemu trwaniu autokratyzmu, zniszczonego już częściowo na Zachodzie, przez Francję, i trzeba było tę groźbę usunąć. Uczyniono to – przez rozbiory. *(„Królowie ztrwozyli się w sercach swych i rzekli: Wypędziliśmy z ziemi Wolność, a oto powraca w osobie narodu sprawiedliwego, który nie kłania się bałwanom naszym. Pójdźmy, zabijmy naród ten" (Mickiewicz: „Księgi Narodu polskiego").*

Polska upadła dlatego, że nie upodobniła się do sąsiednich despotii, że jedyna na kontynencie wzdragała się długo przed wytworzeniem wielkiej stałej armii, tj. tego, co dziś narody przodujące ludzkości chcą zetrzeć ostatecznie z oblicza ziemi. Zginęła, gdyż przy całym chwilowym załamaniu się swej siły duchowej była tworem politycznym doskonalszym i niewspółcześnie wysoko rozwiniętym w zestawieniu z tym, co ją otaczało.

To była „causa prima" zniknięcia gwałtownego Polski z kart świata. Pozostaje jeszcze obszerne pole do uwag nad upadkiem charakterów w okresie przed Wielkim Sejmem, nad rozprężeniem się przedstawicielstwa narodowego, nad zanikiem władzy państwowej. Aczkolwiek okresy takich lub podobnych wewnętrznych niedomagań znane są nie tylko w Polsce XVIII wieku, lecz u tylu innych narodów i w tylu innych epokach i chociaż tam z powodu tych lub innych szczęśliwych okoliczności przeszły bez sprowadzenia katastrofy na państwo, to jednak nikt nie przeczy, że u nas ułatwiły one zadanie wrogom zewnętrznym. Atoli w ostatniej przyczynie runęła Polska z powodu faktu, który w nagiej i brutalnej swej istocie nazywa się gromadną napaścią, przerastająca siły obronne jednostki napadniętej. Po raz pierwszy w dziejach państw chrześcijańskich zdarzyło się, że wielki naród o niespożytych zasługach dla cywilizacji, naród, który wobec nikogo nie żywił wrogich zamiarów, osaczono w środku Europy w zamiarze zniszczenia go po prostu tak, jak się osacza zwierzynę w kniei. Przy rozważaniu tej niesłychanej sytuacji dziejowej jest zapewnie dość miejsca dla krytyki polityki polskiej, która nie potrafiła wybrnąć ze strasznego położenia np. przez stworzenie korzystnych dla siebie koniunktur, aczkolwiek i to spostrzeżenie krytyczne musiałby znacznie osłabić fakt, iż sojusz, jaki Rzeczpospolita zawarła z jednym z państw zachodnich w r. 1790 został przez rzekomego sprzymierzeńca w chwili próby zdeptany z całym cynizmem.

Tak czy owak, stanęła Polska wobec gromadnego sprzysiężenia, wobec fizycznej przewagi trzech złączonych ze sobą wielkich mocarstw sąsiednich. I tej fizycznej przewadze nie mogła nie uledz. Tak samo po Jenie musiały runąć nawet na wskroś militarne Prusy. Tak samo za naszych czasów rządna i świetnie zorganizowana Belgia, której nikt nie mógł zarzucić „anarchii", Belgia, która miała i tron dziedziczny i armię stałą i twierdze wzorowe i pełny skarb, podzieliła w bardzo krótkim czasie los Polski.

* * * * * * *

Duch dziejów Polski na tle chwili dzisiejszej

Następstwa rozbiorów Polski. Obalenie równowagi. Wzmocnienie reakcji. Spopularyzowanie idei gwałtu. Rozwój militaryzmu. Wojna światowa. Ubezwładnienie jednostki. Polska historyczna i Europa współczesna. Spiralna linia postępy. Nasze zadania. Nasz spadek dziejowy.

Gwałtowne zniknięcie z mapy Europy wielkiego i zdolnego do życia państwa, które było pierwszorzędnym czynnikiem równowagi międzynarodowej nie mogło przejść bez pozostawienia głębokich po sobie śladów w ogólnym układzie stosunków. Zdławienie jego gorącej żądzy dalszego bytu wywołało szereg złowrogich skutków, które intencją niezdeprawowanej duszy przewidziała cesarzowa Maria Teresa, pisząc na akcie podsuniętym przez dyplomatów: „ Placet – skoro tyle i tak wybitnych osobistości tego pragnie, lecz długo po mojej śmierci mścić się będą następstwa podeptania

nogami tego, co poczytywano dotąd za sprawiedliwe i święte".
Już w roku 1814 Telleyrand w nocie do Metternicha dał wyraz przekonaniu, że rozbiór Polski był przyczyną następnych wstrząśnień w Europie. Znakomity historyk niemiecki von Rotteck, którego po raz drugi tu zacytujemy, pisał przed laty dziewięćdziesięciu: „Upadek Polski oznajmił gromowym głosem cywilizowanemu światu całkowite obalenie równowagi, zwycięstwo przemocy, ma następnie zanik zupełny publicznego prawa. I jeżeli, według ciężko ważących słów Jana Müllera, „Bóg chciał wówczas obnażyć moralność wielkich, to przed myślicielem otwarła się wskutek tego ponura perspektywa na nieskończoną pełnię cierpienia i na straszliwy szereg przewrotów, które stały się nieuniknione, aby w życiu publicznym przywrócić stan prawny. Niech Europa drży przed skutkami, jakimi całemu systemowi politycznemu cywilizowanego świata zagraża zniszczenie państwa, przedzielającego trzy wielkie mocarstwa militarne". (K. V. Rotteck _"Allgemeine Geschichte, Schlussbetrachtungen liber den Wiener Kongress"). Prorocze te słowa znalazły pełne grozy potwierdzenie. Dla głębiej patrzących umysłów staje się jasnym związek przyczynowy, jaki zachodzi między wielką zbrodnią międzynarodową z końca XVIII wieku a potworną katastrofą, którą świat przeżywa w chwili obecnej. W niedawno ogłoszonym dziele „The partition of Poland" stwierdza lord Eversley, że pośrednią i daleką ale istotną przyczyną dzisiejszej wojny światowej jest rozbiór Polski.
Zbrodnia, dokonana na Polsce i kontynuowana systematycznie z całą świadomoscią popełnianego zła, odbiła się złowrogo na dziejach XIX wieku. Rozbiór Rzeczypospolitej stał się węzłem spajającym interesy mocarstw najbardziej wrogich zasadom wolności i wzmógł potężnie ich siłę materialną, wzmocniona zaś tym sposobem reakcja stała się klęską dla ludów, których usamowolnienie wstrzymała na lata. Gdy Kolalicja państw autokratycznych powstała przeciw Wielkiej Rewolucji francuskiej, nie mogła tej koalicji przeciwstawić się Polska, której dawne tradycje wolnościowe, ustrój republikański i demokratyczny, oraz uznanie praw jednostki i władztwa narodu odpowiadały ideom, głoszonym przez rewolucję francuska. Napoleon, który ideały rewolucji wypaczył, ale najważniejsze jej zasady przyjął i torował im drogę przyznał w swoich pamiętnikach, że popełnił kardynalny błąd, nie wskrzeszając Polski. Po upadku Napoleona tworzy się na Kongresie Wiedeńskim między wspólnikami rozbiorów Polski sprzysiężenie, zwane „Świętym Przymierzem", do którego przystąpiła następnie większość władców Europy, a które wyniósłszy do znaczenia najważniejszego organu instytucję tajnej policji, przez całe dziesięciolecia tłumi solidarnie drakońskimi środkami wszelki ruch wolnościowy, gdziekolwiek się przejawił. Usprawiedliwienie i sankcjonowanie zbrodni dokonanej na Polsce znieprawiły ponadto lub znieczuliły myśli i sumienia społeczne. Gdy „najbardziej ludzki naród", według słów Micheleta, został, „wyrzucony z ludzkości", mogła być postawiona jawnie i z całym cynizmem zasada, że w życiu międzynarodowym głos ma nie prawo moralne, lecz „prawo mocniejszego", nie kodeks etyczny lecz pięść. Niewolnictwo i tyrania, narzucone tak wielkiemu narodowi, spopularyzowały idee gwałtu, co ułatwiło rządom despotycznym stosowanie tych samych metod wobec własnych społeczeństw. Równolegle z tym jedne państwa i narody, obawiając się dla siebie losu Polski, zaczęły myśleć o wzmocnieniu swej sił zbrojnej, inne chciał ją jak najbardziej rozwinąć, aby móc również przy sprzyjających okolicznościach wyzyskać czyjąś słabość i rzucić się w wir polityki zaborczej, która tyle doraźnych korzyści przyniosła mocarstwom rozbiorowym.
To wszystko, nie mniej jak zarzewia antagonizmów, wywołanych podziałem polskiego łupu oraz nadmierny wzrost potęg, które dopiero na gruzach Polski – jak Rosja – doszły do późniejszego znaczenia, stały się pobudka do typowych w XIXC wieku powszechnych zbrojeń. „Rosja, rozporządzająca milionami niewolnego ludu – stwierdza prof. Wacław Sobieski – właśnie przez rozbiór Polski przysunęła swą granicę w samą głąb Europy i przysuwała się coraz bardziej w sam jej środek, bo jeszcze bliżej w roku 1815, i jeszcze bliżej po rozbiciu polskiej armii w roku 1831. W miejsce dawniej Rzeczypospolitej, która nie lubiła utrzymywać znacznych armii, występowała Rosja przerażająca wszystkich masami wojsk i przez to pobudzająca sąsiadów do baczności, do zbrojeń, do utrzymywania stałych armii. Rozbiór Polski był

przyczyną tych zbrojeń i z innego jeszcze względu: wszak wszelki zabór wymaga pilnowania zajętych obszarów i okiełznania burzącej się ludności podbitej, a cóż dopiero tak zawsze za wolnością tęskniącej, jak polska". Jakoż niemiecki pisarz wojskowy Maks Jähns („Heeresverfassungen und Völkerleben") podaje, że zajęcie zachodnich obszarów Rzeczypospolitej wymagało powiększenia pruskich sił zbrojnych, i że tego powodu Fryderyk Wilhelm II utworzył w roku 1795 „eine Immediat-Millitar-Organisations-Kommissions". Po ogólnym znużeniu wojnami napoleońskimi trzeba było nadal pilnować Polaków, którzy tylko czekali stosownej chwili, aby wybić się na wolność. Z piersi Mikołaja I wydarł się w roku 1831 okrzyk gniewu i zniecierpliwienia, że dla utrzymania w karbach tego narodu musi mieć w pogotowiu potężną armię i łożyć na nią ogromne koszta. Posunięcie się Rosji w roku 1831 aż po Wisłę zaniepokoiło znowu Prusy, tak, że w tym samym roku nie odesłały, jak zwykle, połowy rekrutów po kilku tygodniach do domu, lecz ćwiczyły pełną, a więc podwójną ich liczbą przez dwa lata. Gdy niebawem wyłoniła się w Europie „zasada narodowości" i hasło zjednoczenia narodowego, które na nowo zelektryzowały Polaków, car Aleksander II kazał postawić na stopie wojennej cztery korpusy i wzmocnić załogi w Polsce kongresowej. To wywołało z kolei niepokój w Prusiech. Zabezpieczając się, regent pruski Wilhelm zmobilizował w roku 1859 armie, a następnie podwoił liczbę wojska stałego, przedłużył czas służby i zastosował bezwzględniej powszechny obowiązek wojskowy.

Oto uchwytne przykłady, jak rozbiór Polski w konsekwencji swej podsycał zbrojenia międzynarodowe.

„Pośrednie, dalekie lecz istotne" jak nazywa je lord Eversley, następstwo ujarzmienia wielkiego i żywotnego narodu – brzemię "zbrojnego pokoju" – komplikując się z innymi czynnikami urosło z czasem do olbrzymich rozmiarów i przygniotło na długo kulturalną pracę wszystkich ludów Europy. Zbrojność jednego państwa podsycała zbrojność drugiego. Wywiązał się wyścig zbrojnego pogotowia. Najtęższa, najbardziej wartościowa społecznie część ludności oderwana została od zajęć twórczych. Wobec kolosalnego wzrostu budżetów wojskowych obniżyły się wszędzie wydatki i wkłady publiczne w rozwój kultury umysłowej, techniki, oświaty i higieny. Droga, którą upadek Polski niegdyś rozpoczął, a którą tak jasnowidząco scharakteryzował niemiecki historyk-myśliciel, doprowadziła do tego, że pod koniec okresu poprzedzającego wybuch wojny światowej sześć milionów ludzi w sile wieku, tych, którzy w gospodarstwie społecznym ważą najwięcej, stale znajdowało się bezczynnie pod bronią, a uzbrojenie i utrzymanie ich kosztem reszty ludności pochłaniało corocznie miliardowe sumy. Militaryzacja narodów wyładowała się na koniec w masowej rzezi, która zalała krwią Europę, w zniszczeniu wartości, na których wytworzenie składały się pokolenia. Kataklizm przerósł wszelką rachubę. Czterdzieści milionów ludzi stanęło pod bronią. Po czterech latach trwania strawiła wojna z górą trzysta miliardów mienia narodowego wszystkich krajów. Ofiary w ludziach wyniosły w tymże czasie okropną cyfrę ośmiu milionów zabitych, siedemnastu milionów rannych, pięć milionów inwalidów, nie licząc wzmożonej śmiertelności za frontem. „Nieskończona pełnia cierpienia", o której mówił Karol Rotteck, stała się faktem. Milionami piersi wstrząsnęło łkanie żałoby. Na gruzach zburzonych miast i wsi rozpostarła się pustka śmierci. Kultura materialna została gwałtownie wstecz cofnięta. Po obszarach bogatej i dumnej Europy stąpa głód, a wlecze się za nim widmo degeneracji całych pokoleń. Powszechny upadek rolnictwa zagroził kuli ziemskiej niedostatkiem na długie lata. Konieczności wojenne zażądały od wszystkich narodów takiej próby wytrzymałości, takiego wyrzeczenia się potrzeb ludzkich, jakich najbujniejsza wyobraźnia nie mogła przypuścić. Wszechwładza państwa wtargnęła do każdej szczeliny życia, gasząc ostatni szczątek swobody osobistej. Ubezwładnienie i zmechanizowanie jednostki osiągnął rozmiary snu fantastycznego. Człowiek, pozbawiony najdrogocenniejszego z darów przyrody, wolnej woli, stał się kółkiem potwornego mechanizmu, obracającym się bezdusznie w takt jego krwawych poruszeń.

Zachowawczy instynkt ludzkości, kurcząc się przed widmem powtórzenia się tej katastrofy, woła o rewizję ideologii, która do niej doprowadziła, woła o – trybunały rozjemcze, o kodeks karny międzynarodowy, któryby pod

wspólną wszystkich egzekutywą ścigał w przyszłości każdą próbę zbrojnego gwałtu, jako zbrodnię podpalania świata, woła o prawo bytu dla zasad, któreby ohydę rzezi masowej wśród ludzi uczyniły na zawsze niepowrotnym upiornym wspomnieniem. To, co do niedawna głosili tylko „utopiści” i „marzyciele”, zjawia się coraz częściej na ustach najtrzeźwiejszych mężów stanu.

A teraz spójrzmy jeszcze raz za siebie!

Oto w perspektywie przebytego czasu jaśnieje, tak niedawno jeszcze żywa, a w duszach polskich żyjąca dotąd, zniweczona brutalnie, przedziwna wielka republika, która wiele snów dzisiejszej umęczonej ludzkości przed wiekami już jawą uczyniła, która wśród powodzi absolutyzmu była dumną wyspą swobód, dla której państwo nie było celem, lecz środkiem, a celem był człowiek i jego rozwój, która nie uprawiała nigdy grabieży cudzych ziem i czuła odrazę do krwi przelewu, która decyzje o wydobyciu miecza przekazywała dojrzałej woli narodu, a nie podziemnej intrydze nieodpowiedzialnych i poza kontrolą publiczną działających zawodowych dyplomatów, która pojęcie słuszności w stosunkach międzynarodowych jako wartość realną traktowała, która „wielkimi” nazywała królów-budowniczych a nie królów łupieżców, która kazała uczyć młodzież, ze zdrada nie jest polityką a przemoc bohaterstwem, która łamała się chlebem wolności z innymi narodami i jednoczyła je pod hasłem równouprawnienia we wspólnym związku federacyjnym, która urzeczywistniła o całe wieki wcześniej od innych nie tylko wiele osiągniętych później postulatów postępu, ale i takie, które rodzą się dopiero w dreszczach przeczucia. I zważywszy te wszystkie duchowe wartości, które w dziedzinie zadań politycznych stworzył był i przeżył geniusz narodu polskiego. Zechciejmy – na tle potwornej rzeczywistości naszego czasu – ocenić, ile straciła ludzkość przez ubezwładnienie takiej jednostki narodowej, przez ubytek jej swobodnego współpracownictwa dla wspólnych celów.

* * * * * * *

Pomimo wszystkich potwornych fal barbarzyństwa, ludzkość podąża w kierunku coraz doskonalszych zasad współżycia jednostek i narodów. Ograniczając się do ciasnego kręgu obserwacji w czasie i przestrzeni, żyjąc zwłaszcza bezpośrednio pod obuchem rozkiełznanej siły pięści, łatwo ulec pesymistycznemu wrażeniu, iż społeczeństwo ludzkie, przy całym swym imponującym postępie w dziedzinie kultury umysłowej i technicznej, nie zmienia wcale swej głębszej istoty moralnej. Kto jednak ogarnia nie jakiś drobny wycinek dziejów, ale ich wielkie przestwory, ten nie może ani na chwilę wątpić, że także kultura etycznych podstaw życia posuwa się stale, acz wśród ciągłych wahań i odchyleń, ku wyższym stadiom rozwoju.

Rozwój ten odbywa się linią spiralną. To wznosi się ku ideałowi wolności i braterstwa, jak w epoce, gdy lud francuski własnym upojony wyzwoleniem zapragnął nieść je całej Europie na ostrzu zwycięskiej szabli, jak później jeszcze, w okresie niezapomnianej wiosny ludów roku 1848. To znowu obniża swój pęd ku wyżynom, zakręca i na chwilę grzęźnie choćby w bagnie oświeconego zdziczenia, jak w dziesięcioleciach poprzedzających wybuch wojny światowej.

Lecz linia, spadając w dół, nie wraca do dawnego poziomu.

Ponad wszelką wątpliwość może nas o tym przekonać doświadczenie ubiegłego stulecia, tj. tego okresu, na który przypada właśnie byt dziejowy narodu polskiego. Cały szereg światopoglądów, idei i odpowiadających im urządzeń prawnych, które nie tylko obowiązywały, ale uważane były za naturalne, jasne jak słońce i wiekuiście utrwalone, zniknęły z powierzchni życia, aby ustąpić miejsca nowym, doskonalszym. Ze stanowiska dzisiejszych pojęć patrzymy na nie jak na legendarne jakieś, nieprawdopodobne, przedpotopowe zjawiska.

W ciągu tego czasokresu rodziły się i marły całe pokolenia, w których wyobrażeniu było rzeczą zupełnie prostą, że człowiek człowieka kupował na targu i posiadał na własność, jak bydle robocze. Dziś niewolnictwo jednostek znikło, i chociażby dialektyka chciała nam wskazywać na nowe, przeobrażone jego formy, to przecież odbyła się tu zasadnicza zmiana: spiralna linia społecznego i moralnego rozwoju wzniosła się niezaprzeczenie w górę. Przez długie wieki uchodziło za stan prawidłowy narzucanie siłą wierzeń religijnych. W najoświeceńszych krajach Europy panowała zasada, że „poddany” ma te same wyznawać subtelności dogmatyczne, które trafiły do przekonania jego

księciu. Najkulturalniejsze społeczeństwa dokonywały masowych mordów i wyniszczały się wzajemnie w głębokim przekonaniu, że czynią to „dla wiecznego zbawienia". Dziś nie ma na kuli ziemskiej człowieka, któryby o tych rzeczach, tak niegdyś pospolitych, myślał inaczej, niż ze zgrozą, a idea wznowienia wojen religijnych mogłaby powstać już tylko w głowie szaleńca. Poprzez wieki cierpień ludzkość zdobyła sobie wolność sumienia i wzniosła się znowu wyżej. Tak samo naturalna, prostą i konieczną rzeczą jak niewolnictwo, jak handel ludźmi i jak przymus wyznaniowy był w przekonaniu całych generacji absolutyzm monarszy i nierówność poszczególnych warstw społeczeństwa wobec prawa i przywileje szlachty i poddaństwo chłopa. Lecz oto w krwawym trudzie osiągnięte zostały wyższe szczeble rozwoju: wolność osobista, obalenie przywilejów stanowych, równe prawo do wymiaru sprawiedliwości, współudział wszystkich warstw społeczeństwa w rządach.
Biorąc za podstawę te znane nam etapy przebytej drogi dziejowej, możemy bez obawy omyłki wysnuć z ujawnionych dotychczas tendencji dalszy kierunek rozwoju społeczeństw cywilizowanych. Kierunek ten zarysowuje się zresztą już dziś w postaci prądów, usiłujących się wcielić, lub nawet aktów częściowej ich realizacji. Idziemy niezaprzeczenie ku uznaniu prawa narodów do rozporządzania sobą, jako konsekwentnemu uzupełnieniu analogicznych i wcześniej dojrzałych praw człowieka – ku urzeczywistnieniu postulatu wspólnego kryterium moralnego dla całego obszaru życia. Niewolnictwo narodów musi być obalone, tak samo jak podwójna moralność, inna dla jednostek, inna dla istnień zbiorowych. W oczach naszych rodzą się nowe wielkie przezwyciężenia idei i urządzeń, długo uważanych za naturalne, niezmienne i konieczne. To uchwytne już dziś zjawisko, to dążenie do zdjęcia z życia dalszych krępujących je więzów, łącznie z całym dotychczasowym doświadczeniem historycznym, pozwala nam określić cel, do którego ludzkość zmierza z żelazną stanowczością pomimo wahań i wykolejeń. Tym celem jest WOLNOŚĆ, wszechstronna, pełna, doprowadzona do najszerszych możliwych granic, wolność miarkowana jedynie nakazem ograniczenia własnych pragnień bezpieczeństwem i swobodą poruszania się drugich.
Jest to zarazem, najogólniejszy kierunek myśli naszej, polskiej, od pół tysiąca lat skrystalizowanej myśli dziejowej.

* * * * * * *

Po wielu wiekach szczęśliwych, które zawdzięczaliśmy hołdowaniu tej myśli, tak, jak się ona mogła w owym czasie przejawiać, ojczyzna nasza znalazła się pod kołami fortuny. Świadomi, że niewola Polski, to tylko epizod w nieustannym ruchu rodzaju ludzkiego i w dziejach naszego narodu, szukamy z pokolenia na pokolenie dróg do wydobycia się z kleszczy wyjątkowego stanu.
Praktyka życia politycznego przekonywa, że można błyszczeć oświatą, dobrobytem, kulturą, rządnością, organizacją, patriotycznym heroizmem i poświęceniem, można do doskonałości doprowadzić wszystkie te cechy, niezbędne w walce o byt narodowy, a jednak nie módz, w pewnych warunkach, osiągnąć czy też odzyskać z powrotem najwyższego prawa narodu, prawa swobodnego rozporządzania sobą, względnie obronić się przed jego utratą. Z drugiej strony doświadczenie, zgodne z logiką rzeczy, poucza, że atmosfera wielkich idei humanitarnych, wznoszących się ponad granice plemienne, przeciwstawiających się ciasnemu egoizmowi, drapieżnym instynktom i zasadzie przewagi fizycznej, zawsze sprzyjała zdobywaniu praw przez narody ujarzmione.
Interes żywotny Polski leży przeto w tym, aby powszechny rozwój coraz szybciej i wyżej wznosił się ku ideałowi wolności i braterstwa ludów. Żadna z dróg innych, dających się pomyśleć, nie jest zdolna w tym stopniu ani zwrócić nam bytu niepodległego, ani go utrwalić. Polska, wtłoczona między państwa autokratyczne i ludy niewolnicze, padła. Na nowo powstać i bezpiecznie istnieć może tylko wśród wolnych i pełnoprawnych narodów. I ponad to jedynie wówczas znajdzie zabezpieczenie tych kardynalnych zasad, które stanowiły sens dziejów naszych, a bez których człowiek, choćby w ramach najbardziej imponującej organizacji państwowej jest cząstka tylko mniej lub więcej ucywilizowanej trzody, z rodzimym czy obcym nad sobą batem.

Nasze zadanie jest wobec tego jasne. Polega ono na solidarnym i jak najbardziej intensywnym współdziałaniu naszych dążeń wyzwoleńczych z ogólnymi dążeniami wolnościowymi, gdziekolwiek one się przejawiają.
Nie jesteśmy ilością i jakością obojętna i nie jest bez znaczenia w jakim kierunku zwróci się nasza zbiorowa energia, o czym wiedziała kiedyś dobrze „Młoda Europa”, obalająca absolutyzmy. Tak lub inaczej zdecydowane aspiracje dwudziestomilionowego narodu, zaprawionego do najcięższych zmagań się z przeciwnościami, nie mogą nie wpłynąć wydatnie na obciążenie tych szal, na których ważą się nieustannie dwa zasadnicze i wrogie sobie pierwiastki dziejów: wola i niewola ludzka. A im większy zasób sił zestrzelimy w ognisku dążenia, by przyśpieszyć ostateczny rozkład podminowanych już i przeżywających się pojęć, rozkład, w którym nie my jedni tylko jesteśmy interesowani – tym rychlej rozsypią się też zbudowane na tych pojęciach kształty, które tamują nam drogę w przyszłość.

* * * * * * *

Z poczuciem silnie zarysowanego stanowiska w gronie narodów, z miłością i wdzięcznością, patrzeć możemy w tej przełomowej chwili na wspaniałe, wielkie i dążeniom nowoczesnym tak bliskie, nasze dziedzictwo historyczne. Urobiło ono nasz typ duchowy, zbliżając go, mimo wszystkich błędów i niedomagań naszego charakteru, do poziomu najlepszych typów zbiorowych ludzkości i spokrewniając się z tymi, do których ostatecznie przyszłość należy. Jako jedyny łącznik spajało naród nasz przez wiek rozdarcia w świadomą siebie całość. Dało nam moc przetrwania zamachów niesłychanych w dziejach świata. Uchroniło dusze naszą od wtłoczenia w obce i znieprawiające formy. I ono to czyni nas dziś zdolnymi do dalszej twórczości w dziedzinie tych wielkich wszechludzkich celów. Których ziszczenie samo jedno może zapewnić nam promienne Jutro, do celów, które w swym szerszym rozwinięciu niczym innym nie są, jak tylko kontynuacją istotnych pierwiastków Ducha Dziejów Polski.

=================================
=============================

Spis treści:

